Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 9 (1300) ROK XXVI 26 LUTEGO 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Co można zaproponować młodym

Sprawy gen. W. Zagórskiego — ciąg dalszy

Traktorem po schodach

JOLANTA WROŃSKA

W „Gazecie Lubuskiej" z 23 marca 1980 roku pojawił się krótki artykuł Leona Gąsiora pt. „Ciągnik górski rodem z Zielonej Góry". Autor przedstawia fakty: w zielonogórskiej Wyższej Szkole Inżynierskiej, w Instytucie Budowy Maszyn, narodziła się szansa dla naszego rolnictwa. W Zakładzie Samochodów i Ciągników powstał prototyp ciągnika górskiego. Autorem pomysłu i konstruktorem jest mgr inż. Jan Buczek.

I dalej. Pomysł kołatał się już około roku 1975, jeszcze za studenckich czasów na Politechnice Gdańskiej. Pierwsze prace dokumentacyjne i konstruktorskie rodzą się już w Zielonej Górze. Jan Buczek skupia wokół siebie grupkę współpracowników, choć otacza ich pobłażliwe lekceważenie czynników kompetentnych oraz całkowite desinteresment przemysłu motoryzacyjnego i ciągnikowego, informowanego — a jakże — o próbach konstruktorskich. Praca trwa w absolutnie polskim, nie do podrobienia, stylu. Niemal chałupniczo i w konspiracji. Współpracownicy inż. Buczka wolą nie podawać swych nazwisk ciekawemu dziennikarzowi, bo może ktoś będzie niekontent i jeszcze przerwie tę robotę.

Żeby móc przeprowadzać próby techniczne, potrzebne jest specjalne stanowisko badawcze. I tu zaczynają się pierwsze schody. Firma jest jak najbardziej naukowa, więc teoretycznie winna być zainteresowana projektem, pomóc, kupić co trzeba, a przynajmniej walczyć, gdzie i z kim trzeba. Ale nie walczy. To jest ryzyko. Jak się nie uda, pójdzie śmiech w Polskę po innych uczelniach, jeśli jednak się uda, to... i tak blask spadnie na WSI — właściciela laboratorium i wniosków patentowych swych najemnych pracowników. Więc od Annasza do Kajfasza — kto i za ile jest w stanie wykonać stanowisko badawcze. Poszukiwania wykonawcy trwają.

W tym czasie zespół Jana Buczka kończy pełną dokumentację konstrukcyjno-technologiczną i kolejną barykadę pomagają przeskoczyć najbardziej sprawą — jak widać — zainteresowani, bo... sami rolnicy. Państwowy Ośrodek Maszynowy w Sieniawie Żarskiej wykonuje potrzebne części i podzespoły.

Wreszcie jest! Jest wykonawca stanowiska badawczego, niezbędnego dla przeprowadzenia prób technicznych. Ulitowała się... Kopalnia Węgla Brunatnego w Bogatyni. Projekt stanowiska wreszcie staje się materialnym faktem. W kopalnianych warsztatach (WSI nie miała, czy jak?) powstaje stanowisko dziś pracujące w laboratorium uczelni.

Po drodze inż. Jan Buczek otrzymuje patent na swą konstrukcję, który to dokument dokładnie opisuje w czym rzecz. Cała otóż tajemnica górskiego traktora polega na ruchomym podwoziu. Proste? Jak konstrukcja cepa, tyle że Buczek jest pierwszy (nie udało się nawet Amerykanom).

W sensie technicznym to jest tak: do projektu użyty został seryjny model ciągnika Ursus C-330. Nowość — to samoczynna, automatyczna stabilizacja korpusu wraz z kabiną kierowcy. W czasie pracy na pochyłości, nawet do 40 stopni spadku bocznego, korpus zachowuje pozycję pionową. Seryjne ciągniki Ursusa mogą pracować bez groźby wywrotki tylko do 10 stop. przechyłu bocznego. Tylny most traktora górskiego uzupełniony został o specjalne mechanizmy do samoczynnego, zależnego od kierunku przechyłu, sterowania pionowego każdej pary kół — lewej lub prawej. Traktor jest stabilny dzięki zmiennemu punktowi ciężkości. Ponadto tylne koła automatycznie sterowane w kierunkach prawo — lewo do 10 stop. zwrotu eliminują ześlizgiwanie się tyłu ciąg-

7

Foto: Ryszard Fórmanek

Pejzaż bez śmig lub wykrzykniki zapomnienia

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

Wiatraki przeciętnemu rodakowi kojarzą się z Don Kichotem — Cervantesa. A przecież od wieków są ściśle związane także z polskim, a nie tylko holenderskim krajobrazem.

Wiatraki to wielowiekowa historia naszej techniki wiejskiej (budownictwa i rzemiosła) i życia gospodarczego nie tylko wsi. Muzealnicy mówią, że wiatraki są także potwierdzeniem stabilności techniki, albowiem przez wieki technika przemiału i urządzenia nie uległy zasadniczym zmianom. Są dokładną ilustracją techniki średniowiecznej.

Jedni historycy twierdzą, że wiatraki dotarły do Polski z Czech w VIII wieku. Inni, że w wieku XIII, i że pierwsze powstały na Kujawach i w Wielkopolsce. Były to koźlaki. Jedno jest pewne, że najwięcej ich było w XVIII wieku, kiedy to wiatraki stanowiły 35 proc. wszystkich młynów. A musiały to być budowle dość powszechne, skoro B. Canaletto na obrazie „Elekcja St. Augusta", w drugim planie, ukazującym okolice podwarszawskie, umieścił kilka wiatraków. Historycy twierdzą, że w tym czasie w Warszawie było ich 250. Ostatni, zbudowany w 1854 roku, mełł mąkę jeszcze w 1954 r., a więc do czasu rozebrania.

Najstarszy rysunek wiatraka pochodzi z 1430 roku. Najstarszy z zachowanych wiatraków, ko-

6

Zawał w obronie własnej

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1

W pracy reporterskiej zawsze miałem niebywałe szczęście. Gdzie bym się nie pojawił, z miejsca zaczynało się coś dziać. Tym razem jednak niewiele brakowało, żebym odstąpił od tematu, który w przypływie serdecznych uczuć podsunął mi Ryszard Binkowski. Opowiedział mi o chłopie z Retkini, który ma chałupę w środku miasta i broni się od kilku lat rękami i nogami przed eksmisją, niczym Ślimak z „Placówki" Bolesława Prusa.

Złapałem taksówkę i pojechałem na Retkinię, ulica Hufcowa 23. Kierowca nie wiedział gdzie to jest, bo numery były jak zwykle poplątane. Zacząłem szukać na wyczucie. Zobaczyłem jakiś niewielki domek, ale kiedy podszedłem do bramy, okazało się, że to numer dwunasty i że mieszczą się tam różne drobne usługi. Więc zaczepiłem jednego gościa. I pytam:

— Gdzie mieszka ten chłop?

A gość:

— Tam.

Pokazał mi skraj ulicy, za którym rozciągało się puste pole, żadnych zabudowań i bloków, warsztat tylko jakiś pod numerem drugim, stodoła i domek pod pierwszym.

W tym momencie właśnie zacząłem wracać. Nie będę pisał reportażu. — Tak myślałem. — Co to w ogóle za problem? Gospodarstwo stoi sobie na uboczu, nikomu nie wadzi, a że toczy się wokół niego urzędniczo-chłopska pyskówka, nie mój interes.

Zaraz! Ale o co ta pyskówka? Sprawdzę na wszelki wypadek skoro już przyjechałem. Podszedłem do płotu, pies do mnie i zaczął ujadać, a ja wrzeszczę:

— Szukam Kazimierza Plocka!

— To ja — odpowiedział podstawny, ogorzały człowiek w roboczym rynsztunku.

— Można wejść?

— Można.

— A pies?

— Nie ugryzie.

Wszedłem.

— Jest pan tym rolnikiem, którego wyrzucają z chałupy?

— Tak.

— To siądźmy, porozmawiajmy.

— A gdzie usiądziemy?

— No tu. — Wskazałem dom.

— To nie mój dom.

— Jak to — nie pana?

— Bo ja mieszkam pod dwudziestym trzecim.

— Między blokami?

— Tak.

A jednak! — pomyślałem. I powiedziałem:

— Więc jak ja tu pana w ogóle znalazłem? W drugim końcu ulicy?

— Sam bym chciał wiedzieć.

— Przeznaczenie jakieś, czy co?... W każdym razie — przypadek nie z tej ziemi... — Co pan tu robi?

— Odwiedziłem sąsiada, który wziął na przechowanie moje krowy i świnie.

Podszedł sąsiad, Andrzej Klimek, młody, przystojny chłopak. Okazało się, że wcale nie musze pokazywać legitymacji, bo mnie znał: pisałem podobno o jego rodzinie przy okazji wsi Balonowa. Tak to moja twórczość trafiła pod strzechy.

Pan Klimek i pan Plocek wyjechali na ulicę wózkiem. Na wózku brzęczały dwa duże blaszane pojemniki. Zajechaliśmy pod przedszkole, wzięliśmy resztki po obiedzie, a w szkole dali nam pomyje. Jest to karma dla krów i świń.

4

Przegląd prasy

JERZY URBAN ZREZYGNOWAŁ

z dalszego pisania felietonów w tygodniku „Tu i Teraz", czemu dał wyraz w swoim pożegnalnym felietonie „Usta" (nr 7 z 16 lutego 1983 r). Pisanie felietonów w „Tu i Teraz" było dla Jerzego Urbana — jak sam to przyznaje — eksperymentem. Eksperyment się nie powiódł.

Wczesną jesienią 1981 roku Jerzy Urban gościł w Łodzi i spotkał się z dziennikarzami oraz aktywem partyjnym z kilku zakładów pracy. Wówczas to właśnie wiódł dość obszerny spór na temat tego, czy minister może wypowiadać się w telewizji, radiu, gazecie w sprawach, które go interesują, a nie leżą w ramach jego ministerialnych kompetencji. Na przykład, czy minister kultury ma prawo jako pasażer wypowiedzieć się na temat punktualności kursowania pociągów w PRL oraz na temat jakości usług PKP? Albo inaczej, czy prof. Zdzisław Krasiński może wypowiadać się na temat mody męskiej i damskiej i nie będzie to zaraz poczytane, że mówi o cenach tej mody? Jerzy Urban utrzymywał, że coś takiego jest dopuszczalne. Jego oponenci odmawiali urzędnikom szczebla ministerialnego prawa do wypowiadania własnego zdania na tematy jakiekolwiek, uważając, że póki są ministrami mają mówić tylko o tym, czym się jako ministrowie zajmują.

Jerzy Urban nie tylko umiał bronić swego zdania w powyższej kwestii, ale też zaczął pisywać w „Tu i Teraz", gdy tylko pismo to pojawiło się w kioskach. Chciał niejako wykazać, że nie tylko ma takie zdanie, ale sam będzie je realizował w praktyce. I że to jest zupełnie możliwe. Niestety, eksperyment nie udał się. Jest to bardzo charakterystyczne dla naszych stosunków politycznych, a tekst Jerzego Urbana godny jest ze wszech miar lektury i spopularyzowania.

Jerzy Urban bardzo precyzyjnie kreśli obszar, po którym jako felietonista, pełniący jednocześnie urząd rzecznika rządu, mógł się swobodnie poruszać:

„Jako felietonista mogłem więc poruszać się w trzech płaszczyznach myślowych: wyrażając moje poglądy spójne z linią rządu; oznajmiając swe prywatne zdanie w kwestiach, gdzie rząd nie wypowiadał żadnej opinii; nade wszystko zaś buszując w tych rejonach życia i komentując te zdarzenia, wobec których rząd nie ma zdania lub zamiaru wypowiadania go publicznie"

Autor „Ust" przypomina też, że był taki czas, kiedy *„władza mówiła jednym ściśle uzgodnionym głosem"*, co budziło poważne zastrzeżenia i ludzie chcieli również wiedzieć, jakie poglądy mają ci ludzie, którzy do nas mówią tylko urzędowo. Domagano się niejako własnych poglądów ludzi na stanowiskach, a gdy to stało się możliwe, zaczęto jakby tęsknić za tekstami uzgodnionymi, bo to i wygodniej i przy tym myśleć samemu nie trzeba.

Gdyby to jednak były tylko te tęsknoty, to bieda z tym byłaby mała. Jerzy Urban naraził się dwu ważnym siłom: posłom i Kościołowi. W felietonie „Wiosna nasza" (nr 1/83) napisał on tak:

„Przesadne nadzieje polityczne wiązane też będą z działalnością Kościoła, albo pojedynczych bezpartyjnych posłów w Sejmie próbujących nieporadnie rozwijać własną grę. Polega ona na konstruowaniu „trzeciej drogi" (ani z władzą, ani z opozycją) ścielonej jadem i wazeliną równocześnie."

Dosadnie powiedziane. Ale felieton, który nikogo nie porusza, nikogo nie atakuje, nikogo nie obchodzi w ogóle nie ma racji bytu.

Natomiast w felietonie „70 lat później" Jerzy Urban napisał tak:

„Wydaje się bowiem, iż nabożny filosemityzm krakowskiego pisma ma coś z chęci odrobienia grzechów przedwojennego „Małego Dziennika", czy „Rycerza Niepokalanej", skoro już trzeba bić czołem przed redaktorem owych plugastw".

Tym razem już niewybrednie i w „Ustach" Jerzy Urban za to przeprasza, pisząc:

„Przyznaję, że wzmianka o biciu czołem jest metaforyczna, niestosowna nawet w obrębie konwencji felietonu i za te słowa z całym przekonaniem przepraszam."

Ale to już nie pomoże.

„Okazuje się jednak — pisze Jerzy Urban — *że w rozumieniu niektórych osób wolność słowa ma służyć li tylko swobodnemu upowszechnianiu własnych słów, broń Boże takich, które mu się nie podobają lub zwracają się przeciwko „miłośnikom wolności". Gdy pojawią się opinie krytyczne szuka się zaraz sposobów ich zdławienia, czyli pretekstów dla dodatkowej cenzury i instrumentów jej zastosowania. Obraza, protest, zgorszenie, skargi, oburzenie oraz szukanie kija — oto odruch osób, które przecież od biedy władają piórem i mają dla się otwarte łamy prasy, więc mogą krzyżować poglądy."*

Niby to prawda, tylko Jerzy Urban doskonale wie, że skarga, protest — to najczęściej krzyk, do wyrażenia którego nie potrzeba argumentów. Opublikowanie polemiki takich argumentów wymaga, a często krzyk bierze się stąd, że właśnie brakuje argumentów.

„Na czas pełnienia funkcji rzecznika — kończy swój długi, pożegnalny felieton Jerzy Urban — *oddaję „Samosądy" w dzierżawę. Dzierżawcą mianuję zdolniejszego ode mnie kolegę. Niestety ma on poglądy o wiele mniej, niż ja umiarkowane."*

Poczytamy, zobaczymy.

Tymczasem w „SZPILKACH" (nr 7 z 17 lutego 1983 r)

KLAKSON DEMASKUJE

kupców i misjonarzy w felietonie zatytułowanym „Kupcy i misjonarze". Oto powiada na wstępie, że *„mamy teraz w Polsce swój „Wall Street Journal" czyli organ kapitału"*. Kapitał wydawałoby się mały, chodzi o firmy polonijne, ale organ ma piękny. Jest nim luksusowy miesięcznik o wysokiej cenie 200 zł. (A niektórzy mówili, że nasze tygodniki po 20 zł sztuka są drogie! Obniżono więc ceny, a „drobni kapitaliści" rypnęli 200 zł za numer i nie bali się.) Pismo nosi tytuł: „Inter-Polcom" i Klakson przyznaje, że nie wie co to znaczy. Ja też nie wiem. Ale mniejsza o to.

O czym się pisze w „Inter-Polcomie"? A o zmartwieniach właścicieli firm polonijnych. A jakie to oni mają zmartwienia?

„W artykule „Fajne towary, na które można w Polsce wydać pieniądze" — pisze Klakson — *pełen humanistycznej troski autor zastanawia się, co właściciele firm polonijnych mają robić ze złotówkami. Sprawa wywożenia z Polski koni pod wierzch i jachtów nie została otóż uregulowana. Tymczasem dziś ma się wolne miliony, jutro będą to dziesiątki milionów. Inwestować w rozwój firm nie można, gdyż mają się one parać wytwórczością drobną, a inwestować w postęp techniczny nie ma sensu, cytuję* — pisze dalej Klakson — *„tracąc tym samym korzyści jakie daje firmom taniość polskiej fachowej siły roboczej". Konkluzja: „Na razie właścicielom, którzy martwią się jak w krótkim czasie pozbyć się nadmiaru pieniędzy możemy doradzić tylko alkohol, wyścigi i bankiety". Dziewczyn „Inter-Polcom" nie doradza, jak przystało na pismo, na którego łamach gości także biskup."*

W tymże numerze „Inter-Polcomu" Ernest Skalski poucza zagranicznych kontrahentów o istocie polskiego urzędnika, *„który jest* — pisze Klakson streszczając artykuł Skalskiego — *uległy, dopasowany do układu, lecz spragniony uznania i władzy. Staro się niczego nie załatwić z lenistwa i aby władzę swoją okazać"*.

Ale dość żartów Klakson wyjaśnia bowiem problem, który nurtuje wielu. Czym są w naszym ustroju firmy polonijne? Pisze on:

„W realnym życiu gospodarczym polskie firmy tzw. polonijne to margines marginesów. Stanowią one drobniutkie i nieważne enklawy innej, obcej gospodarki w ogromnym obszarze gospodarki socjalistycznej mającej odmienną strukturę, cele i motywy rozwoju. Są te enklawy obcym ciałem. Ich żywotność zależy od zdolności do trwałego adaptowania się owych drobinek w zupełnie innym niż one, wielkim organizmie. Z istnienia na obcym podłożu czerpią te firmy znaczne korzyści, ale za to napotykają też na bariery, trudności i ograniczenia".

I przestrzega:

„Firmy polonijne nie przyjmą się w Polsce, gdy objawią ambicje, aby mieć swoją prasę, swoją ideologię i propagandę oraz wpływać na panujące u nas stosunki. Albo gdy zechcą być oparciem dla jakiejkolwiek grupy naprawiaczy Polski."

Sądzę, że ta przestroga powinna rozwiać wątpliwości wielu, którzy niepokoją się o przyszłość „neokapitalizmu" w Polsce.. Czy za bardzo się nie rozwinie? Nie ma na to szansy!

W „NOWYCH DROGACH" (nr 1 z 1983 r) można przeczytać

PROPOZYCJE JANA GÓREC-ROSIŃSKIEGO

który w artykule o znamiennym tytule „Kultura w stolicy i terenie" broni dobrze rozumianego regionalizmu. Sprzeciwia się uniwersalizmowi, rozumianemu jako zacieranie regionalnych specyfik i tradycji. Jego zdaniem należy usilnie zabiegać o to, aby *„w sztuce i literaturze polskiej przewijały się wątki jak dawniej osobliwe: kujawskie, krakowskie, mazowieckie, wielkopolskie, pomorskie, podlaskie itd. Oczywiście w swej treści nacechowane socjalistycznym humanizmem, wolne od dzielnicowości, z nowocześnie pojmowaną polskością i patriotyzmem, osadzone w kulturze i ogólnych dążeniach wielkiej rodziny człowieczej"*.

Jan Górec-Rosiński słusznie uważa, że musi istnieć metropolia oraz inne ośrodki kultury, ale to nie oznacza zamykania się w wojewódzkim partykularyzmie. Jego zdaniem w Polsce ukształtowały się tylko dwie metropolie: Kraków i Warszawa. Natomiast Wrocław, Gdańsk, Poznań, Łódź i inne ośrodki metropoliami nie są, choć mają niektóre ich znamiona.

„Brak im jednak tradycji — pisze — *która sytuowałaby je w zasięgu zainteresowania całego kraju oraz dostatecznych dźwigni (środowisk i instytucji artystycznych, prasy, wydawnictw, ośrodków naukowych itd) promieniujących na cały kraj."*

O Łodzi sądzi krytycznie:

„Na przykład Łódź — pisze — *największemu miastu po Warszawie brak po prostu tradycji kulturalnych i niczym oryginalnym na kraj, jak na razie nie promieniuje."*

Rąk załamywać z tego powodu nie należy, przestawać starać się również. Tworzenie kultury nie jest procesem zamkniętym i w tym procesie może — i powinno! — dojść jeszcze do ciekawych wydarzeń, a także przewartościowań. Zresztą Janowi Górec-Rosińskiemu też o to chodzi. Oto, co proponuje, jako niezbędne, aby kultura nie zamknęła się w wojewódzkim partykularyzmie i nie popadła w śmiertelną chorobę zaściankowości:

— *„przebadać możliwości i potrzeby lepszego wyposażenia niektórych ośrodków regionalnych w infrastrukturę;*

— *odnowić tradycyjne więzi kulturalne nie tyle międzywojewódzkie, ile regionalne i międzyregionalne;*

— *dążyć do wzmocnienia międzyregionalnych periodyków społeczno-kulturalnych i tworzenia silnych międzyregionalnych oficyn wydawniczych;*

— *doprowadzić do takiego sterowania Tv, aby mogła — w zależności od znaczenia i potencjałów regionów — włączyć ich dorobek i dokonania artystyczne do programów ogólnopolskich".*

I to wszystko musi się silnie wiązać z tradycją, z niej wyrastać. *„Dlatego* — powiada Jan Górec-Rosiński — *trzeba udzielać poparcia takiej polityce kulturalnej, która jest wrażliwa na polską specyfikę kulturalną i która uzasadnienie estetyczne socjalizmu wywodzi nie tylko z praxis oraz uzasadnienia teoretycznego i naukowego, lecz również z polskiej tradycji humanistycznej. Powinnością polityków jest budowanie i takie sterowanie naczyniami wieńcowymi przekazu oraz upowszechnienia kultury i sztuki, aby nie doprowadzić do zawału nie tylko części organizmu naszej kultury, lecz i poszczególnych jego części".*

Miałem już wielekroć okazję dać dowód na to, że wysoko cenię sobie polemikę, jeśli ona obraca się w sferze argumentów, a nie posługuje się insynuacjami i pomówieniami. Cieszy mnie też każda polemika z „Odgłosami" i ucieszyłem się również, gdy w *„GŁOSIE ROBOTNICZYM"* (nr 37 z 15 lutego 1983 r.), przeczytałem artykuł polemiczny Józefa Woldana pt. „Dokąd kto zmierza?". Jest to polemika z artykułem Ryszarda Binkowskiego z nr 7 „Odgłosów", który nosił tytuł: „Dokąd zmierza ZSL?". Nie mogę jednak powstrzymać się, aby nie pokazać

JAK CYTUJE JÓZEF WOLDAN

Pisze on w „GR":

„Boleje nad tym (R. Binkowski — przyp. L.B.), *że ludzie są nieufni, stoją z boku, przyglądają się, wyczekują. Ale przyczyn tych postaw szuka nie tyle w jednym zdaniem wspomnianych błędach ZSL w latach siedemdziesiątych, ile w postawach... — „nadgorliwych sekretarzy partii, którzy preferowali chłopów partyjnych, zaopatrując ich w pierwszej kolejności we wszystkie środki produkcji i materiały budowlane...". No i z tego powodu... — „pośród członków ZSL rodziło się poczucie niesprawiedliwości..."*.

Tak ustawione poglądy R. Binkowskiego pozwoliły na mocne się z nimi rozprawienie. Aliści pełny tekst z artykułu R. Binkowskiego brzmi nieco inaczej:

„Toczą się żywe polemiki, burzliwe dyskusje, spory. W gminach ustąpiło ze stanowiska dziewięciu prezesów. ZSL Bywa i tak, że zebranie trzeba powtarzać, albo też nie odbywają się z braku frekwencji. Ludzie są nieufni, stoją z boku, starają się przeczekać. No cóż, ZSL w latach siedemdziesiątych też popełniło sporo błędów. Ponadto mszczą się złe praktyki stosowane na wsi przed Sierpniem przez niektórych nadgorliwych sekretarzy partii, którzy preferowali chłopów partyjnych, zaopatrując ich w pierwszej kolejności we wszystkie środki produkcji i materiały budowlane. Pośród członków ZSL rodziło się poczucie niesprawiedliwości".

Gdyby J. Woldan zwrócił uwagę na słowa *„bywa i tak"* oraz na to, że owe złe praktyki wystąpiły *„przed Sierpniem"* i że stosowali je *„niektórzy"* sekretarze, to może nie napisałby, że *„przydziałów dokonywały komisje rolne GRN, a potem rozszerzone o członków KR i „Solidarność"*, bo działo się to już po Sierpniu. Ciągle mam takie wrażenie, że J. Woldan polemizował nie do końca z tym, co R. Binkowski napisał. Ale to już sprawa autorów. Niech się dalej kłócą. Ja tylko odnotowuję fakty.

Faktem bowiem jest, że

„WIADOMOŚCI PRODUKCYJNE" UKOŃCZYŁY 10 LAT

Jest to *„Czasopismo techniczne Stowarzyszenia Włókienników Polskich dla mistrzów i wykwalifikowanych robotników w przemyśle lekkim"*. Kolegom z „WP" życzymy dalszych wielu lat owocnej pracy i dużej poczytności.

Teraz pora na rejestr tego, co znalazłem w innych czasopismach, a

CO ŁÓDZCY AUTORZY OPUBLIKOWALI

— Dorota Chróścielewska wiersz w grudniowym numerze „Miesięcznika Literackiego",

— Roman Gorzelski fraszki w „Życiu Pabianic" (nr 7 z 17 lutego 1983 r.) i przekład wierszy Walta Whitmana, Pete Browna i E. E. Cummingsa w „Faktach" (nr 7 z 19 lutego 1983),

— W „Życiu Literackim" (nr 8 z 20 lutego 1983) Stanisław Kaszyński „Teatr Rzeczypospolitej— dla kogo, za jaką cenę?" i Wacław Opacki „Czy nowa ustawa pomoże magistrom?",

— Marek G. Madej wiersz w „Tygodniku Kulturalnym" (nr 8 z 20 lutego 1983 r.),

— Jerzy Poradecki list w „Tygodniku Powszechnym" (nr 8 z 20 lutego 1983), w którym wyjaśnia, dlaczego „Osnowa" podziękowała mu za przygotowanie nr 2.

LUCJAN BOGUSZ

Madryt — nowy tryb obrad KBWE

Madryckie spotkanie KBWE w pierwszym tygodniu obrad wznowionych po przerwie świąteczno-noworocznej, w dniu 8 lutego przyjęło i natychmiast wdrożyło nową formę pracy. Określenie to wymaga uściślenia: delegaci 35 państw nie wypowiedzieli się na temat przedłożonych im propozycji w sposób formalny, tj. nie uzyskano consensusu, dla którego wymagane jest, by wszyscy uczestnicy wyrazili swą zgodę, lub co najmniej nie wyrazili sprzeciwu, lecz zawarli coś w rodzaju porozumienia dżentelmeńskiego.

Przez najbliższe tygodnie, tj. od początku marca, spotkanie obradować będzie intensywnie w formie tzw. mini-zespołów. Jest ich sześć dla poszczególnych zagadnień mających znaleźć odbicie w przyszłym dokumencie końcowym spotkania madryckiego, mają wyważoną reprezentację po dwóch członków z każdego z bloków polityczno-wojskowych i po 2 neutralów, koordynatorów rekrutujących się spośród autorów dokumentu nr 39 — krajów neutralnych i niezaangażowanych i mają obradować w sposób nieformalny, efektywny, niepropagandowy i szybki.

Eliminacja polemiki i nawet argumentacji sprawia, iż częścią zawartego gentlemen's agreement jest zobowiązanie się, czy też zapowiedź, ograniczenia do minimum informacji dla prasy. Zapewne jednak w kuluarach nastąpią świadome lub nieświadome przecieki o stanie spraw. Wspomniana eliminacja oznacza również eo ipso, że ze zniknięciem ataków propagandowych zniknie prawo do repliki.

Nieformalny charakter osiągniętego porozumienia staje się bardziej wyrazisty na tle formalnego utrzymania dotychczasowych form pracy. Zgodnie z programem prac będą otwierane i zamykane posiedzenia grup roboczych (redakcyjnych), a także odbywające się dwa razy w tygodniu posiedzenia plenarne.

Tego typu rozwiązanie ma na celu utrzymanie zasady demokratyzmu tj. pełnego udziału wszystkich 35 delegacji krajów uczestniczących w procesie KBWE. Jest w tym zawarty kompromis, że ta zasada zostanie utrzymana (i nie będzie się na przyszłość dokonywać wyłomu), i że wyeliminowane będą retoryka i konfrontacja (za czym opowiadają się naprzemiennie kraje socjalistyczne). Z drugiej zaś strony spełniony zostanie postulat krajów zachodnich, by merytorycznie przedyskutować to, co zawarte jest w poprawkach wniesionych na początku poprzedniej, VI rundy, w tzw. poprawkach duńskich.

Obserwatorzy z uwagą odnotowują stanowisko delegacji Stanów Zjednoczonych. Przeważa opinia, że unika ona w obecnej VII rundzie konfrontacji. Przypisuje się to zarówno działalności dyplomacji radzieckiej, jak i naciskom zachodnioeuropejskich sojuszników USA.

Przyjęcie nowej metody pracy nie jest oczywiście czymś, co wyskoczyło nagle. Jest to wynikiem konsultacji i sondaży przeprowadzonych w czasie świątecznej przerwy. Również, już po rzuceniu tej inicjatywy przez przedstawiciela Norwegii, intensywne kontakty i wymiana poglądów trwała i przyjęty model jest najbardziej zbliżony do formy zaproponowanej przez przedstawiciela Finlandii.

Przypomnienie: podobną formę pracy przyjęła tzw. druga genewska faza przygotowań do konferencji w Helsinkach. Jej owocem było uzgodnienie dokumentu — Aktu Końcowego z Helsinek. Nie jest to wcale model ostateczny, sztywny, w związku z czym (podobnie jak przede wszystkim w kwestiach merytorycznych) oczekuje się, równolegle do prac mini-zespołów i ewentualnie powoływanych zespołów ad hoc, bardzo intensywnych kontaktów dwustronnych między delegacjami.

Cała sprawa mająca charakter zasadniczej zmiany w stosunku do form stosowanych poprzednio, w tym także w ostatnich rundach, kiedy przedmiotem obrad był już *projekt krajów „n — n"*, ma jeszcze dwa elementy słabości wymagające podkreślenia:

1. Nie można popadać w złudzenia, że zastąpienie jednych mechanizmów innymi ustępstwami jest jednoznaczne z ustępstwami. Do obecnego momentu Zachód nie okazał jeszcze woli politycznej w tym kierunku.

2. System pracy w ramach mini-zespołów, choć zachowano formalne struktury, jest w gruncie rzeczy (czasowym wprawdzie) łamaniem zasady pełnego uczestnictwa w procesie KBWE wszystkich 35 jego uczestników na rzecz podejścia blokowego. Ujawniły się w tej sprawie nie ukrywane wątpliwości niektórych krajów neutralnych i niezaangażowanych (Jugosławii, Malty i Cypru), jak i — spośród państw należących do ugrupowań.

Agencja AFP w informacji z Madrytu pisze o „skromnym" postępie zauważalnym w obradach mini-zespołów w Madrycie. Powołując się na „różne źródła dyplomatyczne" agencja TASS informuje, iż zostały osiągnięte postępy w następujących dziedzinach: wolność wyznań, statut dziennikarzy i kontakty między ludźmi, przy czym chodzi tu również o problem łączenia rodzin.

List Honeckera do Kohla

Organ KC NSPJ, „NEUES DEUTSCHLAND", zamieścił komentarz zatytułowany „Poparcie dla propozycji szwedzkiej wyrazem konstruktywnej polityki pokojowej NRD" w którym stwierdza się, że sekretarz generalny KC NSPJ, przewodniczący Rady Państwa NRD, Erich Honecker, w swym liście do kanclerza RFN, Helmuta Kohla, poinformował, że naczelne organy partyjne i państwowe w NRD postanowiły wyrazić wsparcie dla propozycji szwedzkiej utworzenia w Europie Środkowej strefy wolnej od broni nuklearnej pola walki. Jednocześnie wyrażona została gotowość NRD postawienia do dyspozycji takiej strefy całego terytorium NRD.

Krok ten wzbudził duże zainteresowanie i poparcie ze strony obywateli NRD. Stanowi to wyraz gotowości NRD do podjęcia każdego rozsądnego kroku, który służyłby umocnieniu pokoju w Europie. W wielu wypowiedziach i komentarzach prasowych podkreśla się słuszność i aktualność odpowiedzi NRD na szwedzką inicjatywę oraz zaproponowanie rządowi RFN, aby poparł również inicjatywę szwedzką.

W listach, jakie wymienili niedawno Erich Honecker i Helmuth Kohl, wyrazili oni wolę działania w tym kierunku, aby z ziemi niemieckiej nigdy więcej nie wyszła wojna, że oba państwa niemieckie ze względu na historię ponoszą szczególną odpowiedzialność za zapewnienie pokoju w Europie. Dlatego w liście Ericha Honeckera do Helmuta Kohla zwrócono uwagę, że poparcie inicjatywy szwedzkiej w sprawie utworzenia strefy bezatomowej przez rząd RFN miałoby duże znaczenie.

Usunięcie broni jądrowej w szerokim pasie wzdłuż linii oddzielającej państwa NATO i Układu Warszawskiego w znacznym stopniu zmniejszyłoby niebezpieczeństwo wojny jądrowej. W jaki bowiem sposób można by lepiej przyczynić się do pokoju, niż przez własną aktywność na rzecz ograniczenia zbrojeń i rozbrojenia. Urzeczywistnienie inicjatywy szwedzkiej byłoby ważnym krokiem na drodze redukcji broni jądrowej na kontynencie europejskim, aż do jej całkowitego usunięcia. Utworzenie takiej strefy miałoby bezpośredni i pozytywny wpływ na sytuację w Europie, nie mówiąc o pozytywnym wpływie na dalszy rozwój stosunków między dwoma państwami niemieckimi. Usunięcie broni jądrowej ze wspomnianej strefy byłoby jednoznacznym krokiem tworzenia zaufania i odprężenia w Europie. Zmniejszyłoby niebezpieczeństwo wojny i tworzyło korzystne warunki dla rozwoju rozsądnego współżycia państw europejskich.

Być z ludźmi, wśród ludzi

TERESA JERZYKOWSKA

Sieradzka organizacja partyjna liczy obecnie 26 196 członków. W okresie od czerwca 1981 roku do końca roku ubiegłego jej stan liczebny zmniejszył się o 4274 osoby, w tym 112 zostało wydalonych, a 3789 — skreślonych z partyjnych szeregów. Obok poważnego liczbowego odpływu członków i kandydatów w tym samym okresie miały miejsce również fakty wstępowania do partii — przyjęto łącznie 124 kandydatów, w tym 10 chłopów i 45 robotników.

Podobnie, jak we wszystkich organizacjach partyjnych, okres, jaki upłynął od ostatniej konferencji sprawozdawczo-wyborczej należał do najtrudniejszych, najbardziej obfitujących w wydarzenia. Bezpośrednio po wyborach wkroczyła partia w okres charakteryzujący się dużym ożywieniem i aktywnością, ale jednocześnie postępującym rozchwianiem ideologicznym części członków partii, organizacji i instancji partyjnych. W miarę postępowania niekorzystnych zmian w sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej w kraju ożywienie to słabło, pogłębiały się natomiast zjawiska negatywne, m. in. wspomniane już rozchwianie ideologiczne, polaryzacja postaw. W tym też okresie nasiliło się zjawisko składania legitymacji partyjnych. Działalność instancji wojewódzkiej i jej organów wykonawczych koncentrowała się w tym okresie przede wszystkim na bieżącym rozwiązywaniu problemów, wynikających z aktualnej sytuacji w województwie, a także na próbach pomocy podstawowym organizacjom partyjnym, które w swych środowiskach skazane były na coraz trudniejsze warunki działania.

Po ogłoszeniu stanu wojennego podjęto szereg działań, zmierzających do przywrócenia ogniwom partii zdolności wykonywania ich statutowych obowiązków, wskazywano na konieczność eliminowania z szeregów partyjnych ludzi bezideowych i ideowo obcych, a także na konieczność podjęcia wysiłków na rzecz systematycznej odbudowy więzi z klasą robotniczą i całym społeczeństwem. Położono nacisk na uświadomienie członkom i kandydatom podstawowej prawdy, że partia musi być siłą społeczną, potrzebną ludziom w różnych środowiskach.

Również i teraz, po zawieszeniu stanu wojennego, jest to jeden z najważniejszych celów, jakie stawiać muszą przed sobą organizacje i instancje partyjne na wszystkich szczeblach, a także poszczególni towarzysze. W jaki sposób cel ten jest realizowany, jakie miejsce zajmują organizacje partyjne w różnych środowiskach, co jeszcze przeszkadza i utrudnia działalność — to sprawy, których omówieniu poświęcono wiele miejsca w dyskusji na Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Programowej, która — z udziałem 300 delegatów i 100 zaproszonych gości — odbyła się niedawno w Sieradzu.

Działalność OOP i POP — stwierdził jeden z dyskutantów — jest nadal słaba, bowiem ich aktywowi brak odpowiednich argumentów, na których można by oprzeć pracę w ogniwach podstawowych. Daje się zauważyć narastające zjawisko obarczania ich coraz to nowymi uchwałami, zadaniami, które trzeba realizować — a z drugiej strony nie ma kto wysłuchać ich próśb i głosów. Członkowie podstawowych organizacji ciągle jeszcze są w sytuacji, gdy nie działają, lecz walczą, odczuwając przy tym często brak poparcia wyższych instancji, brak pomocy w sytuacjach szczególnie trudnych i konfliktowych.

To samo stanowisko reprezentowało kilka osób, zabierających głos w dyskusji. Mówiono o tym, że ilość nowych zadań, stawianych przed organizacjami podstawowymi jest obecnie tak duża, jak w latach 1978—79, a tymczasem organizacje są jeszcze słabe, często mało liczebne. Ich zadaniem na najbliższą przyszłość musi być ponowne zapuszczenie korzeni w środowisku — co wymaga i czasu, i wysiłk . Mnogość uchwał z góry utrudnia to zadanie. Zbytnie obciążenie organizacji podstawowych może przyczynić się do zniechęcenia ludzi. Przy ograniczeniu ilości zadań trzeba jednak dążyć do wykształcenia takich postaw, aby każdy członek partii nie tylko na zebraniu, ale w codziennym życiu przy warsztacie pracy, w sklepowej kolejce, w czasie spotkania ze znajomym realizował zalecenia partii, postępował w myśl jej najlepszych ideałów.

Jak dotąd zbyt mało miejsca w pracy partyjnej — zwłaszcza w środowisku wiejskim — poświęcono na kształtowanie indywidualnych postaw. Wiele zarzucić można było także metodom szkolenia partyjnego — schematowość, odgórnie narzucane, nieinteresujące członków w środowisku wiejskim tematy i w efekcie — brak dyskusji, spadek frekwencji. W br tematyka szkoleń jest bardziej interesująca, ale ludzie, zniechęceni, na zebrania nie przychodzą. Wysiłek pionu szkoleniowego tym bardziej więc powinien się skupić na doborze odpowiednich ludzi i właściwym ich przygotowaniu, takim opracowaniu tematów szkoleń, aby były one nie tylko aktualne, ale także konkretne, związane z sytuacją środowiska, w którym odbywa się szkolenie. „Nie wystarczy bowiem — jak stwierdził jeden z dyskutantów — mówić do rzeczy. Trzeba mówić do ludzi". Nie wystarczy powiedzieć, że my, partia, jesteśmy. Trzeba być. Jak być? Działać tak, aby powstało zapotrzebowanie na obecność partii we wszystkich środowiskach..."

W niektórych środowiskach, przeważnie tam, gdzie organizacje partyjne są silniejsze i bardziej aktywne, zapotrzebowanie takie już istnieje. Przykładem — wieluński „Zugil". W 1982 r. zakład przeżywał głęboki kryzys gospodarczy, wynikający z faktu orodukowania na cele inwestycyjne. Zainteresowanie tym asortymentem, wobec drastycznego ograniczenia inwestycji spadło, co groziło poważnymi konsekwencjami dla zakładu jako całości, a także dla znacznego odsetka załogi. Pracownicy oczekiwali od partii — jako jedynej, działającej w stanie wojennym organizacji — opracowania skutecznych metod przezwyciężenia tej sytuacji. Program, opracowany przez organizację partyjną został zaaprobowany przez ludzi i obecnie można już stwierdzić, że sprawdził się w realizacji. To przyczyniło się do odbudowy autorytetu partii i zaufania do niej. Korzystne zmiany w tym kierunku pogłębiają powoli, lecz systematycznie rozmowy, prowadzone zarówno z członkami organizacji zakładowej, jak i bezpartyjnymi pracownikami bezpośrednio na stanowiskach pracy. Rozmowy, w których porusza się, obok problemów ideologicznych także inne, nurtujące ludzi zagadnienia — od spraw dotyczących gospodarki w skali makro aż po zwykłe, codzienne trudności i kłopoty.

Nie brakło także głosów, omawiających działalność partyjną, bądź też zadania, stojące przed organizacjami w poszczególnych środowiskach. „Minęło ponad 6 miesięcy od IX Plenum KC PZPR na którym omawiano sprawy młodzieży. Powstał program — ale nie przyniósł odczuwalnych efektów" — stwierdził jeden z dyskutantów. Wydaje się, że w pracy z młodzieżą popełniono stary błąd. Programy już były, i to tak dobre, że nic właściwie nie straciły na aktualności. Ale w ten sposób młodzieży się nie wychowa. Front wychowawczy tworzy kierownik zakładu, brygadzista, ludzie spotykani co dzień, przy stanowisku pracy. Ich słowa muszą być zgodne z działaniem — inaczej nie uzyska się żadnych efektów, nie pozyska młodzieży. W czasie szkoleń natomiast trzeba ludziom młodym dać odpowiedź na podstawowe pytania: co to jest socjalizm, jaki jest on i jaki być powinien w Polsce? Odpowiedzieć nie wielkimi słowami, lecz językiem młodzieży.

Niepokój budzi postawa wielu młodych ludzi — stojących z boku, wysuwających jedynie żądania i krytykujących wszelkie poczynania, podejmowane w ich imieniu czy też dla ich dobra. Trzeba, aby sami uczestniczyli w tym działaniu, aby mogli sprawować władzę, odczuwając nie tylko jej urok, ale także skutki źle podjętych decyzji. Nie wystarczy krytykować innych. Trzeba być i działać, pamiętając, że nieobecni po prostu się nie liczą.

Wielkie pole do popisu mają członkowie partii i organizacje partyjne w środowisku służby zdrowia w województwie sieradzkim. Wielu lekarzy dojeżdża z Łodzi. Brak silniejszych związków z terenem odbija się na jakości pracy. Należy podjąć kroki, zmierzające do zapewnienia wsiom i miasteczkom w województwie stałej kadry lekarskiej, ludzi, którzy żyć będą problemami terenu nie tylko przez czas pracy w ośrodku. Niepokój budzi również duża fluktuacja kadr lekarskich — zwłaszcza zajmujących stanowiska kierownicze — do czego w pewnej mierze przyczyniają się konflikty na linii ZOZ — Wydział Zdrowia UW. Wydaje się, że ingerencja przedstawicieli administracji w kompetencje kierowników placówek służby zdrowia jest niekiedy zbyt daleko posunięta.

Co najmniej tak samo niepokoić musi sytuacja w oświacie. Szczególnie groźne zjawiska to brak kwalifikacji kadry nauczycielskiej, zwłaszcza na wsiach, reklerykalizacja oświaty, koniunkturalna i deklaratywna ideowość niektórych kierowników placówek, dopuszczanie do szkół obcej ideologii. Nieudolność kierownictw nie doprowadziła do pojednania zwaśnionych zespołów w czasie trwania stanu wojennego. Obecnie, gdy obowiązujące wówczas rygory zostały zniesione, znowu widać rozprzężenie, dochodzą do głosu niewłaściwe postawy. Tymczasem niektórzy przedstawiciele władz oświatowych demonstrują samouwielbienie i pełne zadowolenie z sytuacji, nie dostrzegają naruszania przez nauczycieli norm moralnych i etycznych, a nawet bronią ich, gdy zarzuty takie padną, używając m. in. argumentu o ich właściwej pracy dydaktycznej. Tymczasem w przypadku nauczycieli ocena ta nie może być oddzielana od oceny postawy. Obserwowane w oświacie zjawiska budzą niezadowolenie lokalnych społeczności, niewiarę w prawdziwą odnowę.

Na konferencji podnoszono także sprawę, która od wielu miesięcy pojawia się w czasie wszystkich spotkań i narad, bez względu na to, jaka organizacja czy jakie środowisko je organizuje: budowa wysypiska pyłów dymnicowych i żużla jednej z łódzkich elektrociepłowni w Sieradzu-Męce. Opinię społeczną bulwersuje i niepokoi fakt, że wszelkie podejmowane w województwie działania nie przynoszą oczekiwanego efektu: zmiany decyzji o budowie tego obiektu. Nie wdając się w ocenę merytoryczną argumentów za i przeciw trzeba odpowiedzieć na pytanie: czyje racje powinny zwyciężyć — organu administracji centralnej czy też władz wojewódzkich, z którymi w tym przypadku od początku zgadzają się reprezentanci wszystkich środowisk, także nie istniejących już organizacji, działających przed wprowadzeniem stanu wojennego.

Nie sposób omówić wszystkich wątków, jakie pojawiały się w czasie blisko 10 godzinnych obrad konferencji. Wnioski, dotyczące zarówno działalności wewnątrzpartyjnej, jak i uczestnictwa partii w całokształcie życia społecznego i gospodarczego województwa znalazły swój wyraz w przyjętej uchwale. Na zakończenie chciałabym przytoczyć fragmenty wypowiedzi jednego z dyskutantów który, jak się wydaje, określa jedno z najważniejszych zadań całego społeczeństwa, w tym także organizacji partyjnej — tworzenie płaszczyzny porozumienia i współdziałania. „Zadania, jakie stoją przed PZPR nie mogą być zrealizowane tylko siłami partii i klasy robotniczej. Nie może o tym być mowy bez powszechnego sojuszu..." ■

KTÓRĘDY DO PRZODU?

Z czym do młodych?

Tytułowe pytanie wydać się może retorycznym. Jak to z czym? Z zaspokajaniem pilnych potrzeb materialnych! Młodzi wszak — częściej niż starsze roczniki Polaków nie urządzeni mieszkaniowo-meblowo, z niższymi zarobkami, wyższymi kosztami wynikającymi z wymogów odchowania potomstwa — odczuwają szczególnie dotkliwie następstwa kryzysu. Tym bardziej, że obiektywne dolegliwości potęgowane są przez subiektywne rozczarowania brutalnym rozwianiem wpajanych usilnie i skutecznie przez wychowanie minionej dekady nadziei na obfitość dóbr wszelakich, na wzór i podobieństwo witryn Zachodu. Stąd uwaga organizacji młodzieżowych i instytucji państwowych działających na rzecz młodzieży skupia się nie tyle głównie, co niemal wyłącznie na zabieganiu o poprawę materialnej sytuacji młodych.

Otóż twierdzę, iż takie działanie jest i bezspornie konieczne, i stanowczo niewystarczające. I to na tyle niewystarczające, że nie poprawa materialnych warunków przesądzać będzie o pozyskiwaniu młodych dla realnego socjalizmu oraz — co nie mniej istotne i współzależne — socjalizmu dla młodych.

I to z wielu powodów.

Pierwszy i chyba najoczywistszy wynika z obiektywnego faktu, że niewiele w istocie daje się zrobić w kryzysowej sytuacji i szczególnie niekorzystnych uwarunkowaniach zewnętrznych wychodzenia zeń. Stąd zabiegi w tej dziedzinie mają charakter podobny do przeciągania krótkiej kołdry (vide priorytety w kilkuletnich kolejkach do pralek automatycznych, lodówek czy mebli), łatanie dziur (np. mieszkania ze strychów), bądź organizowania nawrotu gospodarki naturalnej (zbuduj sobie sam). Nie neguję celowości takich poczynań. Wręcz przeciwnie — pochwalam ich przydatność tym bardziej, że alternatywą byłaby bezpłodna rozpacz i demobilizująca bierność. Niemniej jednak nieuchronna niewspółmierność efektów takich działań z obiektywnymi potrzebami, a tym bardziej rozbudzonymi uprzednio aspiracjami będzie powodować sytuację, że cokolwiek się zrobi w tej sferze — okaże się, że za mało i za kiepsko. Nie sposób zatem oczekiwać usatysfakcjonowania i entuzjastycznego zaangażowania młodych. Stąd trzeba robić co się daje i jak się daje w tej dziedzinie dla młodych (a dałoby się więcej, gdyby np. jak w Rumunii uchwalić zasiedlenie bezdomnymi rodzinami pustostojących daczowill, co wielekroć proponowałem i podtrzymuję!), ale nie poprzestawać na tym tylko czy głównie.

Kluczowa sfera aktywności na rzecz młodych, a i młodych, wynikać winna z załamania się systemu wartości organizujących współzależną aktywność członków społeczeństwa.

Idea jednocząca nas w przeszłości, oskubana ze wzniosłych słów przesłaniających wstydliwsze jej aspekty, sprowadzała się w istocie do dążności osiągnięcia obfitości dóbr wszelakich. Różnice międzyustrojowe w tej materii zasadzały się na tym, że kapitalizm zakładał konkurencyjną walkę jednostek, klas i społeczenstw o osiąganie tegoż, socjalizm zaś obiecywał sprawiedliwe zapewnienie takiegoż dostatku każdemu wedle pracy, a w przyszłości i wszystkim wedle potrzeb.

Stanowiło to, oczywiście, zwulgaryzowanie klasycznych ideałów socjalizmu naukowego. Zastąpienie marksowskiej wizji człowieka bogatego w uzdolnienia, sfery aktywności i zdolności przeżywania — przez drobnomieszczański ideał człowieka bogatego w rzeczy. A zatem i zniewalanego przez przymus ich osiągania, szukania samopotwierdzenia w zdolności zdobywania ich więcej i wystawniejszych od innych To wszystko prawda. Niemniej jednak, twierdzę, taka właśnie była dominanta właściwej dla czasów minionych wykładni idei socjalizmu, sprowadzającej się do doganiania wysoko rozwiniętego kapitalizmu w obfitości dóbr — i taka właśnie idea stała się u nas siłą materialną, gdyż opanowała masy. Najsilniej i najskuteczniej te ich pokoleniowe odłamy, które nie były jeszcze obecne bądź świadome w czasach, gdy socjalizm interpretowany był w sposób mniej prostacki, życie było wprawdzie uboższe w materialia (nawet jak obecnie w kryzysie!), ale bogatsze w dostępne każdemu szanse samorealizacji i społecznego uznania I dlatego młodym, wraz z bankructwem nadziei na obfitość dóbr konsumpcyjnych, załamał się główny element ideologii, w której wyrośli i którą w olbrzymiej większości zaakceptowali. Tym silniej, że w naszym kraju u wszystkich młodych rozbudzone zostały apetyty, a zaledwie niewielki odsetek dobrze urodzonych zyskał możliwości ich zaspokojenia Stąd właśnie współcześnie młodzi stają się — jak to trafnie nazywa Edmund Lewandowski („Odgłosy" nr 7) — nie tyle bezideowi, co bezideologiczni.

Zaabsorbowanie polskimi kłopotami sprawia, że nie dostrzegamy, iż zjawiska takie są nie tylko naszym udziałem. Wcześniej załamanie szans na ciągłe zwiększanie obfitości dóbr nastąpiło na Zachodzie na skutek ciągnącej się od zarania lat siedemdziesiątych serii kryzysów, z których nie widać skutecznego wyjścia. W szczególności zaś w następstwie ujawnienia się kryzysu surowcowo-ekologicznego, obnażającego niemożność ciągłego zwiększania rozmiarów przerabiania przyrody na towary. I tamże właśnie wystąpiło pierwej także i załamanie się głównego elementu konstrukcji ideologicznej motywującej aktywność zawodową i obywatelską. Reakcje na to były trojakiego rodzaju.

Jedne, właściwe głównie dla pokoleń starszych, już jako tako urządzonych i zabiegających o utrzymanie osiągniętego standardu bądź łagodzenie spadku, objawiają się w upowszechnianiu postaw o cechach hipokryzji. Wnikliwy badacz tamtejszych zachowań społecznych, David Riesman, uznaje to za postawy umożliwiające funkcjonowanie społeczeństwa dlatego, że właściwa dlań obłuda, zakłamanie nakazuje jednak ukrywanie się z poglądami i zachowaniami otwarcie aspołecznymi. Chociaż hipokrytycznie nastawieni nie wierzą w głębi ducha w społecznie uznane ideały i wartości, fakt, iż je głoszą sprawia, że nolens volens muszą się i zachowywać wedle nich. Wprawdzie niekonsekwentnie i bez zaangażowania emocjonalnego, ale jednak w sposób prospołeczny.

Drugi rodzaj postaw, upowszechniających się wśród roczników dwudziesto-, trzydziestopięciolatków, nazywa David Riesman egocentryzmem. Nie mylić z egoizmem. Ta ostatnia postawa jest bowiem właściwa dla kapitalistycznych stosunków, i rozumny egoizm nakazuje wywiązywać się z obowiązków wynikających ze współzależności bytu społecznego. Egocentryzm natomiast objawia się w świadomym minimalizowaniu swych potrzeb materialnych i duchowych po to, by minimalizować swą aktywność zawodową i społeczną oraz w otwartym, bez żenady wyznawaniu dosiębiernej postawy we wszelkiego rodzaju stosunkach międzyludzkich. Postawy te obejmują, wedle Riesmana, wszelkie sfery życia ludzkiego, z męsko-damskimi włącznie. Stąd niechęć do zobowiązań wynikających z zakładania trwałej rodziny, skłonność do doraźnych kontaktów i traktowania partnera, jako instrumentu do osiągania przyjemności, bez jakiegokolwiek uczuciowego zaangażowania. Młodzi-dorośli, spóźnieni do dostatków „społeczeństwa dobrobytu", w obliczu krachu koncepcji zakładających ciągłe zwiększanie rozmiarów przerabiania przyrody na produkty i zasypywania wszystkich i wszystkim, reagują bezideologicznością właśnie, otwartym nastawieniem na to, by jak najmniej oczekiwać od społeczeństwa, ale i jak najmniej dawać z siebie w zamian

Piszę o tym jednak nie po to, by straszyć. Zgodnie z formułą określaną przez nadtytuł tego felietonu, głównie dlatego, by uczestniczyć w poszukiwaniu remediów. W tym zaś okazują się pomocne obserwacje poczynione w połowie ubiegłej dekady w Stanach Zjednoczonych, a i gdzie indziej, z Polską włącznie, świadczące, że David Riesman nie wyczerpał skali reakcji na kryzys ideologii konsumpcjonizmu.

Pominął mianowicie, szczególnie silną wśród młodszych roczników, skłonność rekompensowania tamtego niedostatku dążnością do samorealizacji przez pełnienie misji społecznej. Określam to tak staroświecko, bowiem żadna nazwa nie wydaje mi się trafniejsza dla traktowania, jako wartości szczególnie ważnej, służby społecznej przez dążenie do naprawienia świata bądź zbawienia ludzi.

Dążność to na tyle silna i powszechna, że gdzie braknie naturalnych form jej realizacji, przebija się tworzonymi żywiołowo bądź przez grupy świadomie wykorzystujące taką potrzebę. Widziałem to w USA w postaci gwałtownego rozwoju sekty Moona, która pozyskiwała setki tysięcy młodych przez oferowanie im roli apostołów „nowej prawdy". Sądzę, że i takież było częstokroć źródło angażowania się w naszym kraju w niedawnym czasie nastolatków w akcje ekstremistyczne.

Przezwyciężanie niebezpieczeństw upowszechniania się takich zaplątań, czy ucieczki w egocentryzm, wymaga nieograniczania oferty, z jaką wychodzą do młodych instytucje i organizacje socjalistyczne do pomocy w materialnym samourządzaniu Niezbędne jest otwarcie młodym możliwości walczenia o naprawę socjalizmu w sposób partnerski. Nie tylko oklaskami dla pomysłów starszych i posłusznym wykonawstwem poleceń, lecz z zaangażowaniem intelektu, serca, talentu i odwagi. A zatem i osiągania satysfakcji z uczestnictwa w zbawianiu Polski i Polaków

MARIUSZ GULCZYŃSKI

Rys. Szymon Kobyliński

SPRAWA GEN. WŁODZIMIERZA ZAGÓRSKIEGO (2)

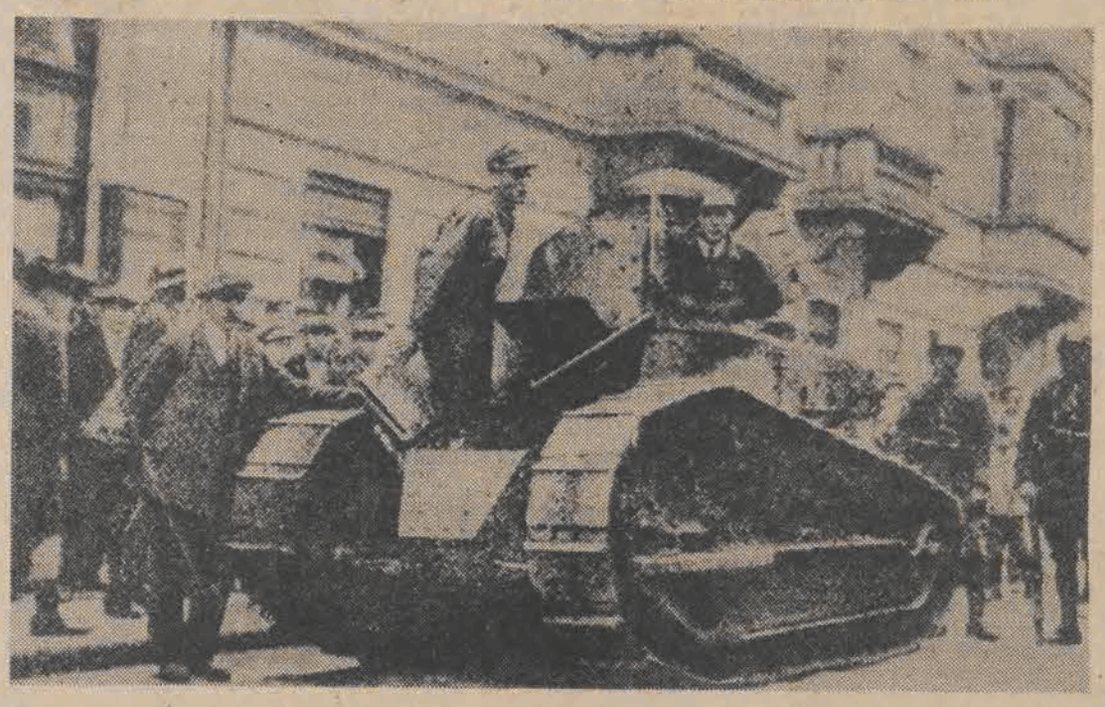

Oskarżenie

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

W kwietniu 1921 roku odszedł z wojska płk. Włodzimierz Ostoja-Zagórski. Było to już drugie jego rozstanie się z czynną służbą w niepodległej Polsce. Nie było to jednak rozstanie na stałe.

Od czynnego życia politycznego odszedł Józef Piłsudski i zamknął się w Sulejówku. Odejście Józefa Piłsudskiego spowodowało powrót do wojska jego przeciwników. Gen. Władysław Sikorski został premierem, a następnie ministrem spraw wojskowych. Wtedy też wrócili do czynnej służby i objęli wysokie stanowiska gen. Józef Haller, gen. Stanisław Szeptycki, a także płk. Włodzimierz Ostoja-Zagórski, ale to był już rok 1923. Przedtem

BYŁ JESZCZE FRANCOPOL

Była to Spółka Akcyjna, Francusko-Polskie Zakłady Samochodowe i Lotnicze. Wprawdzie Jerzy Rawicz w książce „Gen. Zagórski zaginął..." podaje inną nazwę: Francusko-Polskie Zakłady Budowy Płatowców i Silników, ale złą karierę zrobił skrót tej nazwy: Francopol. Włodzimierz Zagórski był współzałożycielem i udziałowcem tej spółki. Afery gospodarcze — jak byśmy dziś to określili — zdarzały się i wówczas i to chyba częściej niż dziś. Włodzimierz Zagórski — jako współzałożyciel i udziałowiec Francopolu został wmieszany w taką aferę.

W 1921 roku zawarto umowę z Francopolem na dostawę 2 630 samolotów i 5 300 silników. Dostawa ta miała być zrealizowana w ciągu 10 lat od rozpoczęcia ich produkcji. Ministerstwo Spraw Wojskowych miało wyasygnować dla Francopolu zaliczkę na wykupienie gruntów pod budowę zakładów. Ale uznało, że jest to transakcja zła i wycofało się z tej decyzji. Jerzy Rawicz utrzymuje, że firma ta *„kantowała bez skrupułów skarb państwa Polskiego"*. Miało to polegać między innymi na tym, że *„realizowano na przykład w cenach gwarantujących firmie wygórowane zyski zamówienia na zespoły samolotowe niezdolne do latania"*. W aferze tej miał zorientować się francuski specjalista na służbie w wojsku polskim — gen. Leveque i jego zastępca gen. Ludomir Rayski. Zerwali umowę z Francopolem.

Płk. Włodzimierz Ostoja-Zagórski powrócił do służby w wojsku w 1923 roku. Początkowo kierował wydziałem w Ministerstwie Spraw Wojskowych, później Departamentem Przemysłu Wojennego. Na początku 1924 roku został generałem brygady, a w sierpniu 1924 roku objął Departament Żeglugi Powietrznej. Został szefem wojsk lotniczych. W grudniu 1924 roku zmieniona została — albo zawarta ponownie — umowa z Francopolem. Tym razem francusko-polska firma miała dostarczyć 700 silników lotniczych i 500 płatowców.

Gen. Włodzimierz Zagórski w listopadzie 1924 roku — a więc przed podpisaniem umowy — przesłał ją do zaopiniowania Prokuratorii Generalnej. MS Wojskowych nie uwzględniło jednak wszystkich uwag Prokuratorii Generalnej, a w marcu 1926 roku stwierdzono, że Francopol zużył otrzymane jako zaliczkę pieniądze na inne cele, niż to było przewidziane w umowie. Rozważano nawet możliwość zerwania umowy, ale nie wcześniej niż we wrześniu 1926 roku.

SYTUACJA ISTOTNIE BYŁA DWUZNACZNA

Umowy z firmą, której udziałowcem był gen. Włodzimierz Zagórski, podpisywał i miał na nie wpływ gen. Włodzimierz Zagórski — wysoki urzędnik MS Wojskowych. Nic więc dziwnego, że gen. Ludomir Rayski w wiele lat później, już na emigracji, napisze w książce, co cytuje Jerzy Rawicz, że gen. W. Zagórski proponował mu swoje zastępstwo. Wówczas to gen. L. Rayski miał powiedzieć:

— *„Nie pójdę na zastępcę takiego generała, który podpisuje kontrakt z samym sobą, w dodatku kontrakt szkodliwy dla państwa"*.

Gen. Ludomir Rayski wysuwa też pod adresem gen. Włodzimierza Zagórskiego inne zarzuty:

„...gen. Zagórski bowiem, kupując, nie zażądał próby statycznej. Współczynnik bezpieczeństwa miał być — jak dla wszystkich samolotów — 13. Okazało się, że jest — 6,5..."

Chodziło o samoloty myśliwskie Bleriot-Spad, które rozlatywały się w powietrzu.

Trzeba jednak pamiętać, że gen. Ludomir Rayski po zamachu majowym w 1926 roku objął stanowisko, które do tej pory piastował gen. W. Zagórski i nie opuścił go aż do września 1939 roku. A wspomnienia swoje pisał już po wojnie, kiedy był obwiniany o niedocenianie lotnictwa w przedwojennej Polsce. Wysuwano wobec niego również i inne zarzuty, a Jerzy Rawicz określa je jako *„niemałe"*.

Dziś się możemy wielu rzeczy domyślać, stawiać hipotezy, snuć rozważania. Być może ktoś z żyjących jeszcze świadków uchyli rąbka tajemnicy. W każdym razie zarówno Jerzy Rawicz („Gen. Zagórski zaginął..."), jak i Zbigniew Cieślikowski („Tajemnica śledztwa KO-1042/27") dotarli do dokumentów, jakie się zachowały, a nie wszystko się przecież zachowało, i też pozostali przy domysłach. Jerzy Rawicz posunął się nawet tak daleko, że utrzymuje, iż *„zbyt wielu możnych ówczesnego świata zamieszanych było w sprawę Francopolu"*, że mieli kontakty z ludźmi rządzącymi przed majem 1926 roku, jak i po maju i że do sprawy sądowej by nie doszło, gdyż nie było takich chętnych, którzy odważyliby się ich zdemaskować.

Można się też domyślać, że w tym czasie gen. Włodzimierz Ostoja-Zagórski

PODJĄŁ PRÓBĘ POJEDNANIA Z JÓZEFEM PIŁSUDSKIM

Podstawę do takiego mniemania stwarza opublikowany 6 sierpnia 1924 roku w „Polsce Zbrojnej" artykuł jego pióra zatytułowany „Jak zostałem szefem sztabu Komendy Legionów". W tym to artykule — a było to w dziesięciolecie utworzenia Legionów — autor pisze między innymi:

„...osoba Józefa Piłsudskiego zaczęła się wysuwać na pierwsze miejsce, imię jego stało się od razu głośne".

I jeszcze:

„Słusznie więc aureola otacza czoła najpierwszych inicjatorów idei niepodległości... Gdy miną partyjne i osobiste wpływy, gdy miarodajnymi będą prawdziwe walory, wówczas dopiero, niestety późno, choć może nie za późno, uznanie i wdzięczność narodu zrównoważą zasługi".

Pamiętajmy — Józef Piłsudski obrażony na rządzących i naród siedzi w swej „pustelni", w Sulejówku. Szykuje się do zamachu. Rządzą jego ideowi i polityczni przeciwnicy. Ale wśród nich są również jego wierni ludzie, którzy solidnie i konsekwentnie wykonują jego polecenia. Pojednania więc być nie mogło. Być może gen. Włodzimierzowi Zagórskiemu wydawało się, że to on jest zwycięzcą, a ten w Sulejówku pokonanym. Jakież to było nierealne. Ten pokonany szykował się do ataku i już niebawem gen. Włodzimierz Ostoja-Zagórski miał się przekonać o sile uderzenia i zrozumieć, że pojednania nie będzie. Nadal ma obowiązywać odwzajemniona nienawiść.

DO ATAKU RUSZYŁ CZOŁOWY HARCOWNIK PIŁSUDCZYKÓW

redaktor „Głosu Prawdy" Wojciech Stpiczyński.. Tenże sam, który 9 sierpnia 1924 roku w artykule „Po dziesięciu latach.." opublikowanym w „Głosie Prawdy" domagał się *„od naszych mężów stanu i polityków rachunku sumienia"*. Żądał, aby wyjawili:

„Czego dokonali w Sejmie, na fotelach ministerialnych, na szachownicy gry politycznej? Niech odpowiedzą na pytanie, które błąka się od krańca do krańca Polski i daleko poza jej granicami: dlaczego nie zdobyli się na siłę podjęcia decydującej walki o powrót Marszałka Piłsudskiego do steru życia politycznego, bez czego nie może być mowy o przywróceniu Polsce autorytetu i bezpieczeństwa, o jasnej przyszłości budowanej na niewzruszonych podstawach jej misji dziejowej". (Cytuję za Andrzejem Garlickim z jego książki „Przewrót majowy").

6

Dokończenie ze strony 1

za którą pan Kazimierz Plocek płaci.

Pan Klimek pojechał w jedną stronę, to znaczy wrócił do swojego obejścia, a ja z panem Plockiem weszliśmy do schludnego, piętrowego domku ze strychem. Stał rzeczywiście w samym środku bloków, tak trochę bokiem, jak rogatywka bitnego ułana, i ocierał się o ścianę jedenastopiętrowego mrówkowca.

— Słyszałem, że naraził się pan mieszczuchom z bloków, bo podobno kopci pan z komina?

— E, panie, co ja tam kopcę!

— Ma pan centralne ogrzewanie?

— Tak. Ale miejscowe. Palę koksem, a koks dymu nie daje. No, ale jak zaczęli na mnie wrzeszczeć, to, panie, zacząłem wstawać po nocy i palić o piątej rano, a obiad gotujemy na maszynce elektrycznej, żeby tylko nie dawać powodów.

— I co? Dalej wrzeszczą?

— Jedni wrzeszczą, a inni przestali. Najbardziej wrzeszczy pani Antczakowa i pani Koszkowska z Komitetu Osiedlowego. A tu, niech pan zobaczy, mam dwadzieścia siedem podpisów tych lokatorów, którym mój dom nie przeszkadza.

Niektóre podpisy są czytelne, więc je notuję: Józef Witka, Mirosław Białecki, Barbara Milewska, Irena Lipińska. Pytam:

— Kiedy się to wszystko zaczęło?

— W siedemdziesiątym drugim. Chcieli nas na grandę wywłaszczyć, ale zrobili to w ośmiu ratach. Oprócz domu miałem tutaj cztery hektary gruntu, a dwa pod lotniskiem. Ziemia była dobra, drugiej i trzeciej klasy, ale zabrali ją kawałek po kawałku. Gospodarzyłem do ostatniej chwili i to dobrze. Co roku wiozłem na skup tysiąc, nieraz i dwa tysiące kilogramów żywca. Było trudno, bo, wie pan, gospodarstwo rozbite, ziemi coraz mniej, inwentarz u sąsiada; zboże, to z braku stodoły zacząłem trzymać na strychu własnego domu; w końcu w ogóle nie miałem już ziemi za oknem, ale była jeszcze to pod lotniskiem, niecałe dwa hektary — sadziłem i sadzę tam do dzisiaj ziemniaki i kapustę, siałem owies i żyto, byle tylko przetrwać kolejny rok, albo choćby parę miesięcy.

— Tak bardzo kocha pan ziemię?

— Przecież to mój zawód. Innego nie mam, renty także nie dostanę.

— Mógłby pan zagospodarować się poza miastem.

— Kiedy, panie, ja retkiniak jestem z dziada pradziada. Przywykłem do tych stron.

— Ale przecież wszystko się tutaj zmieniło — inny pejzaż, nie mający nic wspólnego ze wsią, inni ludzie...

— Ale dom ten sam, proszę pana. Ten sam!

2

Opowiedział mi historię swego życia. W 1938 roku, jako dziewięcioletni chłopak, pracował już ciężko na roli, bo umarł ojciec, dziadek był stary, schorowany, ktoś musiał pomóc matce i młodszemu rodzeństwu. Mieszkał wówczas na Balonowej, mieli tam pięciohektarowe gospodarstwo, z którego w 1942 roku zostali wysiedleni przez Niemców. Po wyzwoleniu, kiedy Plockowie wrócili na Balonową, zastali swoje obejście zniszczone i zdewastowane, brakowało budynku mieszkalnego, zabudowań gospodarczych i narzędzi. Siostra i brat rozpoczęli naukę, początkowo w szkole podstawowej, później w szkołach średnich i wyższych, tak że znowu cały ciężar gospodarstwa spoczywał na barkach pana Kazimierza.

— Początkowo — wspomina — mieszkaliśmy kątem u sąsiadów, z czasem udało mi się zbudować dom, obory, stodołę, szopy i ogrodzenie. Założyłem półhektarowy sad, dorobiłem się żywego inwentarza. Rozwój gospodarstwa dawał mi ogromne zadowolenie, tym bardziej, że dziadkowie obiecali zapisać mi połowę majątku będącego wówczas ich własnością. W 1950 roku zmarł dziadek, a w siedem lat później babcia, nie dokonując przyrzeczonego zapisu, pozostałem więc jeszcze w gospodarstwie dwa lata, a później, będąc już po trzydziestce, postanowiłem założyć własną rodzinę, czemu ostro sprzeciwiła się matka.

Ponieważ nie usłuchałem jej i ożeniłem się, zostałem ukarany. Zamiast mnie zaczął gospodarzyć z matką mój brat Bronisław, który przerwał studia na Politechnice. Ja byłem już zbędny, zmuszony opuścić ojcowiznę, gdzie zostawiłem zresztą swój własny, ciężko wypracowany dorobek: sześć sztuk bydła, konia, prośną maciorę i odbudowane gospodarstwo. Zamieszkałem u teściów, nie posiadając nic prócz jednego ubrania. Było mi z tego powodu bardzo przykro, jednakże nie pasłem złości, często przychodziłem do matki, brata i siostry, żeby pomóc im podczas żniw, przy młocce i w innych pracach gospodarskich. Starałem się

Zawał w obronie własnej

być dobrym synem, co mogą poświadczyć sąsiedzi i znajomi.

Będąc już u teściów, właśnie tu, przy ulicy Hufcowej, która kiedyś nazywała się Brzózki, robiłem wszystko, żeby się usamodzielnić, dlatego też wydzierżawiłem od wuja, który mieszka w Australii, dwa hektary gruntów ornych, a jeśli chodzi o dom, to wniosła mi go w posagu żona. Samego budowała, jeszcze przed ślubem — starała się o cegły, drewno, szkło, dachówkę. Rzadko która kobieta ma w sobie tyle rozumu, uporu i siły.

Wychodzę z panem Kazimierzem na dwór i oglądam dom ze wszystkich stron. Jest ładny, kwadratowy, starannie pomalowany, niczym nie przypominający wiejskiej chałupy, wprost przeciwnie — są ludzie, którzy nazwaliby go willą. W środku, choć nie awizowałem swej wizyty, też jest ładnie: trzy duże, czyste, gruntownie wyposażone pokoje, jakże inne od tego, co spotykamy w wioskach, bo to nie tylko telewizor i radio, ale również regał biblioteczny, reprodukcje znanych i uznanych obrazów. Wzorowy ład panuje również w kuchni — żona pana Kazimierza, Lucyna, częstuje herbatą, ciastkami, jest ser i wędlina, koniak też by się znalazł, tylko że ja ostatnio nie piję.

Państwo Plockowie mają dwie córki: starsza studiuje na Akademii Medycznej, a młodsza uczy się w Technikum Ogrodniczym. Pani Lucyna natomiast ma robotniczą biografię, przepracowała trzydzieści pięć lat w „Iwonie". Ostatnio była brakarką, od niedawna jest na rencie po ciężkim zawale i długim pobycie w szpitalu.

Mówi:

— Takie nerwy i emocje, jakie my tutaj przeżywamy codziennie, mogą zabić najzdrowszego człowieka. Jak tylko słyszymy pukanie do drzwi, albo nadjeżdżający samochód, serce podjeżdża nam do gardła, czy to znowu nie nakaz eksmisji, lub inne szykany. Jak córka przygotowywała się do egzaminów wstępnych na Akademię, wyłączyli nam światło.

— Czy ten dom jest już wywłaszczony?

— Już dawno.

— Ile otrzymaliście państwo za niego?

— W ogóle za całe gospodarstwo sześćset tysięcy, a za dom z początku 152 tysiące, potem 220, a w końcu 280.

— A ile, według państwa, wart jest ten dom?

— Trzy miliony.

— Może pan napisać — wtrąca pan Kazimierz — że oni mi dali 280 tysięcy, a ja, jeśli tylko zostawią mnie w spokoju, dam im czterysta.

— Problem jest jednak — mówię — że oni zapłacili, a pan dalej tu mieszka.

— Nie ruszyłem ani grosza z tych pieniędzy. Są zdeponowane w banku, w każdej chwili mogą je odebrać.

— Faktem jest również — dodaję — że pańska żona oraz starsza córka i zięć mieszkają już w blokach.

— Owszem, mieszkają. Od dawna starali się o mieszkanie, więc czemu mieliby nie mieszkać? Chłopskie dziecko też jest człowiekiem, trudno żebyśmy wszyscy żyli razem w trzech pokojach. A co będzie, jak przyjdą wnuki?

— Czy i panu proponowali jakieś mieszkanie?

— Tak. Własnościowe, i na Widzewie. Na własnościowe, to ja nie mam pieniędzy, a na Widzew ochoty. Moje miejsce jest tutaj, na Retkini. I tak już, panie, długo nie pociągnę...

— Skąd te czarne nastroje?

— Z nerwów. Straszne to, proszę pana, jak podjeżdżają pod dom ciężarowe samochody i obcy ludzie zaczynają na pana krzyczeć, żeby się pan czym prędzej wynosił. Ja się tak wyrzucić nie dam. Niech pan pomyśli — początkowo mówiono, że trzeba mnie wysiedlić, ponieważ mój dom nie stroi z blokowym otoczeniem. Jednym słowem, mieli go rozebrać, a potem nagle dowiaduję się, że ta rozbiórka to kłamstwo, bo tak naprawdę to mają zamiar zrobić tu albo posterunek ORMO, albo centralę telefoniczną, albo warsztaty rzemieślnicze, albo biuro dla organizacji polityczno-społecznych. To ja się na to nie zgadzam. Moja żona budowała ten dom dla rodziny, a nie dla organizacji. Jak ja tu mieszkam, to im dom nie stroi, ale jak organizacja mieszka, to im stroi.

— Miasto jest jednak w trudnym położeniu. Jak wysiedlać, to wysiedlać, nie można robić wyjątków.

— A dlaczego? Tyle mówi się teraz o braku mieszkań, więc po co rozbierać takie dobre, duże mieszkanie? Po co zamykać rolnika w bloku jak w więzieniu, i to kosztem tych, którzy na mieszkanie czekają całymi latami. A najgorsze, proszę pana, są te wykręty. Niech pan zobaczy! — podsuwa mi plik papierów. — To są te wszystkie zawiadomienia o eksmisji. Przychodzą co miesiąc, nieraz co parę tygodni.

Foto: M. Zajdler

Kiedyś pisali, że mój dom trzeba rozwalić, bo polecą pod nim różne rury, zbrojenia, ujęcia gazu i wody. I co?... Okazało się, że wszystko to poszło bokiem, nie zahaczając o mój dom.

Fakt. Kazimierz Plocek ma mocne argumenty. Mówi:

— Jak mnie wywłaszczyli z domu, prosiłem od razu, abym w razie zmiany decyzji miał prawo pierwokupu. Pisałem w tej sprawie podanie, nie ruszałem pieniędzy, gotów jestem nawet nadpłacić.

— A jeśli jednak rozwalą ten dom?

— Może i rozwalą. Wówczas — o, tu jest podanie! — proszę władze, aby pozwoliły mi wykupić to, co po nim zostanie.

— I co pan z tym zrobi?

— Ano, tam, na Prądzyńskiego pod lotniskiem, zbuduję oborę i inne pomieszczenia gospodarcze.

— I dalej będzie pan rolnikiem?

— No, pewnie.

— Tak bardzo kocha pan ziemię?

— Mówiłem już panu. A, nieraz to sobie myślę: wyprawię rodzinę z domu, wejdę na strych, oblewę wszystko benzyną i się spalę.

— Żona chciała od pana odejść?

— Chciała, ale już nie chce. Pan zobaczy, wszyscy tutaj ciągną: żona, zięć, córka, chociaż mają mieszkanie w blokach, tu jedzą obiady i spędzają wieczory.

Pani Lucyna pokazuje mi dwa pisma z Urzędu Dzielnicowego Łódź-Polesie. Są to dwa wezwania do opuszczenia lokalu w jednym i tym samym dniu, 11 października 1982 roku, z tym, że pierwsze nakazuje opuścić im dom, a drugie — mieszkanie w blokach.

— To gdzie mamy iść, proszę pana? — zapytała zrozpaczona kobieta. — Na dworzec?

— Na każdym kroku słyszymy, że należy szanować rolnika — mówi z uśmiechem pan Plocek. — Przecież ja w dalszym ciągu jestem dobrym rolnikiem. Mimo tych trudnych warunków, wciąż odstawiam kapustę, kartofle, żywiec. I jesteśmy ludźmi społecznymi. Ja, żona, córka. Zawsze działaliśmy we wszystkich organizacjach, w GS, w ZSL, w Straży Ogniowej, w Kółkach Rolniczych, żona jeszcze na dodatek w Kole Gospodyń.

— Wszędzie sprawowałam odpowiedzialne funkcje — wtrąca pani Lucyna — Albo byłam skarbnikiem, albo w zarządzie. Wyróżniano mnie. Dostałam Złotą i Srebrną Odznakę Straży Ogniowej, a mąż — Honorową Odznakę Miasta Łodzi i odznakę Wzorowego Rolnika. Popiera nas Stronnictwo Ludowe, dużo życzliwości okazał nam wiceprezydent miasta i naczelnik dzielnicy. A przecież ciągle wisi nad nami eksmisja.

— Nie jest zawieszona?

— Jest. Ale tylko do końca miesiąca. Jak tylko pomyślę o tym, od razu boję się, że dostanę drugiego zawału.

3

Nie jestem sędzią, nie zamierzam wyrokować w tej sprawie, aczkolwiek moje sympatie są po stronie Plocków. Mamy do czynienia z klasycznym konfliktem interesów, za którym zawsze kryją się ofiary. Jednakże...

Można mieć ciężkie pretensje pod adresem władz, że tak długo, ponad dziesięć lat, wykonują wyrok na skazanych, że robią to w sposób tak niekonsekwentny, nękający, nieludzki.

Gdyby dokonać tego jednym cięciem, państwo Plockowie pogodziliby się już z tragedią. Teraz natomiast na to cięcie jest trochę za późno. Za dużo łez za tym stoi, za dużo chorób, a także... za dużo nadziei.

— Jak będzie trzeba — mówi na pożegnanie Kazimierz Plocek — zburzę szopę, ogrodzę pięknie dom, pomaluję dach i ściany, tak, aby ludzie z bloków nie narzekali, że mają lichego sąsiada. Zetnę nawet drzewa: brzezinę, orzech i czeremchę, żeby wszystko wyglądało po miejsku.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Jest partytura. Czekamy na koncert

EUGENIUSZ IWANICKI

Śledząc dyskusje prowadzone przy pomocy środków masowego przekazu na temat szeroko pojętej kultury, mam ochotę postawić pytanie: panowie, co to znaczy odrobić zaległości w kulturze? Jak to sobie wyobrażacie? Jeśli ktoś przez lata był pozbawiony wartościowej książki, czy teraz należałoby zapędzić go do biblioteki? Innego, który na skutek biegania z kolejki do kolejki nie oglądał przedstawień teatralnych, trzeba natychmiast posadzić na widowni i serwować do upadłego opuszczony przez niego repertuar, czy tak? A może dawny zakładowy dom kultury, zlikwidowany na skutek deficytu budżetowego i zamieniony na stołówkę lub biuro, wypełnić przypadkowymi zespołami? Czy oby na pewno tak? Słucham tedy mądrych dyskusji o odrabianiu zaległości i snuję niewesołe refleksje. Kultury nie można odrobić, to nie szarwark. To, co zostało zniszczone przez ostatnie lata, musimy spisać na straty. I nic na to nie poradzimy. Jedynie, co można dziś zrobić, to powstrzymać proces pogłębiającego się regresu w tej dziedzinie, by następnie rozpocząć tworzenie wartości kulturalnych niemal od podstaw.

W latach siedemdziesiątych wszystko odbywało się z rozmachem i zadęciem. Jako, że literatura jest mi najbliższa, posłużę się przykładami dotyczącymi jej upowszechniania. Wojewódzkie Wydziały Kultury i Sztuki dysponowały pokaźnymi zasobami pieniężnymi przeznaczonymi na spotkania autorskie. Takie spotkania organizowały domy kultury, biblioteki publiczne, biblioteki zakładowe, czasem towarzystwa przyjaciół poszczególnych miast. Przyjeżdżających pisarzy dyrektorzy WDK lub WBP kierowali często do wiejskich ośrodków, tzn. do klubów „Ruchu" lub do GOK-ów. A tam, już na miejscu, okazywało się, że na spotkanie nikt się nie zjawił, a jeśli już ktoś się pokazał, to przeważnie kilku młodych ludzi, którzy przyszli obejrzeć w klubie program telewizyjny. Nawet w miastach wojewódzkich z frekwencją na spotkaniach było skromnie, chyba że sprowadzono młodzież z internatu. Ale za to jak pięknie wyglądała statystyka!

W latach osiemdziesiątych byliśmy zajęci zupełnie czym innym. O kulturze mówiło się jakby mniej. Zresztą rozpoczęła się powszechna defensywa: placówki kulturalne nagle znalazły się w próżni. Na pierwszy plan wysunęła się sprawa przyszłości narodu, sprawa rynku, przemysłu, wytwarzania. Z rozpędu, co prawda, nadal działały domy kultury, czasami ukazywały się ciekawe książki — lecz było to działanie obliczone raczej na przetrwanie niźli na edukację narodową poprzez kulturę.

W ubiegłym roku zamieściłem w tym miejscu cykl artykułów dotyczących książki. Twierdziłem w nich, że żadne decyzje nie są w stanie nadrobić tego, co straciliśmy jako społeczeństwo na skutek braku książki w naszym życiu. Pisałem, że największe spustoszenie dotknęło dzieci i młodzież, że zostali pozbawieni lektur, i że czego Jaś nie przeczytał, Jan już nie przeczyta. Minie sporo czasu, nim edukacja poprzez książkę stanie się czymś normalnym. Moich ówczesnych wątpliwości i obaw nie rozproszyli ani księgarze, ani wydawcy, ani poligraficy. Kultura — mówili — jak inne dobra doczesne, będzie odbudowywana sukcesywnie. Przypominam o tym, ponieważ równie dobrze mógłbym wówczas napisać o placówkach kulturalnych, których jest ciągle za mało, a istniejące wymagają natychmiastowej pomocy inwestycyjnej, mógłbym napisać o edukacji kulturalnej w szkołach, gdzie często istniejący kwartet lub śpiewacze trio stanowią szczyt ambicji wychowawców i pedagogów, mógłbym wreszcie poświęcić sporo miejsca prestiżowi zawodu, jakim jest tzw. działacz kultury...

Nie tak dawno słuchałem radiowej wypowiedzi przewodniczącego Narodowej Rady Kultury prof. Bogdana Suchodolskiego. Żałuję, że nie zapisałem tego wystąpienia, bowiem należałoby bodaj zacytować jego fragmenty. Wszakże sens był mniej więcej taki: są trzy podstawowe prawdy dotyczące kultury. 1. — jej szczególna wartość. 2. — jej powszechność. 3. — konieczność edukacji kulturalnej, którą należy uzupełniać nie tylko dziełami literackimi, ale także naukowymi poświęconymi kulturze (m. in. pracami dotyczącymi socjologii kultury, kultury życia teatralnego, muzycznego itp.). Rada Kultury będzie inspirować działaczy kultury, szczególnie tych na prowincji, będzie im nieść pomoc i śledzić ich poczynania. Człowiek — mówił profesor — nie jest taki jakim jest, ale taki jak zostanie ukształtowany.

Myślę, że jest to punkt wyjścia na dziś. Edukacja kulturalna to sposób życia, to proces długotrwały i niełatwy. I dobrze się stało, że zajęły się nią najwyższe władze państwowe, że powołano Fundusz Rozwoju Kultury, że jest przygotowywana ustawa o upowszechnianiu kultury, że zapowiedziano nawet plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego PZPR poświęcone tej tematyce, że przestaje obowiązywać stara hierarchia, kiedy to wymieniając poszczególne dziedziny życia, kulturę wymieniało się na końcu, po handlu, gospodarce mieszkaniowej, przemyśle, rybołówstwie, zaopatrzeniu, uprawie rzepaku i pralnictwie.

Ten przydługi nieco wstęp jest wprowadzeniem do zasadniczego tematu. A jest nim edukacja kulturalna w Piotrkowie Trybunalskim. Otrzymałem pismo sygnowane przez Tymczasową Radę PRON, w którym napisano: „Tymczasowa Rada Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego w Piotrkowie Tryb. wyrażając szczere przekonanie, iż edukacja kulturalna każdej społeczności jest szansą porozumienia w interesie poprawy losu ludzkiego i ona też powinna się stać strategią naszego działania i w ogóle życia, serdecznie zaprasza Obywatela do udziału w wymianie poglądów nad stanem i szansami kultury w naszym mieście...".

Pojechałem. W sali klubowej Wojewódzkiego Domu Kultury zebrali się przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych miasta, szefowie stowarzyszeń kulturalnych, organizacji społecznych, regionalnych towarzystw kultury, organizacji młodzieżowych, twórcy, przedstawiciele placówek kulturalnych i większych zakładów pracy. Widać było, że narada jest traktowana poważnie, że nie będzie jedynie „odfajkowaniem" problemu, że szykuje się ostra ofensywa i rzeczowa dyskusja.

Wprowadzenia w sprawy stanu posiadania i szans dla kultury w mieście dokonała HENRYKA MARCHLEWICZ — kierownik Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta. Okazało się, że jest to smutny rejestr, niemal żałobne wyliczanie tego wszystkiego, czego albo nie ma, a jeśli już coś jest, to albo nie takie jak trzeba, albo wymaga natychmiastowej pomocy.

Piotrków posiada sporą grupę plastyków, ale nie ma ani jednej pracowni plastycznej; na 7 stowarzyszeń działających na terenie miasta ani jedno nie posiada własnej siedziby, co nie ułatwia im pracy, a wręcz przeciwnie; w niedalekiej przeszłości modne stało się likwidowanie lub zamykanie związkowych i zakładowych placówek kulturalnych (tłumaczono się brakiem funduszy na ich utrzymanie i prowadzenie w nich działalności), które następnie przekwalifikowywano na stołówki bądź sklepy. Teraz, kiedy sytuacja w kraju zmierza ku stabilizacji, zabrano się za remonty obiektów, a także za przejmowanie niektórych budynków na potrzeby kultury. W pierwszej kolejności przystępuje się do ratowania zabytków kompleksu staromiejskiego. Opracowanie dokumentacji badawczej pochłonęło już 13 mln zł. Ile wyniesie koszt prac remontowo-budowlanych?

W całym Piotrkowie, we wszystkich placówkach upowszechniania kultury jest zatrudnionych 99 osób. Ale jest to grupa ludzi podlegająca sporej rotacji, bowiem ich czas pracy jest nietypowy: po południu, w wolne soboty, niedziele, dni wolne od pracy.

Od lat obserwuje się niepokojące zjawisko: spadek zainteresowania ze strony społeczeństwa imprezami, nawet tymi o dużych wartościach artystycznych. Były przypadki odwoływania przedstawień, bo widownia była pusta. Przyczyna tego stanu rzeczy tkwi często w słabej reklamie imprez artystycznych oraz w braku dbałości o własne życie kulturalne poszczególnych ludzi, a także w obojętności na to, co dzieje się wokół. Winę za to ponosi często dom, szkoła, organizacje młodzieżowe, zakład pracy. Nie jest odkryciem, że na efektywność pracy zawodowej ma niebagatelny wpływ rodzaj i sposób wypoczynku po pracy. Ta prawda nadal nie znajduje przystępu do ludzkiej świadomości. I tu otwierają się ogromne możliwości przed placówkami kultury w zakładach, tym bardziej, że zakład pełniący rolę mecenasa kultury będzie zwalniany z części podatku obrotowego.

Ważną sprawą była i jest kultura w miejscu zamieszkania. Co zrobić, by w ramach budownictwa mieszkaniowego budowano placówki kulturalne, by w nowych osiedlach były biblioteki, kluby, księgarnie, kina?

Nieocenioną pozostaje nadal inspiracja, pomysłowość, twórczy ferment. Niezbędne są w odradzającym się ruchu kulturalnym siły społeczne, które tkwią w mieście, a także w regionie. Niestety, nie ma recept na ożywienie tych sił, na wprzęgnięcie ich do pracy na rzecz edukacji kulturalnej. Trzeba znaleźć sposoby na to, aby piękne tradycje i dokonania z przeszłości nie zostały całkowicie zaprzepaszczone. A jednocześnie postępować tak, by kultura obok tworzenia integrowała społeczeństwo.

Dyskusja, która miała trwać dwie godziny, zajęła w sumie cztery. Zanotowałem niektóre wypowiedzi, moim zdaniem, najbardziej konstruktywne.

JERZY KISSON — dziennikarz: Przyjrzyjmy się widowni naszych kin, spotkań autorskich, prelekcji. Zawsze są ci sami ludzie. I tak jest od lat. A reszta? Nawet nauczyciele-poloniści nie są uczestnikami działań kulturalnych, nie są animatorami kultury. W Piotrkowie, z jednej strony ci sami ludzie stanowią widownię imprez kulturalnych, z drugiej — „w kulturze" działają od lat również ci sami działacze. Dlatego musimy się dziś zastanowić co robić by do pracy „w kulturze" przyciągnąć innych, większą ich liczbę, szczególnie ludzi wykształconych, młodzież, chłopów, robotników. To nieprawda, że piotrkowski twórca — to lichy twórca, że piotrkowski plastyk — to zły plastyk! Nie są to opinie z innych ośrodków, to opinie z miasta, nasze własne. Dopóki nie przestaniemy się czuć zaściankiem, dopóty z kulturą w Piotrkowie będzie tak jak jest. Proszę zapytać pierwszego lepszego przechodnia, a odpowie, że tu nic się nie dzieje, że to grajdołek, że po co się wysilać... I nad tym musimy poważnie pomyśleć jeśli chcemy cokolwiek osiągnąć.

WŁADYSŁAW HARTMAN — przew. Tow. Przyjaciół Piotrkowa Tryb.: Nasze Towarzystwo jest skazane na powolną śmierć. Od lat należą doń ci sami, nie zgłaszają się nowi, nie przychodzi młodzież. Ot, jesteśmy i tyle, właściwie trwamy. A że ciągle Towarzystwo istnieje, to zasługa jego zarządu, bo członkowie wcale nie interesują się naszymi pracami. A wydawałoby się, że dla tak szczytnego celu, jaki postawiło sobie nasze Towarzystwo, winniśmy mieć całe zastępy chętnych i ofiarnych obywateli. Tymczasem umieramy powoli...

ZYGMUNT KOWALSKI — wiceprzew. Tow. Literackiego im. A. Mickiewicza: Najłatwiej jest krytykować tych, którzy są odpowiedzialni za kulturę w mieście z urzędu. A cóż oni mogą zrobić bez pomocy społecznej? Trzeba by było postawić takie pytanie: czy wysiłki organizatorów kultury są współmierne z jej odbiorem? Najmniej na imprezy przychodzi młodzieży i ludzi w tzw. sile wieku. Z reguły zjawiają się ludzie starsi. Otóż edukacja kulturalna winna zaczynać się w domu, ale jeśli z tego domu dziecko nic nie wyniesie? Jeśli szkoła tego nie uzupełni? To, pytam, skąd weźmiemy odbiorców kultury? W takiej sytuacji wysiłki działaczy pójdą na marne.

BARBARA RYCHLIK — Zw. Naucz. Polskiego: Do działalności kulturalnej trzeba mieć serce. I takich ludzi w szkołach było sporo, teraz jest ich coraz mniej. Bo nie znajdują zrozumienia często we własnym środowisku ani u władz. Dlatego nie można zrzucić odpowiedzialności za stan kultury na poszczególne środowiska. Ale być może to dzisiejsze spotkanie stanie się zalążkiem szerszych działań.

LUCJAN OLSZEWSKI — dziekan WSP: Nie można tak rozumieć edukacji kulturalnej, jakby była ona jedynie odbiorem kultury. Przecież kultura winna być płaszczyzną porozumienia narodowego i winno się ją traktować jako dziedzinę wychowania obywatelskiego.

TADEUSZ NOWAKOWSKI — przew. WRN: Czego się spodziewamy po dzisiejszym spotkaniu? PRON — to sumienie społeczeństwa, dlatego patriotyczny ruch przygotował to nasze spotkanie. Przed kilku laty przygotowaliśmy program rozwoju kultury do 1990 r. Był to dobry program. Ale z niego nie rozliczyliśmy się do dziś. Ale kultury sami profesjonaliści nie poszerzą. Instytucje kulturalne pracują dobrze, ale konieczna jest korekta ze względu na ogólną sytuację. Tak więc działalność kulturalna ani na chwilę nie była przerwana, natomiast gorzej jest z konsumpcją kultury. Rozłożyły nam się ośrodki kultury w zakładach pracy. Dziś trzeba to odbudować, reaktywować. Tym bardziej, że powstają związki zawodowe, wkrótce samorządy. Drugą pustynią kulturalną stała się wieś. Kiedyś oaza, dziś pustka. I tu trzeba uczynić sporo. Jest to pole dla działaczy społecznych, młodzieżowych itp. Trzeba z nimi rozmawiać. To są kadry, zaplecze. Z nimi można zrobić wiele. Ponadto: trzeba przede wszystkim odnaleźć człowieka, działacza społecznego, działacza kultury. I tak rozumiem sens naszego tu spotkania. I chciałbym, aby to spotkanie było ostatnim, na którym narzekamy.

BOGUSŁAW NOWAK — dyr. Woj. Wydz. Kultury i Sztuki: Nie będzie nowych inwestycji, kulturalnych w planie 3-letnim, ale będziemy rozszerzać naszą działalność w warunkach już istniejących. Będziemy, jako nowość na mapie kulturalnej naszego województwa, wydawać kwartalnik, na łamach którego będziemy popularyzować miasto, jego historię, twórców tu mieszkających. Mamy także silny społeczny ruch kulturalny i liczymy na aktywistów tego ruchu. Ofensywa kulturalna ruszy szerokim frontem.

MIECZYSŁAW NICIAK — sekr. KM PZPR: Kultura winna być drożdżami, które przygotują porozumienie społeczne. U nas ludzie nastawili się na konsumpcję kultury, a nie na uczestnictwo w niej. To trzeba zmienić. I to jak najszybciej. Nie możemy także dzielić kultury na wojewódzką czy miejską, bo kultura jest jedna, tylko jej formy mogą być różne. Rozpoczynamy ofensywę i jestem przekonany, że będzie ona zwycięska.

Było jeszcze wiele głosów, padło sporo wniosków. Będą one skrupulatnie rozpatrzone przez tych, którzy za kulturę w Piotrkowie Tryb. odpowiadają z urzędu. Akcja zostanie „rozpisana" na głosy, uruchomi się ludzi dobrej woli i tych wszystkich którym nie jest obojętna sprawa wychowania obywatelskiego edukacji narodowej poprzez kulturę. Wyniki? Nie od razu, może za rok, dwa. Ważne, że zaczęto myśleć w kategoriach niezbędnych potrzeb społecznych.

Foto: Archiwum

Dokończenie ze strony 1

ślak, zbudowany w 1640 r. (jeśli wierzyć dacie wyrytej na belce konstrukcyjnej) znajduje się we wsi Chrośno, niedaleko Kruszwicy. Nieco młodszy, z 1684, a może i starszy bo niektóre źródła podają rok budowy 1587, znajduje się na Ostrowiu Lednickim i został przeniesiony z terenu dawnego pow. kościańskiego.

Wiatraki spełniały rolę pomp wodnych lub młynów. Ich budowa szybko zmieniała krajobraz wokół miast i wsi. Były bowiem wsie, gdzie było ich kilka, a nawet kilkanaście. Ich właściciele, młynarze, zwani też wiatracznikami, tworzyli grupę ludzi zamożnych co znajduje odbicie w powiedzeniu, że „nawet król z ich ręki jada".

Dziś wiatraki traktujemy jako ginący element krajobrazu, a kiedyś były to główne ogniwa przetwarzania produktów ziemi. Kiedyś było ich wiele, dziś nie wiadomo dokładnie ile ich jest, w jakim są stanie, ile jeszcze miele, wykorzystując jedynie siłę wiatru...

Wg inwentaryzacji Ministerstwa Kultury i Sztuki przeprowadzonej w latach sześćdziesiątych było ich 800. Najwięcej na Mazowszu i w Wielkopolsce. Wtajemniczeni twierdzą jednak, że rejestr ten obejmował tylko te wzniesione do połowy XIX w. Inne nie miały nawet orzeczeń konserwatorskich, a to pozwalało na samowolę ich właścicieli; dopóki pracowały, to je remontowano. Młynarze twierdzą nawet, że wiatrak pracujący konserwuje się sam.

Wcześniej, w latach pięćdziesiątych, bezmyślny człowiek kazał poucinać śmigi, aby nie przynosiły młynarzom zbyt dużego zysku z nie rejestrowanego przemiału. Don Kichot bardzo by się cieszył. Tak, tak, w naszym kraju walkę z wiatrakami toczył nie rycerz z La Manchy, a czas i urzędnicy i to zwycięsko. Setki przykładów potwierdzających tę tezę dostarczyli mi słuchacze programu „Lato z radiem" i „Cztery pory roku". Wiatraki pozostawione w bezruchu rozpadają się, rozbierane są pod byle pretekstem, na łatanie budynków gospodarczych i na opał. Coraz bardziej okaleczone przedstawiają smutny widok. Są jak wykrzykniki zapomnienia! Brakuje pieniędzy, materiału drzewnego i fachowców, którzy potrafiliby pobudzić je do życia.

Okazuje się jednak, że w Polsce są jeszcze ludzie, którym los tych najstarszych zabytków budownictwa i techniki wiejskiej jest drogi. Przekonałem się o tym latem 1982, inicjując w programie „Lato z radiem" akcję pod hasłem „Tworzymy mapę wiatraków polskich".

Przyznam, że nie spodziewałem się tak dużego odzewu. Nadeszły setki listów. Adresów jeszcze więcej, bo wielu słuchaczy informowało o kilku wiatrakach, spotkanych na trasie urlopowej wędrówki lub obserwowanych w miejscu zamieszkania. W wielu listach miałem też informacje sygnalne, że kiedyś, w miejscu ich urodzenia czy młodości był wiatrak i pytanie czy jest on tam jeszcze dziś? Zadawałem to pytanie mieszkańcom wielu miejscowości. Przychodziły krótkie odpowiedzi, ale także i historie, a nawet rysunki, plany techniczne, fotografie. Okazało się też, że dla wielu ludzi wiatraki są wieloletnim celem społecznych zabiegów konserwatorskich, kolekcji, modelarstwa, również tematem wypraw fotograficznych i malarskich. Wielu zbiera i spisuje legendy, baśnie, przysłowia i zwyczaje młynarskie.

Mogę również, z pełną odpowiedzialnością stwierdzić, że w Polsce są jeszcze szczęśliwe, żywe wiatraki, pełne radości, dziarsko machające skrzydłami, zrywające się do lotu, jakby zwołujące do siebie wszystkich dobrych ludzi, dzięki którym żyją i dla których pracują.

Taki szczęśliwy wiatrak każdorazowo wita mnie w Chlebczynie k.Sarnak na trasie z Siemiatycz do Bielska Podlaskiego i Białegostoku. Pan Stanisław Sterniczuk, podobnie jak i inni, nie ma następcy. Mimo to dba o swojego staruszka, w czym skutecznie pomaga mu Wojewódzki Konserwator Zabytków w Białej Podlaskiej.

Meldunki z Leszna informowały nawet o dwóch czynnych wiatrakach i to w samym mieście. Zgadza się. Są w bardzo dobrym stanie, mają śmigi, mielą mąkę i śrutę. Jeszcze pracują, ale już na prąd. Ze wszech stron obudowane domkami i blokami, z braku stałego wiatru oraz bliskiego sąsiedztwa ulicy, nie mogą stale kręcić śmigami. Mimo to ich właściciele Antoni Prałat i Kazimierz Kasprzycki czasami, kiedy mielą śrutę, puszczają w ruch śmigi, jak dawniej.

Przejeżdżający drogą Katowice—Poznań, we wsi Krzywosądów, także podziwiać mogą pracujący jeszcze wiatrak pana Stanisława Banachowskiego. I on, jak inni wiatracznicy, mając 78 lat i będąc już na emeryturze, jeszcze pracuje. W pełni sprawny wiatrak chciałby oddać młodemu, ale następcy brak. Wprawdzie byli kandydaci do kupna, ale kiedy powiedzieli, że chcą urządzić kawiarenkę musieli szybko zmykać.

W kilku listach otrzymałem informacje o czynnym wiatraku w Budzisławiu, (gm. Wilczyn, woj. konińskie) i o młynarzu, wspaniałym gawędziarzu, 82-letnim p. Szczepanie Mrówczyńskim. Niestety, kiedy młynarskie. Namówili ją do tego miejscowi rolnicy, od lat korzystający z usług wiatraka Szczepana Mrówczyńskiego.

Niestety podobnych przykładów nie mogę podać z terenu naszego regionu. W woj. piotrkowskim, jak wynika z listów słuchaczy i informacji Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Piotrkowie Tryb., są tylko dwa wiatraki — w Srocku (na trasie Łódź-Piotrków) i Modrzewku koło Tomaszowa Maz. W woj. skierniewickim również dwa, przeznaczone do przeniesienia do skansenu w Łowiczu.

Znacznie bogatsze w wiatraki jest województwo sieradzkie. Z listów słuchaczy sporządziłem mapę wiatraków sieradzkich. Wynika z niej, że w województwie tym jest jeszcze 19 lub 25 wiatraków. Najwięcej w okolicy Wielunia i w opłakanym stanie. Nawet Wojewódzki Konserwator Zabytków w Sieradzu, mgr Wiesław Sawicki,

Pejzaż bez śmig lub wykrzykniki zapomnienia

dotarłem do Budzisławia, pan Szczepan już nie żył. Zmarł w lipcu 1982 r. Mimo to wiatrak nadal kręci swoją jedyną parą śmig. Uruchamia go córka, która z mężem i dziećmi, po śmierci ojca, wróciła na wieś, chce wyremontować i zmodernizować wiatrak (koniecznie dodać drugą parę śmig) i kontynuować rodzinne tradycje młynarskie.

Foto: Ryszard Fórmanek

Nieszczęściem wiatraków jest to, że stanowią własność prywatną rolników, którzy nie są zainteresowani przywróceniem ich właściwej, pierwotnej funkcji. Wprawdzie mocą ustawy o ochronie dóbr kultury urzędy konserwatorskie winny zwracać 23 proc. nakładów poniesionych na remonty, ale, jak się przekonałem w trakcie swojej wiatracznej wędrówki, zdecydowana większość właścicieli wiatraków, nie wie o tej szansie współuczestnictwa konserwatora zabytków w remoncie.

Generalnie, w naszym regionie nie ma programu ratowania wiatraków. Nasi sąsiedzi, np. Kaliskie, Leszczyńskie czy Radomskie, takie programy mają już od kilku lat i konsekwentnie je realizują.

W Kaliskiem np. z funduszów konserwatorskich wyremontowanych będzie insitu 15 wiatraków stanowiących wyjątkową wartość poznawczą i krajoznawczą. Realizując ten program, od 1976 roku, nowym młynarzom przekazano 5 wiatraków wyremontowanych, a dla 4 następnych gotowa jest dokumentacja techniczna.

W woj. leszczyńskim w maju 1976 r. powstał Społeczny Komitet Odbudowy i Zagospodarowania Młynów Wietrznych. Zaczęto od sporządzenia rejestru. Naliczono 74 młyny wietrzne (przypuszczalnie najwięcej w kraju). Do akcji ratowania wiatraków wciągnięto środowisko wiejskie, władze gmin, PGR-y i osoby prywatne, oferując im wiatraki na dacze i inne pomieszczenia. Jest też koncepcja stworzenia w Lesznie Muzeum Wiatracznictwa. Ze społecznej inicjatywy muzeum takie powstaje w Śmiglu, w którym, jak głosi legenda, było zawsze 99 wiatraków. Ten setny zawsze się palił. Nie jest to prawdą. Było ich tam co najwyżej 60. Śmigiel zawsze słynął z wiatraków, ponoć była tam najkorzystniejsza sytuacja wietrzna i usytuowanie terenu. Kilka lat temu w Śmiglu nie było już ani jednego wiatraka. A dziś w tym 5-tysięcznym miasteczku, przy drodze E-83, w kierunku Kościana, stoją już trzy, przeniesione z okolicy. W jednym będzie kawiarenka, w drugim izba pamięci, a w trzecim, chyba najszczęśliwszym, kiedy dmuchnie wiatr i zakręcą się śmigi, na kamienie młyńskie można będzie znowu posypać ziarno. Pracować w nim będzie (wraz z synem) jeden z nielicznych już w kraju budowniczych wiatraków p. Franciszek Krzyżończak. Leszczyńska miłość do wiatraków do temat na osobny artykuł, bo w województwie tym wyznają i realizują zasadę, że opieka nad dobrami kultury jest funkcją gospodarności. Lepiej dziś wydać tysiące na konserwacje i remonty, niż za lat kilka miliony na odtwarzanie zabytków rzemiosła i architektury wiejskiej.

Jeśli chodzi o nasz region i poczynania wojewódzkich konserwatorów zabytków, to osobiście nie widzę wielkich szans i efektów pism wysyłanych do właścicieli wiatraków i młynów wodnych, naczelników gmin, jeśli na tych pismach jedynie się poprzestaje. Wprawdzie po mojej ostatniej audycji w programie „Cztery pory roku", Wojewódzki Konserwator Zabytków w Sieradzu poinformował mnie, że Pracowni Konserwacji Zabytków w Łodzi zlecono inwentaryzację szczegółową 24 wiatraków i 4 młynów wodnych, ale to dopiero początek i o kilka lat za późno. No, ale jak mówi stare przysłowie „lepiej później..." Dobrze, że znalazły się konserwatorskie środki na dotację finansową na remont wiatraka w Klonowej k.Sieradza. Podobno prace mają być wykonane w pierwszym półroczu. Trzymajmy kciuki, bo w przypadku wiatraków liczy się każdy miesiąc.

w oficjalnym piśmie po mojej styczniowej audycji „Cztery pory roku" stwierdza, że „...przeważająca część obiektów jest zdewastowana i utrzymana w niewłaściwym stanie... Brak dbałości o stan i zachowanie zabytków techniki wiejskiej przynosi niepowetowane straty gospodarce i kulturze narodowej..."

Kończąc chciałbym zacytować dwuwiersz Anny Zwolskiej:

„Współczesnych Don Kichotów
ponury dylemat:
Chcą walczyć z wiatrakami,
a wiatraków nie ma."

Nie, pani Anno, wiatraki są. Jest ich bardzo dużo. Trzeba je ratować. I radiowa akcja potwierdziła, że współcześni Don Kichoci walczą o wiatraki, o ich uratowanie. Jest ich więcej niż myślimy. O nich niebawem, bo także „Odgłosy" włączają się do szerokiej akcji, w tej chwili dalekowykraczającej poza radiowe studio i docieranie „Lata z radiem".

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

Oskarżenie

Dokończenie ze strony 4

Tenże sam, o którym wyraził się prof. Marian Zdziechowski, że to, *„co się pisało i pisze w „Głosie Prawdy", uważane bywa za inspirację Belwederu".*

I właśnie Wojciech Stpiczyński opublikował w „Głosie Prawdy" artykuł pod znamiennym tytułem: „Denuncjacja jako system pracy generała Zagórskiego". Przypomniał sprawę porucznika Adama Mroza i kapitana Jasińskiego z Legionów, których miał zadenuncjować przed władzami austriackimi, jako szpiegów rosyjskich. Szpiegostwa im nie udowodniono, a gdy wnieśli przeciw ówczesnemu kpt. Zagórskiemu oskarżenie o oszczerstwo otrzymali pismo podpisane przez arcyksięcia Fryderyka, że nie można wystąpić przeciw kpt. Zagórskiemu z takim oskarżeniem, gdyż działał on *„jako szef K-Stelle przydzielonej do Polskich Legionów"*, a więc było to jego służbowym obowiązkiem.

Wojciech Stpiczyński oskarżył też gen. Włodzimierza Zagórskiego o storpedowanie nadania J. Piłsudskiemu austriackiego Orderu Leopolda i pruskiego Żelaznego Krzyża. A to już było poważne przestępstwo wobec Marszałka i tego się nie wybaczało.

W lutym 1926 roku przyszło uderzenie ze strony „Robotnika". 18 lutego ukazał się artykuł „Rozrzutna gospodarka w lotnictwie wojskowym", a 25 lutego — „Zza kulis lotnictwa wojskowego". Dane zawarte w obu artykułach wskazywały, że pisała je osoba dobrze w sprawach lotnictwa wojskowego zorientowana. Było to poważne oskarżenie o niewłaściwe prowadzenie Departamentu Żeglugi Powietrznej MS Wojskowych. Okazało się, że autorem ich (artykuły ukazały się nie podpisane) był kpt. Adam Mrówka, pracownik tego Departamentu związany z gen. Ludomirem Rayskim i piłsudczykami.

Nieco wcześniej, bo w październiku i listopadzie 1925 roku przy innej okazji gen. Włodzimierza Zagórskiego zaatakował sam Józef Piłsudski. Otóż gen. Marian Kukiel — szef Biura Historycznego — opublikował w „Bellonie" artykuł, w którym dał do zrozumienia, że autorem planu obrony Warszawy i „cudu nad Wisłą" był nie Józef Piłsudski, ale gen. Tadeusz Rozwadowski. Wywołało to wściekłość Józefa Piłsudskiego, który opublikował cykl artykułów pod tytułem „Nieco o Biurze Historycznym". Oto interesujący nas fragment, cytowany za Romanem Wapińskim z książki „Władysław Sikorski":

„A wszystko dzieje się ku większej sławie „najskromniejszego" bohatera z Departamentu Wojskowego z murów Piotrkowa — Sikorskiego. Tańczcie, rzeki polskie, jak ongiś w Departamencie Wojskowym tańczono, tańczcie namiętnie — Kukielinka dyryguje! Sikorski z Departamentu musi pobić wszystkie armie między Orzycem a Wkrą. Nie może ujść herojowi nie tylko armia, lecz dywizja, nie tylko dywizja, lecz pułk — to jest cel utworu pod tytułem: „Bitwa 5 armii nad Wkrą"(...) Heroje legionowe znad Wkry, Józef Halter, Zagórski i Sikorski, mieli w legionach zupełnie specjalną, powiedziałbym specyficzną sławę. Pobudzała ona do śmiechu bodaj wszystkich legionistów i cytowana była z niesmakiem w sztabach austriackich i niemieckich."

Ale to wszystko były przygrywki.

WŁAŚCIWE UDERZENIE MIAŁO DOPIERO NADEJŚĆ

W majowych walkach o Warszawę w 1926 roku gen. Włodzimierz Ostoja-Zagórski stanął po stronie rządu i odegrał dość ważną rolę. Wincenty Witos w drukowanych obecnie w „Tygodniku Kulturalnym" wspomnieniach (nr 36 z 28 listopada 1982 r.) tak pisze:

„Duże znaczenie dla nas miała eskadra lotnicza, która prawie w całości pod komendą gen. Zagórskiego znajdowała się w rękach rządu. Za jej pośrednictwem utrzymywaliśmy przeważnie kontakt z krajem".

Nie tylko. Gen. Włodzimierzowi Zagórskiemu zarzucano, że nie tylko pozwolił na bombardowanie wojsk zmierzających ku Warszawie a wiernych Piłsudskiemu, ale też, że sam brał udział w tych bombardowaniach. Ba, że bombardował nawet cywilną ludność. Jerzy Rawicz cytuje piosenkę, jaka wówczas kursowała po Warszawie:

„A na samolocie Zagórski generał
na bezbronną ludność bombami nacierał.
Obrzucił bombami Mokotów i Wolę,
zabił troje dzieci w mokotowskiej szkole".

Wprawdzie tenże Jerzy Rawicz utrzymuje, że rozkaz bombardowania wojsk wiernych Piłsudskiemu wydał gen. Tadeusz Rozwadowski, ale po przegranej wojsk rządowych nie miało to już znaczenia.

Henryk Comte — adiutant prezydenta Stanisława Wojciechowskiego — tak pisze o roli, jaką wśród obrońców odgrywał gen. Włodzimierz Zagórski:

„Sytuacja wymaga natychmiastowej decyzji rządu: pozostać w Warszawie, czy wyjechać do Poznania i Poznań ogłosić tymczasową siedzibą prezydenta i rządu. Generał Włodzimierz Zagórski nalega na wyjazd. Samoloty są do dyspozycji, jest już ostatnia chwila do odlotu. Prezydent jest stanowczo temu przeciwny i ze względu na prestiż rządu, i z uwagi na przedstawicielstwa zagraniczne. Ostateczna decyzja: pozostać w stolicy. Wkrótce lotnisko wojskowe powtórnie znalazło się pod silnym ogniem artylerii. Belweder nie rozporządza artylerią. Generał Zagórski melduje, że lotniska nie będzie można dłużej utrzymać. Wkrótce po meldunku gen. Zagórskiego Belweder otrzymuje wiadomość, że lotnisko jest w rękach oddziałów Piłsudskiego".

Po zakończeniu walk internowano generałów: Tadeusza Rozwadowskiego, Juliana Malczewskiego, Michała Rolę-Żymierskiego i Włodzimierza Ostoję-Zagórskiego. Osadzono ich w więzieniu wojskowym na Antokolu w Wilnie. Trzej generałowie po jakimś czasie odzyskali wolność. Na Antokolu pozostanie tylko gen. Włodzimierz Zagórski.

Areszt śledczy wobec gen. W. Zagórskiego zarządził prokurator wojskowy płk Stefan Kaczmarek. Stało się to 21 maja 1926 roku. Faktycznie Włodzimierz Zagórski był już aresztowany. 16 maja przeprowadzono w jego domu rewizję. Ale co najciekawsze — wniosek o zastosowanie aresztu śledczego płk. Stefan Kaczmarek oparł o wcześniejszy, z 29 kwietnia 1926 roku.

Co zarzucono generałowi Włodzimierzowi Zagórskiemu?

Po pierwsze — nadużycia finansowe w związku ze sprawą Francopolu.

Po drugie — donosy na oficerów legionowych stosowane w okresie pierwszej wojny światowej.

Po trzecie — obrzucanie bombami Warszawy podczas walk majowych.

Wszystko wszakże wskazuje, że nie o to chodziło.

Generała W. Zagórskiego odwiedził w więzieniu na Antokolu prof. Marian Zdziechowski. Zezwolenie na te odwiedziny uzyskał u gen. Edwarda Rydza-Śmigłego. Był ostatnim człowiekiem, który go odwiedził w więzieniu i z nim rozmawiał. Później oświadczył, że gen. Zagórski *„pragnął sądu, który wykaże jego niewinność"*. O co więc chodziło? Czy tylko o zemstę, czy też były inne powody?

Ale to już sprawa następna.

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

Traktorem po schodach

Dokończenie ze strony 1

nika ze zbocza. Co tu dużo mówić — pojawia się szansa na zmechanizowanie prac polowych na terenach górskich, a nawet na rolnicze wyzyskanie obszarów dotąd odłogujących z powodu bardzo trudnego dotarcia do nich. Kosa i sierp na górzystym terenie to nie wszystko. Trzeba przecież zaorać, wybronować, no i przetransportować plony. Cena robocizny przeważnie przewyższa mizerne zyski.

SCHODY DO GÓRY

Niebawem mają się rozpocząć ostateczne próby techniczne w terenie. Jest już nawet wyznaczone miejsce. Gospodarstwo rolne Instytutu Budownictwa, Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa (IBMER) w Krynicy Górskiej. Ale konstruktor dzieli się niewesołą refleksją: że po pierwsze do prób terenowych powinno być kilka prototypów, a nie jeden. Tylko że zrobienie tego jednego kosztowało tyle czasu i energii straconej na bitwy z urzędnikami, szukanie wykonawców, że prawdziwym cudem jest i ten jedyny egzemplarz.

Żadna wyższa uczelnia techniczna w kraju nie zajmuje się produkcją serii badawczych prototypów nowo konstruowanych maszyn, urządzeń czy pojazdów. Każdy sobie rzepkę skrobie, rozprasza wysiłki, tworzy pojedyncze sztuki i walczy samotrzeć z inercją naszego lobby industrialnego o wdrożenie, wierność projektom, o produkcję. W każdym szanującym się kraju produkcję prototypów bierze na siebie przyszły producent. Ryzyko fiaska wkalkulowane jest w złote jajo postępu technicznego. Ale bo też żaden kraj nie może się poszczycić tak rozdętym zapleczem teoretycznym dla przemysłu. Uczelnie swoją drogą coś robią, zupełnie swoją — resortowe instytuty naukowe, a zupełnie swoją ścieżką maszerują biura konstrukcyjne poszczególnych fabryk czy branż. I wszyscy mają do siebie wzajemne pretensje, a tak naprawdę generalnie mają się w nosie. W tym kontekście nieśmiały apel do zainteresowanych resortów oraz do firmy Ursus o zajęcie się dzieckiem z Zielonej Góry brzmi cokolwiek nieżyciowo.

Polka wokół traktora i jego twórcy zaczęła się natychmiast po pierwszym artykule w „Gazecie Lubuskiej".

PO CO SIĘ ODWRACAĆ!

— No i po co do tego wracać? Nie mam ochoty więcej o tym mówić. Było, nie ma. Część pieśni. Komu to dziś potrzebne? A w ogóle mogła pani najpierw zadzwonić...

— Odmówiłby pan...

— Tak, chyba tak... Mam po prostu dosyć tamtej historii. Po dziurki w nosie.

— Ale traktor jest!

— Jedna sztuka. I co z tego? Ja, proszę pani, nie lubię się odwracać ciągle za siebie. Pracuję, żyję, uczę studentów, a teraz robię coś zupełnie innego. Tamten traktor już się nie liczy, a w ogóle chodźmy na kawę. Pogadamy o czymś weselszym.

— Ja nie chcę o Maryni, chcę o traktorze.

Wyraźnie chce mnie spławić, a mnie zbiera się na płacz. Zresztą, co się dziwić, jest późne piątkowe popołudnie, gość jest zmęczony, to widać. Wolałby do domu. Przy kawie trochę się rozluźnia, szczupłymi, nerwowymi palcami zapala papierosa, zaciąga się szybko, łapczywie. Mówi, że ma lat trzydzieści z kawałkiem. Wygląda dużo poważniej. Szczupły, pociągła twarz, lubi się śmiać, tak serdecznie, z całego serca. Tylko oczy ma jakieś zmęczone, w siateczce drobnych zmarszczek. Odciąga od tematu, kołuje, opowiada jakieś dowcipy. Odparowuje dobrotliwie moje powtarzające się ataki, śmieje się...

— Toż to — powiada — wywlekanie starego trupa. Po co? Tamten traktor, proszę pani, dzisiaj już umarł. Gdyby teraz wprowadzono go do seryjnej produkcji (co trwałoby — jak to u nas — ze 2—3 lata) byłby technicznym przeżytkiem, kompromitacją moich inżynierskich kwalifikacji. Teraz też nie siedzę z założonymi rękami. Robimy coś zupełnie extra, też ciągnik, ale... o tym jeszcze za wcześnie mówić. No i nie chcę znowu dać sobie wyrwać prawa do decydowania o losie mojej konstrukcji. Wtedy scedowałem ten obowiązek na tych, którym państwo za to płaci, i przegrałem.

— Ludzie mówią, że droga do góry wiedzie po schodach, a pan, co? Liczył na wszechstronnie sprawną maszynerię, co będzie pchać sprawę w swoim własnym interesie?

— Dobra, tylko po kiego diabła ja miałem po tych schodach targać traktor.

— Górski jest, dałby radę...

— Po naszych schodach urzędowych nie dał.

KOMU TRAKTOR!

Leon Gąsior alarmuje („Ciernista droga ciągnika górskiego" — „Gazeta Lubuska" 6.11.80 r.) Próby techniczne w terenie zakończone pełnym sukcesem. Pierwsze prace wykonano górskim ciągnikiem w PGR Łagów (Świebodzki Kombinat Rolny). Tam, gdzie dotąd mógł pracować tylko sprzęt konny (spadek zbocza od 11 do 20 stop.) ciągnik orał, kultywatorował, bronował i.. .martwa cisza wokół trwa!

Wszyscy się cieszą i gratulują, a inż. Jan Buczek się śpieszy. Chce przekazać pełną dokumentację do Ursusa, dla zrobienia informacyjnej serii ciągników górskich. Snuje plany zainteresowania handlu zagranicznego, sprzedaży patentu. I pan inżynier robi niemądrze. Życia nie zna, czy co? Jak się człowiek śpieszy, to się diabeł cieszy, wiedzieli o tym już Piastowie. A ten nic tylko tka fabryce swój traktor, zawraca głowę poważnym urzędnikom, robi bałagan w poważnych ministerstwach. Pisze memoriały o odzyskiwaniu górskich pól pod uprawę zbóż i roślin okopowych, coś roi o tysiącach hektarów ugorów w Karkonoszach, Bieszczadach, na Podkarpaciu.

Komu potrzebny ten cały kram? Kto ma zdrowie myśleć o traktorze, kiedy tu się świat trzęsie w posadach. Jest listopad 1980 roku. Przecież Fergussona już mamy. Lepszy jest, zachodni. A jeśli chodzi o okopowe... Zresztą zboże da nam Kanada, a kukurydzę Stany przysięgały w kontrakcie. Więc po co ten hałas?

Niezniszczalny ród biurokratów nie takie huragany przetrzymał, więc w tle wielkich społecznych przemian, toczy się spokojnie, wypróbowanym trybem, urzędowa korespondencja.

Ministerstwo Rolnictwa, Departament Techniki wysyła pismo (z 19 maja 1980 roku), gdzie wyraża głębokie zainteresowanie konstrukcją inż. Jana Buczka, przywołuje nawet argument 1,8 mln ha odłogów, jak najbardziej popiera mechanizację rolnictwa, ale uważa jednak, że prace techniczne winny być prowadzone w porozumieniu z producentem ciągników, a nie na własną rękę.

Cacy. Tylko, żeby Ursus ruszył, musi mieć parafę tegoż Ministerstwa Rolnictwa, potwierdzoną atestem ministerialnego instytutu badawczego (IPMER), przy tym nie zapominajmy, że właścicielem traktora, stanowiska badawczego, dokumentacji, a nawet patentu jest nie inż. Jan Buczek, lecz jego chlebodawca — Wyższa Szkoła Inżynierska.

SCHODY W DÓŁ

I tu Wyższa Szkoła Inżynierska pokazała... wyższą szkołę jazdy. Niesubordynowany to pracownik, który omija własnych przełożonych w pertraktacjach z ministerstwami. Dlatego też mgr inż. Jan Buczek, asystent w Instytucie Budowy Maszyn, Zakład Samochodów i Ciągników... z dniem 1 maja 1980 roku otrzymuje formalne wypowiedzenie umowy o pracę z Wyższą Szkołą Inżynierską za... brak widocznych osiągnięć w pracy. W samo święto ludzi pracy.

Cios był jednak za mocny i podniósł się rwetes. Fakt, niezręczne to było. Należało sprawę załatwić cicho, najlepiej na wabia. Podnieść pod niebiosa talenta dydaktyczne inkryminowanego, posmarować miodkiem pochwał i... wtrynić mu tyle godzin dydaktycznych, żeby się nie pozbierał. I nie miał czasu na ślanie głupot na ruchomym podwoziu. A tak, w sprawę wdało się Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, anulowało wypowiedzenie. Gorzej jednak, że wsadziła swój nos i telewizja. Kto patrzył, ten widział i prototyp górskiego traktora holendrującego po górkach PGR-owskich pól, i mógł usłyszeć rektora WSI, prof. Bilińskiego, wytaczającego swe argumenty. Jasne, audiatur et altera pars. Argumenty zaś były następujące: szum wokół traktora jest niepotrzebny, stawia cały problem w fałszywym świetle. Z inż. Jana Buczka zrobiono cierpiętnika, tymczasem — powiedzmy sobie otwarcie — właścicielem patentu jest WSI. Zatem nie należy mówić o bohaterskim samotniku, lecz o wielkim zespole ludzi, o materialnej bazie uczelni, która umożliwiła powstanie tej konstrukcji oraz życzliwej opiece i współpracy władz uczelni. Jednym słowem, pod patentem powinny widnieć podpisy rektora, dziekana i ewentualnie inż. Jana Buczka....

A co z traktorem? No cóż, toczą się rozmowy z właściwymi ministerstwami. I tyle. Owszem, były rozmowy, półoficjalne, między przywróconym do pracy Janem Buczkiem, Ministerstwem Przemysłu Maszynowego i Ursusem, które skończyły się niczym. Formalnie rzecz powinna wyglądać następująco.

Nowa konstrukcja musi uzyskać atest. Ten atest ma być początkiem drogi do produkcji. IBMER jest monopolistą w dziedzinie nowych maszyn i urządzeń dla rolnictwa. Pozytywna opinia instytutu parafowana przez przełożonego — ministra rolnictwa — jest niezbędną podkładką i obligacją dla producenta do wykonania serii informacyjnej. W normalnym świecie taka seria trafia do wytypowanych użytkowników. Następnie zbiera się ich opinię, handel (u nas AGROMA) sonduje rynek, czy rolnicy są zainteresowani, gdzie i w jakiej ilości. I rusza produkcja. Tak jest w świecie ceniącym sobie duże pieniądze zarabiane na rewolucji naukowo-technicznej.

My też cenimy sobie rewolucję, tyle że społeczną, która to rewolucja gwarantuje pracę i płace całej armii tych, co stają na głowie, żeby nam dokumentnie obrzydzić życie. Tango z traktorem trwa. Ministerstwa odsyłają do IBMER, IBMER zaś nie może podjąć oceny technicznej bez zgody tychże ministerstw oraz bez formalnego zlecenia właściciela patentu — WSI. Koło się zamknęło. Są w tym kraju teoretycy, którzy twierdzą, jakobyśmy szczycili się 600 dyrektorami departamentów różnych instytucji centralnych. Ta armia jest silna, zwarta, gotowa... nie przepuścić żadnej strukturalnej reformie systemu, gdyż ta skazałaby ową armię na niebyt.

Zanim jednak zabierzemy się do pracy, trzeba — uważacie — sprawę gruntownie przedyskutować z każdgo punktu widzenia. Więc też odbyła się uroczysta nasiadówa. Jest koniec zimy 1981 roku, niebawem obchodzona ma być rocznica pierwszych sygnałów prasowych na temat nieszczęsnego traktora. Gospodarzem jest Wyższa Szkoła Inżynierska w Zielonej Górze, w osobach jej prorektora, prof. Wagnera oraz wiceszefa Instytutu Budowy Maszyn — doc. Dzwonnika. Każda ze stron przysłała wzmocnione poselstwo jak najbardziej naukowe. I tak: IBMER wystąpił w sile trzech uczonych od docenta do doktora. Zakład Doświadczalny fabryki Ursus — osoba jedna, ale też praktyk zawołany. Wreszcie — last but not least — inż. J. Buczek oraz wiernie pilotujący sprawę Leon Gąsior z „Gazety Lubuskiej". Zachowały się fragmenty obrad, które pozwalam sobie przytoczyć w całości:

IBMER: — Wytoczył od razu swą najgrubszą armatę: *„...Na terenach górskich uprawa gleby pługiem powinna być prowadzona na stokach o nachyleniu maksimum do 20 stop. Powyżej można wykorzystać glebę tylko na łąki i pastwiska. Zatem potrzebny jest raczej ciągnik przystosowany tylko do współpracy ze sprzętem używanym do uprawy traw, a nie zbóż i roślin okopowych. Słowem — konstrukcja Buczka nie ma zastosowania..."*

Leon Gąsior podpiera się praktycznym doświadczeniem:

— *„...Przecież rolnicy dużo powyżej 20 stop. spadku uprawiają zboże i ziemniaki, używając sprzętu konnego a częściej własnych rąk. Poza tym nawet łąkę trzeba od czasu do czasu przeorać, no i łatwiej chyba dostosować sprzęt towarzyszący do górskiego ciągnika niż odwrotnie".*

IBMER kontruje: *„...Wszystko to prawda, ale tak postępując, rolnicy niszczą glebę oraz męczą siebie i konie. Jeśli damy rolnikom wszechstronny ciągnik górski, przystosowany również do pracy z pługiem, to wejdą oni ze zbożami i ziemniakami na najbardziej pochyłe zbocza, co grozi wyjałowieniem gruntu z biegiem lat. Krótko mówiąc, jesteśmy za badaniami pod kątem wykorzystania pojazdu do współpracy ze wszystkimi narzędziami, ale tylko do uprawy łąk i pastwisk, bo tylko te kultury nie niszczą terenów górskich. A w ogóle to niech inż. Buczek zechce ściślej określić, do czego ten jego traktor ma służyć".*

Głosu przedstawiciela fabryki Ursus nie zanotowano. Być może odjęło mu mowę. Komentarza do całości nie będzie.

RÓWNIA POCHYŁA

W tym miejscu właściwie kończy się opowieść o traktorze, a zaczyna o jego twórcy.

Siedzi pozornie spokojnie, sączy kawę. Powolutku, urywanymi zdaniami, zaczyna mówić o sobie. Nie wygląda na dobrze prosperującego menadżera przemysłu. Nie zrobił ani wielkiej forsy, ani wielkiego nazwiska w ostro grającym biznesie inżynierskim. Garnitur jest zwyczajny, z PDT, bardzo wytarty kołnierzyk czystej koszuli. Pewnie wyczuł moje oględziny, bo nagle wylewa mu się spod samego serca:

— Ja się nie czuję przegrany, proszę pani. Dostałem w tyłek, fakt, ale przegrany nie jestem. Dałem sobie wydrzeć traktor, ale przecież nie mózg. Mam kupę pomysłów. I, jak dotąd, pomoc szefa naszego instytutu, doc. Bący i nowego rektora, prof. Kisielewicza. Ale tak myślę, że nawet oni nie przebiją muru skostniałej struktury.

— No, dobrze, ale jak się skończyło z tym traktorem?

— Co się miało skończyć? Zwyczajnie, tak ładnie żarło i zdechło.

— Tak zwyczajnie? Słyszałam, że miał pan kłopoty.

— Wie pani, ja byłem wielki aktywista „Solidarności", zakładałem związek w instytucie, bardzo się udzielałem. Zupełnie poważnie wierzyłem, że wreszcie zacznie się liczyć myślenie. Ale, nie. Pewnie dlatego odrzuciło mnie od związku, kiedy zobaczyłem, jak różne śmierdzące lenie i nieuki zaczynają krzyczeć o swoich krzywdach i prześladowaniach. Krzyczeć to ja nie bardzo umiem, może i szkoda, czasem nawet jakby żałuję. Kiedy w maju 1980 roku dostałem wymówienie z pracy, to wiedziałem, mniej więcej, z kim się biję. Ale latem 81 otrzymałem z rektoratu oficjalne pismo, w którym informowano mnie, że w związku z nikłymi wynikami pracy badawczej oraz w związku z reorganizacją, zostaję przeniesiony ze stanowiska pracownika naukowego i dydaktycznego na stanowisko pracownika technicznego, z dniem 1 września 1981 roku. Czyli miałem zostać laborantem. Wszyscy wiedzieli, że moja praca doktorska jest już gotowa, i że niedługo będzie obrona. Pisałem nie na WSI, tylko w swojej macierzystej Politechnice Gdańskiej, u swojego mistrza i promotora, prof. Nowakowskiego. Broniłem się 18 listopada 1981 roku. („Konstrukcja ciągnika rolniczego do prac na pochyłości"). Otrzymałem wyróżnienie i znakomitą recenzję wybitnego naukowca, prof. Edmunda Kossockiego z ART w Olsztynie. Mógłbym powiedzieć, że ich opinia więcej dla mnie znaczy, niż tych bęcwałów z ministerstwa, ale przecież to nie wystarcza. Traktora dalej nie ma, chyba też jakoś wtedy straciła pracę na WSI moja żona... ale nie w tym rzecz. Od lutego 1982 roku przywrócono mnie do poprzedniego statusu. Od tej pory żyję, pracuję i przestałem myśleć o tamtej sprawie.

— Przestał pan walczyć? Nie żal panu?

— Żal mi tylko zmarnowanych nerwów i czasu. Ja jestem konstruktor, a od wdrażania są inni, lepiej ode mnie płatni. I czasu mi najbardziej żal. Wie pani, jak wygląda tworzenie prototypu nowej maszyny czy urządzenia? Więc powiem: trzeba mieć chody, to najważniejsze. Poza tym — każdą sprawę trzeba oprzeć o szynkwas, żebractwo z elementami kradzieży, oraz nigdy nieustająca wiara, że kiedyś, może za sto lat, zacznie się opłacać myślenie. I już. Tak wygląda mój dzisiejszy dzień codzienny konstruktora. Gdyby nie moi studenci zaoczni, byłbym bezradny. Stacjonarni są do niczego, to lenie. Zaoczni przetarli się już w życiu, pracują, dojeżdżają, mają rodziny, kłopoty i zawsze za mało pieniędzy. Ale żeby pani widziała, jak oni potrafią pracować. To im zawdzięczam niejedną część własnoręcznie wytoczoną albo wymodloną po różnych majstrach. Bez tego mógłbym prasnąć wszystkim o ziemię i mieć w nosie. Tak strasznie dużo energii traci się na walkę z cieniem, z głupotą, zawiścią, z tym przeklętym „ja nic nie wiem, ja tu sprzątam". Ale ja, proszę pani, jestem niezatapialny, wańka-wstańka. Pewnie złość mnie tak trzyma i pewność, że to, co robię, jest naprawdę dobre i potrzebne. Czasem tylko myślę sobie, czy u nas naprawdę droga do góry wiedzie po schodach? Czy czasem te schody nie idą na dół? No, bo na dobrą sprawę, w całym tym piekle o traktor nie ma winnych. Każdy z osobna ma podkładkę i jest w porządku. I tylko razem, do kupy, wszystko gdzieś się rozlazło. A schody zmieniają się w gładką i śliską równię. Pochyłą. Na schodach to się można jeszcze o coś zaczepić. Na gładkim — leci się łbem na dół. Nikt nie winien, tylko człowiek się pogubił.

KTO!

Jeśli ktoś chciałby mi zarzucić stronniczość w opisaniu powyższych faktów, proszony jest o wskazanie firmy produkującej górskie ciągniki. Obiecuję powrócić do tematu.

JOLANTA WROŃSKA

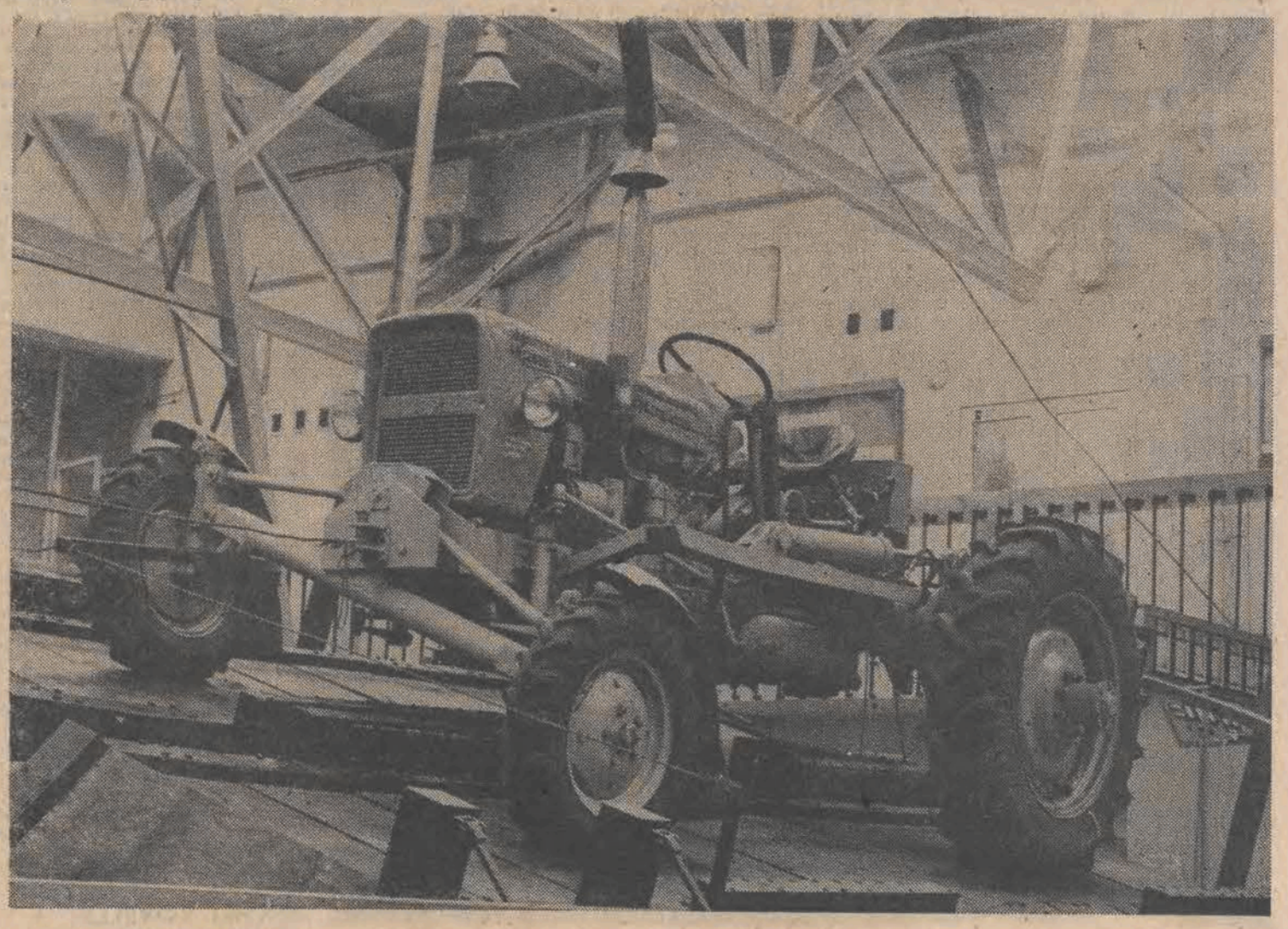

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Danton zwycięża Robespierre'a

Trzydziestopięcioletni trybun i ulubieniec ludu Georges Jacques Danton, wstępując 5 kwietnia 1794 roku na szafot na placu Gilotyny, zwraca się do kata z historycznymi słowami: „Nie zapomnij pokazać mojej głowy ludowi. Jest tego warta". Ma zdumiewająco dobre samopoczucie, choć za chwilę na jego wygolony kark spadnie z zimnym błyskiem śmiercionośne ostrze.

Równocześnie jawi się na ekranie z przenikania głowa Maksymiliana Robespierre'a, leżącego w łóżku i przykrywającego sobie w daremnym poszukiwaniu zbawczego snu twarz prześcieradłem.

W tym skrócie następuje jakby zamiana ról: pokonany staje się zwycięzcą, a triumfator porażonym. Z historii wiemy, że w niewiele ponad sto dni później Robespierre zawleczony zostanie pod gilotynę, na razie z woli autorów filmu — jak Pankracy w „Nie-boskiej komedii" — uświadamia sobie własną klęskę, choć doktryna jego jeszcze triumfuje.

Polską prapremierę filmu Andrzeja Wajdy „Danton"*) poprzedziła istna lawina informacji i komentarzy, urabiających opinię społeczną, nim dzieło samo mogło przemówić do widzów. Dowiedzieliśmy się więc, że paryska premiera odbyła się w obecności prezydenta Mitteranda i członków rządu, że film otrzymał wysoko cenioną we Francji nagrodę im. Delluca i nagrodę krytyków zagranicznych „Unifrance", że uzyskał już nominację do trzech „Cezarów" (francuskie odpowiedniki „Oskarów"): za najlepszy film, dla Wajdy za reżyserię i dla Gerarda Depardieu za kreację męską w roli tytułowej. Doniesienia prasowe podkreślały duże zainteresowanie „Dantonem" krytyków i intelektualistów, a przede wszystkim ogromne powodzenie filmu u publiczności francuskiej. W pierwszych dwóch tygodniach projekcji odnotowano 200 tysięcy widzów. Po Francji krąży już 145 kopii.

Większość publikacji oceniających dzieło Wajdy przyznaje mu najwyższe noty w kategorii artystycznej. Bardziej zróżnicowane są osądy zawartości treściowego przekazu i jego ideowego przesłania. Krytyka obrazu rewolucji francuskiej w ujęciu medium filmowego wysuwana jest z różnych stron, „z lewa" i „z prawa", choć nie brak we Francji i gorących wyznawców rozdziału racji historycznych proponowanego przez Wajdę i przez jego scenarzystę J. C. Carriere'a. Osoba francuskiego scenarzysty, w dodatku wysoko cenionego stałego współpracownika Luisa Bunuela, stanowi dla Wajdy z pewnością swoista asekurację. Ostatecznie niełatwo Polakowi mówić Francuzom o wydarzeniach, które legły u fundamentów ich współczesnego państwa.

Nie jestem w stanie zaprezentować w tym ograniczonym w rozmiarach tekście poszczególnych poglądów krytycznych, jakie ewokował film Wajdy. Wspomnę może tylko o zarzucie wysuwanym przez ultralewicowców, tzw. goszystów, nie ukazania przez Wajdę roli mas ludowych w rewolucji. Istotnie film nie uwzględnia tego elementu, sam Wajda broni się jednak mówiąc, że w okresie terroru jakobińskiego Komitet Ocalenia Publicznego nie odwoływał się do mas i nie szukał ich poparcia. Walkę swą z Dantonem Robespierre rozegrał błyskawicznie, nie zabiegając o publiczną aprobatę, a nawet nie mogąc na nią liczyć.

Żeby zakończyć tę część swoich wywodów, poprzedzających własną próbę oceny filmu, zaryzykuję pogląd, że Wajda rozbudził na nowo trwające w historiozofii francuskiej od dwustu lat gorące spory robespierrystów z dantonistami. Odważnie wstąpił na teren podminowany i per saldo wyszedł z tego zwycięsko.

Świadomie nie poruszyłem dotąd sprawy aluzyjności filmu i jego korespondowania ze współczesnością. W tej materii także sporo napisano i powiedziano. Najgorliwsi poszukiwacze posuwali się do absurdalnych analogii z sytuacją w Polsce. Prymityw i bezzasadność takich przymiarek ujawnia się ewidentnie w bezpośredniej konfrontacji z ekranem.

Wszelką jednak pogoń za aluzją i próby odczytywania filmu Wajdy tym kodem są po prostu nieporozumieniem.

„Danton", będąc dowolnym wariantem interpretacji konfliktu między Dantonem i Robespierrem, jest więc filmem monotematycznym, aż prawie ascetycznym w rezygnacji z wszelkich upiększeń i ozdobników. Na dobrą sprawę mamy do czynienia z filmem pozornie tylko kostiumowym. Choć bowiem zachowana jest historyczna wierność strojów, to przecież nie ma tu mowy o żadnym epatowaniu kostiumem, o zwykłej w takich przypadkach celebracji. Gdy Danton-Depardieu podczas dramatycznej, węzłowej w sztuce Przybyszewskiej, rozmowy z Robespierrem zdziera w ferworze z głowy perukę, odsłaniając swe naturalne włosy, demaskuje właściwie teatralną umowność, która każe aktorom i statystom obnosić kostiumy z końca XVIII wieku. Polemika Danton-Robespierre trwa bowiem poza czasem, odżywa i konkretyzuje się w najróżniejszych okolicznościach.

Wstrzymując się przed ornamentyką, Wajda nie ulega tak powszechnej dziś w filmie pokusie obdarowania widzów porcją seksu i golizny. Nic z tych rzeczy! Cała uwaga skupiona jest na ideowym starciu dwóch protagonistów, na konfrontacji tak przeciwstawnych sobie osobowości.

Tu już o krok jesteśmy od oceny gry aktorskiej. Dla uzyskania kontrapunktu znalazł Wajda znakomitą parę aktorów. Przede wszystkim Depardieu. To współtwórca sukcesu filmu. Zwalisty, pełen ekspresji, gdy trzeba rubaszny, to znów wrażliwy i uczuciowy, aktor ten tworzy zaskakującą wręcz propozycję Dantona. W sporze z Robespierrem przeciwstawia mu nie tylko racje doktrynalne; humanitarną dezaprobatę dla rządów terroru. Protestuje i polemizuje całym sobą, swoim ciałem, witalnością, umiłowaniem życia wraz z wszystkimi jego urokami i uciechami, jakie może człowiekowi zaofiarować. Staje się tedy tego życia znakiem, symbolem.

Tak prowadzona rola wiedzie konsekwentnie do cechującego Dantona poczucia wyższości: nad Robespierrem, nad oficerkiem Gwardii Narodowej speszonym zadaniem aresztowania przywódcy, nad prokuratorem Fouquier-Tinvillem, z którym toczy przed Trybunałem Rewolucyjnym nie tyle już walkę o swoje życie, ile w obronie prawa człowieka do życia w ogóle. Proces Dantona to wielki koncert aktorski Gerarda Depardieu. Przekrzykując tumult i hałas panujący na sali sądowej, traci stopniowo głos, rzęzi i skrzypi jak nienaoliwiona maszyna, ale nie kapituluje do końca. Depardieu walnie dopomaga Wajdzie w przeprowadzeniu ryzykownego i sprzecznego z intencjami Przybyszewskiej rozstrzygnięcia kluczowego konfliktu na korzyść Dantona.

Wojciech Pszoniak stanął przed trudnym zadaniem sprostania w kunszcie swemu francuskiemu koledze. Trudność polegała zresztą nie tylko na skali talentu. Zimna, ascetyczna, wolna — zdawałoby się — od wahań i słabości postać Robespierre'a jest zbyt jednoznaczna, by dostarczyć aktorowi materiał na wielką kreację. Pszoniak zrobił wiele, jego Robespierre filmowy jest znacznie pogłębiony w stosunku do scenicznego, którego zagrał w 1975 roku w warszawskim Teatrze Powszechnym także w reżyserii Wajdy. Niemniej jednak siłą rzeczy w zestawieniu z Depardieu jest Pszoniak gwiazdą drugiej wielkości.

Inni wykonawcy stanowią w filmie Wajdy jedynie tło dla obu protagonistów. Może jeszcze Angela Winkler w roli żony sekretarza i przyjaciela Dantona Desmoulinsa i Bogusław Linda jako „anioł rewolucji" Saint-Just zasługują na osobną wzmiankę. Poza nim spisuję z pamięci aktorów polskich: Andrzej Seweryn, Jerzy Trela, Czesław Wołłejko, Marian Kociniak i... świetny plastyk i scenograf Franciszek Starowieyski, obsadzony przez Wajdę żartobliwie w roli malarza Davida.

„Danton" wchodzi dopiero na ekrany polskie. Czy powtórzy się u nas sukces francuski filmu? Trudno bawić się w przepowiednie. Pewnym jest jednak, że mamy do czynienia z ekranowym zwycięstwem polskiego reżysera i francuskiego aktora, a także francusko-polskiej ekipy.

*) „Danton", reżyseria — Andrzej Wajda, scenariusz — Jean-Claud Carriere, zdjęcia — Igor Luter, scenografia — Allan Starski, konsultanci historyczni — prof. Jan Baszkiewicz i doc. Stefan Meller, koprodukcja — Gaumont" (Francja) i „Film Polski", prapremiera: Paryż 7.01.1983, Warszawa, kino „Skarpa", 31.01.1983.

PRASA FRANCUSKA O FILMIE ANDRZEJA WAJDY:

Prawicowa

A WIĘC po upływie dwóch stuleci nadal toczy się spór: Danton czy Robespierre? Reformista czy rewolucjonista? Pora na przerwę, czy na podboje społeczne? Na paryskich politycznych przyjęciach nikt się nie głowi, o czym rozmawiać: film „Danton" Andrzeja Wajdy skutecznie dopełnia jadłospis. Koniec ze sporami o dwuznaczną rolę E. T., agenta CIA, czy o japoński sprzęt wideo. Film polskiego reżysera, nim jeszcze dotarł do ludu Paryża i Francji, dostarczył lewicy tematu do konwersacji.

Ale bo też w istocie twardy to orzech do zgryzienia. Zaczęło się od tego, że firma Gaumont zażyczyła sobie wspaniałego filmu na temat skłóconych braci Wielkiej Rewolucji Francuskiej, filmu, który byłby dziełem wielkiego twórcy. Andrzej Wajda, Polak i członek „Solidarności", wydawał się wprost wymarzonym kandydatem. Aliści wszystko zaczęło się nie najlepiej: Wajda odgrzebuje rodzinne sztuczydło, które pisze od nowa, a rzecz dzieje się w najposępniejszych dniach 1792 r. i terroru. Minister kultury Jack Lang, niczego nie podejrzewając, udziela subwencji w wysokości 3 mln franków. Polacy wielkodusznie dodają 1,5 mln franków (pełny budżet filmu: 24 mln franków). Zbratani aktorzy z obu krajów biorą się do dzieła, realizowanego we Francji. I tak oto rodzi się dziecię nowego socjalizmu, film gotów do zaprezentowania się swej najwłaściwszej widowni: rzeszy ministrów i posłów, obkutych w historii. I tu dopiero — klops.

Oczekiwano wszystkiego, tylko nie pamfletu antyrewolucyjnego. Pierwsza projekcja u ministra komunikacji w obecności paru innych członków rządu wywołuje ogólną konsternację.

Ale oto pewien wnikliwy analityk wpada na sposób: wystarczy film Wajdy „spolszczyć". Czy aby reżyser nie sprzeniewierzył się historii Francji, aby jej kosztem załatwić swe zadawnione porachunki? (...) Tu reżyser obrusza się. Nie, Danton to nie Wałęsa a problemy poruszone w filmie, jak najbardziej współdźwięczą z aktualną sytuacją Francji.

Wtedy dopiero powiało grozą. W Zgromadzeniu Narodowym zorganizowano pokaz, na który tłumnie przybyli posłowie opozycyjni, wietrząc okazję pośmiania się z kawału, splatanego historycznej lewicy. Louis Mernaz, przewodniczący parlamentu, milczy jeszcze zawzięciej niż zwykle, by wreszcie wyrazić swe „zaskoczenie". Minister pracy, Jean Auroux uważa, że wizerunek Robespierre'a to „karykatura".

Odbywa się trzeci pokaz, zorganizowany w Cinemathèque dla Jacka Langa. Na pokazie niespodziewany gość — prezydent Republiki. Wajda, przybyły jako obrońca swego dzieła, przyjmuje defiladę zażenowanych „no comment". Doszło nawet do tego, że Francois Mitterand chcąc uniknąć pytań wstał, gdy na ekranie przesuwały się jeszcze napisy informacyjne kończące film. Zapominając o walorach artystycznych filmu, wszyscy przejmują się jego treścią polityczną, uwypukloną jeszcze dzięki wyrazistości Depardieu-Dantona, gdy znakomity skądinąd aktor polski Wojciech Pszoniak, fatalnie dubbingowany, ostatecznie pogrąża Robespierre'a (...)

W tej sytuacji trudno się dziwić, że opozycja, zachwycona, przygarnia film, który miał wskrzesić wielkie duchy 1789 roku. „Dzięki, panie Wajda" — pisze powściągliwie wierny Giscardowi Michel Poniatowski. Ale uwaga, lewica ma nowy powód do obaw: co by było, gdyby uroczyste obchody dwóchsetlecia Rewolucji, których orologiem jest film Wajdy — obrócić się miały przeciwko autorom i Rewolucji, i obchodów. Wyobraźmy sobie, że gdyby tak doszło do opóźnienia prac nad Wystawą Światową 1989 r., musielibyśmy obchodzić dwóchsetlecie terroru!".

PHILIPPE AUBERT
(„L'Express)

Lewicowa

(...) Jeśli myślą cofniemy się do wielkich sporów z początku stulecia, przeciwstawiających Dantona Robespierre'owi nie ulega wątpliwości, że Danton wyszedł z nich pomniejszony, i to, moim zdaniem, podwójnie. Na poziomie historii erudycyjnej, której nie należy odsyłać do lamusa, w sposób nieodparty przeprowadzono demistyfikację postaci, nazwanej przez Robespierr'a „Bożyszczem w stanie rozkładu" I nie ma dziś historyków, którzy negowaliby dwuznaczność tego człowieka — przywódcy mas, obdarzonego niezwykłą intuicją i zdolnego do śmiałych inicjatyw, a zarazem polityka bezsprzecznie dwulicowego.

Tak, faktem jest, że Danton niemal od samego początku swej kariery, paktował z Mirabeau, z dworem królewskim, z Dumouriezem, że był o krok od zdrady, że miał konszachty ze stronnictwem orleańskim, z Anglikami... Faktem jest, że potrzebował masę pieniędzy, że je dostawał, że nigdy nie potrafił się rozliczyć z rozchodów swego ministerstwa: że raport przygotowany na proces Dantona przez Robespierre'a i Saint-Justa nie tylko nie był sfałszowany, ale nie obejmował pełnej niechlubnej prawdy, gdyż ex post niektóre intuicje i podejrzenia oskarżycieli potwierdziły się z nawiązką. Można by dodać tu niemało na temat cynizmu tego trybuna ludowego w jego stosunku do mas, owej „dziwki", którą gardził, podobnie, jak na temat jego słabości, by nie rzec tchórzostwa, którego niesławnym przykładem może być odcięcie się od Camille'a Desmoulins, byle tylko ocalić własną głowę. Ale właściwie po co o tym mówić? Moim zdaniem w ramach nowej historiografii, nie tak skorej do wystawiania cenzurek, należałoby podjąć próbę zrozumienia Dantona, ukazania go w kontekście całej złożonej grupy dantonistów, wyłonionej przez środowisko zrodzone z Rewolucji — ludzi pragnących czerpać z niej korzyści i używać życia. Była to inna burżuazja, niż ta — lepiej zorganizowana i mocniej siedząca w siodle — z której wysnuła Żyronda. Na tle tych środowisk, których nie wolno oceniać tak surowo, jak czynili to robespierzyści, Dantona nie przyłączono sztucznie — jak to powiedział Andrzej Wajda — do grona „przestępców gospodarczych" dla potrzeb inscenizowanego procesu: Danton pływał wśród nich, a poprzez osobę swego najbliższego współpracownika, Fabre'a d'Eglantine, po prostu się w nich nurzał.

Ukazując casus Dantona w kontekście całej, nadal aktualnej problematyki różnych aspektów Rewolucji, nie chcę powiedzieć, że Andrzej Wajda pomylił się co do tematu Nie jestem tak zuchwały i nie zamierzam pisać mu nowego scenariusza Daleki też jestem od niedoceniania problemu związanego z tą sprawą a wykraczającego poza stosunek między ludem a Rewolucją: problemu rewolucyjnej przemocy i jej uzasadnień. Problem ten dostrzegał najwięksi z ludzi, którzy przecierali szlak tej historii. W tym względzie niewiele znam słów równie mocnych, jak słowa Jauresa, tłumaczącego upadek hebertystów i dantonistów koniecznościami walki rewolucyjnej.

„W spokojnych i flegmatycznych okresach życia społecznego wystarczy odebrać władzę stronnictwom, które nie odpowiadają potrzebie chwili. Zdetronizowane stronnictwa mogą przygotowywać swój niespieszny odwet, nie paraliżując partii, która jest u władzy Ale gdy wielki rewolucyjny kraj walczy przeciwko wewnętrznej zbrojnej opozycji i zarazem przeciwko światu, gdy najkrótsza chwila wahania lub najmniejszy błąd mogą — na wieki może — zaprzepaścić nowy ład, ci, którzy kierują tymi ogromnymi poczynaniami, nie mają czasu, aby kaptować wątpiących, czy przekonywać antagonistów Nie mogą pozostawiać szerokiego marginesu dyskusjom czy układom Muszą walczyć, muszą działać i chcąc zachować całą nienaruszoną moc działania, nie dopuścić do jej rozmycia — przyzywają śmierć, aby zapewniła im tę nieodzowną, natychmiastową jednomyślność".

Czytając na nowo ten tekst Jauresa doceniam nie tylko jego siłę i wnikliwość, ale też wszelkie zagrożenia i wszelkie zapytania, jakie zeń wynikają w świetle naszych doświadczeń Chciałbym jednak, aby Andrzej Wajda zadumał się nad tym tekstem (...).

MICHEL VOVELLE
(„l'Humanite")

Kronika kulturalna

W 173 rocznicę urodzin Chopina, 22 lutego br. odbyły się w Warszawie i Żelazowej Woli imprezy i uroczystości poświęcone pamięci kompozytora. W miejscu urodzin Fryderyka Chopina w Żelazowej Woli o godz. 11 po złożeniu kwiatów pod pomnikiem Chopina, Towarzystwo im. F. Chopina urządziło koncert w wykonaniu laureatów XV Konkursu Pianistycznego na Stypendia Artystyczne im. Chopina.

W Kościele św. Krzyża w Warszawie 22 lutego nastąpiło złożenie kwiatów przy urnie z sercem Fryderyka Chopina, po czym odbył się koncert zespołu „Capella Arcis Varsoviensis". W sali koncertowej Zamku Ostrogskich koncert chopinowski zaplanowano na dzień 23 lutego. W programie utwory Chopina w interpretacji Janusza Olejniczaka.

Po sztukach teatralnych Witolda Gombrowicza („Iwona księżniczka Burgunda"), Janusza Krasińskiego („Śniadanie u Desdemony") i Sławomira Mrożka („Ambasador"), które ostatnio gościły na scenach teatrów paryskich, na afisze weszły dwie kolejne polskie pozycje. Scena kameralna Teatru Wielkiego z Warszawy wystawia w Paryżu „Manekiny" Zbigniewa Rudzińskiego wg prozy Bruno Schultza. Reżyseruje Marek Grzesiński, kierownictwo muzyczne Robert Satanowski. „Białe małżeństwo" Tadeusza Różewicza wystawiono w Palais des Glaces. Reżyseruje Pierre Debauche

---

W DK „Rondo" w Łodzi, (ul. Limanowskiego 166) organizowane są cykliczne programy muzyczne w „Kawiarence Muzycznej". Celem ich jest spopularyzowanie i przybliżenie sylwetek najwybitniejszych i najbardziej znanych piosenkarzy współczesnych. W dniu 28.02. br. o godz. 18.00 spotkanie poświęcone będzie wybitnemu piosenkarzowi Włodzimierzowi Wysockiemu.

Redakcja łomżyńskiego tygodnika „Kontakty" i Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza ogłaszają ogólnopolski konkurs na reportaż pod hasłem „Jagusia 83". Hasłem i ideą nawiązują organizatorzy do konkursu „Boryna 81", którego plon ukaże się niebawem nakładem LSW. Organizatorzy chcą zwrócić uwagę reporterów na kobietę wiejską jej życie uczuciowe, rodzinne pracę, pozycję w hierarchii społecznej wsi współczesnej.

Hasło konkursu nie zamyka możliwości poruszania się po innych dziedzinach życia wsi polskiej, jak np. problematyka gospodarcza wsi czy konflikty na linii rolnik-urząd-władza.

Nie publikowane dotychczas prace opatrzone godłem i z zaklejoną kopertą z danymi o autorze, w trzech egzemplarzach objętości nie przekraczającej 15 stron maszynopisu należy nadsyłać do połowy maja 1983 r. pod adresem: „Kontakty" ul. Świerczewskiego 7a 18-400 Łomża.

Jury pod przewodnictwem Klemensa Krzyżagórskiego ogłosi wyniki w czerwcu br. i przyzna nagrody: pierwszą — 25 tys. zł, drugą — 15 tys. zł., trzy trzecie po 5 tys. zł i pięć wyróżnień po 3 tys. zł.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród, a redakcja pierwodruk nadesłanych tekstów

---

27 lutego br. w Dużej Sali Teatru Nowego o godz. 16.00 odbędzie się premiera bajki „Zatopione królestwo" pióra *Igora Sikiryckiego* Reżyseria *Marian Stanisławski*, scenografia *Anna Bobrowska-Ekiert*, muzyka *Bogdan Pawłowski*.

Premiera połączona będzie z uroczystością wręczenia Igorowi Sikiryckiemu Orderu Uśmiechu.

Dwa słowa zamiast felietonu

Właściwie nie miałem — z braku czasu — zamiaru przygotowywać felietonu do niniejszego numeru „Odgłosów", ale znalazłem chwilę czasu, by napisać parę słów, zanim sprawa będzie przedawniona.

Jakieś małe dwa miesiące wstecz w felietonie zatytułowanym „Radiowa geografia muzyczna" sygnalizowałem fakt braku zainteresowania ze strony większości pracowników Redakcji Muzycznej w Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia produkcją łódzkiego studia nagrań. Sugerowałem wówczas, że Łódź jest jednym z poważniejszych ośrodków „nagraniowych" w kraju (obok Warszawy, Katowic, Poznania i Lublina), a czas na antenie programu I PR jest dość ograniczony (podobnie, jak i w przypadku pozostałych ośrodków z wyłączeniem centralnego, który uzurpuje sobie prawo do zawiadywania całym programem), stąd też należałoby się spodziewać, że każda z wymienionych wyżej rozgłośni stara się preferować w swoich audycjach ogólnopolskich własną produkcję. I rzeczywiście, dzieje się tak wszędzie, tylko nie w Łodzi. To prawda, iż nie można mieć pretensji generalnie do wszystkich redaktorów muzycznych, ale większość z nich — jak na ironię stosunkowo młodych wiekiem i stażem — opracowujących audycje muzyczne z Łodzi, po prostu muzyki i piosenki z łódzkiego studia zdaje się w ogóle nie dostrzegać. Niedawno, w post scriptum do jednego z felietonów na tych łamach zamieszczonych, wspominałem o tym, że red. Jerzy Kijo nie raczył się zainteresować tym, co dzieje się na jego własnym radiowym podwórku, podczas gdy Katowice „puszczają" przez trzy godziny nocnego programu same własne nagrania z wyjątkiem jednej czy dwóch melodii. Uważałem, że stanowi to dostateczny dowód na poparcie moich wcześniejszych zarzutów, a jednocześnie swego rodzaju dzwonek alarmowy, że dzieje się coś niedobrego.

Dzisiaj mam przykład następny. „Łódź na muzycznej antenie" dnia (a właściwie nocą) 12 lutego br. przygotowała red. Anna Kolasa. Słucham pierwszej godziny, w której inne rozgłośnie lansują zazwyczaj swoje nagrania, swoich wykonawców, swoich twórców. Było tam wszystko: duety wokalne zza oceanu, piosenkarze z zachodu Europy, warszawski „Perfect", krakowski „Maanam", „Budka Suflera" z Lublina wraz z poznańskimi nagraniami, i jeszcze coś. Cała mozaika mogłaby być nadawana z każdej innej — nawet pirackiej — rozgłośni, a nic, oprócz powitalnej zapowiedzi, nie wskazywało na to, iż jest to audycja z Łodzi. Jakichkolwiek łódzkich nagrań nie doczekałem się także w drugiej godzinie audycji, aż do godziny 2.45, kiedy to zmorzył mnie sen; jednak z wcześniejszej zapowiedzi dotyczącej zawartości całego programu można było wywnioskować, że do końca niczego „łódzkiego" tam nie będzie.

Łódź jest blisko milionowym miastem, w którym działa kilka instytucji zajmujących się rozrywką. Każda z nich skupia co najmniej kilku solistów lub parę zespołów muzycznych znanych nie tylko w naszym mieście. W samej Łódzkiej Rozgłośni PR działa znana i ceniona orkiestra Henryka Debicha mająca dość wysoką miesięczną normę, jeśli chodzi o nagrania. Zresztą gościnnie nagrywają z nią wykonawcy przyjeżdżający z innych miast. Aktywnie działa też Redakcja Nagrań w łódzkim radiu. Powstają zatem liczne nowe piosenki, utwory instrumentalne; wiele z nich jest pisanych i komponowanych przez łodzian. Warto dodać, że Łódzki Oddział Związku Polskich Autorów i Kompozytów ZAKR jest jednym z najliczniejszych w Polsce, mamy bodaj największe po Warszawie środowisko twórców muzyki rozrywkowej. A jednak...

Jednak opieszałość, złośliwość, krótkowzroczność, brak zrozumienia tematu, czy też czort wie co jeszcze (niepotrzebne skreślić) paru mało doświadczonych osób z radiowej Redakcji Muzycznej w Łodzi, skutecznie torpeduje jakiekolwiek wysiłki zmierzające do tego, by Łódź istniała na mapie kraju jako liczący się ośrodek muzyki rozrywkowej — dziedziny odgrywającej niebagatelną przecież rolę we współczesnej kulturze masowej.

To prawda, że sam jestem autorem piosenek, ale te słowa nie biorą się bynajmniej z urazy o to, że brak moich utworów w większości programów pod hasłem: „Łódź na muzycznej antenie" — wszak współpracuję nie tylko z tą jedną rozgłośnią; moje teksty nagrywa się także w Warszawie, Katowicach, Poznaniu i kilku innych miastach, a poza tym na nieobecność na ogólnopolskiej antenie (także w łódzkich programach nocnych) raczej nie muszę się uskarżać. Piszę te słowa jako osoba prywatna, z racji swej profesji może nieco uważniej niż przeciętny słuchacz, przypatrująca się polityce repertuarowej poszczególnych ośrodków radiowych. Piszę te słowa również — a może przede wszystkim — jako rodowity łodzianin, zawsze podkreślający ścisły związek z naszym miastem I liczę na to, że ten mój kolejny głos w tej samej sprawie usłyszą inni łodzianie, nie słuchający być może nocą radia, ale mogący zmienić w istniejącej sytuacji to i owo na lepsze. Bo coś mi się zdaje, że ktoś tutaj nie czuje się łodzianinem lub zapomniał, że nim jest, a cała sprawa zakrawa na skandalik — wewnętrzny łódzki skandal „na muzycznej antenie".

KRZYSZTOF DRZEWIECKI ■

JERZY M. FIEDOSIEJEW

Horyzont zamknięty ścianą

„Terroryści" **Ireneusza Iredyńskiego** są sztuką napisaną sprawnie, ze znajomością warsztatu — i literackiego, i teatralnego. Dzieje się w niej bardzo mało, znaczne partie są w ogóle pozbawione jakiejkolwiek akcji scenicznej, a przecież rzecz tę ogląda się z zainteresowaniem Uwagę widza skupia wyłącznie tekst. Także za sprawą **Jana Bratkowskiego** — reżysera łódzkiego przedstawienia „Terrorystów" — idącego trop w trop za myślą oraz intencjami autora. Poza drobnymi, nie liczącymi się skreśleniami, wszystko jest tak, jak tego mógł sobie życzyć Iredyński. Ze skrupulatną wiernością didaskaliom włącznie. Bratkowski nie jest reżyserem ze starej, teatralnej anegdoty, który „ma pomysły" Przeciwnie — ten spektakl jest w nie ubogi, czego wszakże nie należy uważać za jego mankament. Ubóstwo to bowiem wypływa nie z braku reżyserskiej inwencji, lecz ze świadomie narzuconej sobie dyscypliny i konsekwencji w realizacji przyjętego założenia. Bohaterowie tej sztuki — zgodnie z wolą jej autora — nie działają, lecz mówią. Jeśli któryś z nich nie ma nic, albo niewiele do powiedzenia (Bill Ladurie) stoi sobie gdzieś z boku. A każde działanie, jeśli już do niego dojdzie, jest niejako wymuszone przez okoliczności zewnętrzne. Tylko na samym początku Numer Siedem z własnej woli, powodowany nieskrępowanym impulsem siądzie do fortepianu. Na krótko, ponieważ Numer Jeden nie pozwoli mu zbyt długo milczeć. Obydwaj prawie nic nie mają do zrobienia, natomiast wiele do powiedzenia. Sobie, innym postaciom, wreszcie nam. To samo dotyczy Ministra i Marii Schwartz. Jedynie Milczący nie odezwie się ani słowem, będzie natomiast najaktywniejszy i najefektywniejszy w działaniu.

Jesteśmy więc głównie świadkami rozmów, stanowiących wykładnię racji i postaw. Przede wszystkim Numeru Jeden — przywódcy ruchu, mającego na celu obalenie dyktatury znienawidzonego Roblesa, dzierżącego żelazną pięścią władzę w jakimś bliżej nie określonym państewku środkowoamerykańskim. Rzecz dzieje się niemal w przededniu powstania ludowego, któremu Numer Jeden stara się zapewnić powodzenie. Ponieważ zaś w jego przekonaniu liczy się tylko efekt końcowy, sięgnie przeto nawet po prymitywną prowokację. W jej wyniku zginie troje niewinnych ludzi — w tym całkowicie oddany ruchowi Numer Siedem — ale równocześnie Robles zostanie doszczętnie skompromitowany w oczach światowej opinii publicznej.

Otóż ten właśnie kościec sztuki powoduje głębokie nieporozumienia interpretacyjne — niezależne od spektaklu — których koronnym przykładem jest artykuł Sławy Bardijewskiej w styczniowym numerze miesięcznika „Literatura" Tych nieporozumień jest całe mnóstwo, a wszystkie wynikają z zasadniczego, polegającego na przyjęciu karkołomnej tezy, iż „Sztuka ta próbuje przedstawić mechanikę przewrotu społecznego i... pokazać manipulację zbiorowością." Jeśli się przyjmie taki punkt widzenia, to już łatwo napisać później, że „Bohater Iredyńskiego to homo politicus, człowiek, który musi istnieć i sprawdzać się w obszarze działań wielkiego mechanizmu historii współczesnej." Albo: „W „Terrorystach" przedstawia Iredyński obraz wielkiej polityki małego kraiku, wspartej na terrorze, i współczesnej historii zdominowanej przez siłę."

Nic bardziej błędnego. W „Terrorystach" nie ma nawet śladu tego, czego się w nich dopatruje S. Bardijewska. Jest natomiast sporo gazetowej terminologii, sloganowych deklaracji, frazesowej retoryki. Widnokrąg Numeru Jeden jest niesłychanie ograniczony. Zamyka go ściana mieszkania aktualnego, reżimowego ministra użyczającego schronienia — nie bez nadziei na pewne późniejsze profity — przywódcy ruchu. Ale kontakt tego człowieka ze światem jest sprowadzony niemal do zera. I to —jak się zdaje — nie tylko z powodu konieczności rygorystycznego przestrzegania zasady konspiracji. Numer Jeden — stojący na czele ledwie wspomnianego 20-osobowego kierownictwa ruchu — woli sam rozgrywać swoją partię Bez niczyjej pomocy, ale też i bez niczyich sugestii, rad, czy nawet zaleceń. O tym co się dzieje za ścianą mieszkania — jak również magazynu, w którym Numer Jeden spotyka się ze sławną dziennikarką — nie wiemy praktycznie nic Ani my — widzowie, ani też Numer Jeden. Dlatego też pusto brzmi jego stwierdzenie, stanowiące odpowiedź na jedno z pytań Marii Schwartz: „Nasz ruch jest tak szeroki społecznie, że każdy znajdzie w nim swoje miejsce." Dlatego śmieszy konstatacja S. Bardijewskiej, że jest to „dyskusja o mechanizmie przewrotu społecznego".

Nie może być mowy o jakimkolwiek przewrocie społecznym bez ideologii. Takiej lub innej. „Terroryści" zaś z jakiejkolwiek są wyprani do czysta. Dlatego problem sztuki — jak chciałby go widzieć autor — zawisł w próżni. Został wyjęty ze społecznych uwarunkowań i pozbawiony motywów ideologicznych, stał się laboratoryjnym preparatem — może i ciekawym, lecz nie stanowiącym pełnej ilustracji całości zagadnienia Sztuka bowiem nie daje najmniejszych podstaw do przynajmniej częściowego rozeznania się w ideologicznych motywacjach ruchu.

W dodatku słowo „lud" pada z rzadka i w kontekście nie upoważniającym do snucia domysłów na temat zakresu społecznego poparcia nie tyle samego ruchu, co Numeru Jeden jako jego przywódcy. Wiemy jedynie, że gdzieś w górach toczą się walki partyzanckie, nie otrzymujemy jednak jakiejkolwiek informacji co do ich intensywności, zasięgu i skuteczności. I nic ponadto. A to jest stanowczo za mało dla „przedstawienia mechaniki przewrotu społecznego", a szczególnie dla „pokazania manipulacji zbiorowością". Trzeba mieć wiele fantazji, by w „Terrorystach" tę manipulację dostrzec.

Być może Iredyński wie o teorii rewolucji tyle, że mógłby na ten temat napisać uczoną rozprawę. „Terroryści" świadczą jednak o czymś przeciwnym. Ogromnie zaś trudno stworzyć przekonywającą rzecz o mechanizmach przewrotów społecznych na podstawie krótkich notatek prasowych i własnych o tychże mechanizmach wyobrażeń. Trzeba jednak przeczytać coś jeszcze. Udałoby się wówczas retorykę zastąpić argumentami, wnioski oprzeć na mocnych przesłankach, a normy moralne potraktować nie jako istniejące same w sobie, lecz stanowiące kościec określonego systemu etycznego.

W przeciwieństwie do materii sztuki, sam spektakl budzi o wiele mniej zastrzeżeń. Jest poprowadzony czysto, precyzyjnie, w dobrym tempie. Niezaprzeczalną zasługą Jana Bratkowskiego jest brak dłużyzn i pustych miejsc.

Godne uwagi są też w tym przedstawieniu niemal wszystkie role. Nawet niema postać Milczącego w wykonaniu **Marka Lipskiego** ma swój styl i charakter. Takoż **Wojciech Droszczyński** jako Bill Ladurie pozostaje w pamięci. Ale oczywiście cały ciężar spektaklu spoczywa na barkach pozostałej czwórki wykonawców.

Wojciech Pilarski gra Numer Jeden z pewnym dystansem, płynącym — jak to odczytuję — ze świadomości, iż jest to rozgrywka o najwyższą stawkę w partii, która już się nigdy nie powtórzy. Nie są mu wprawdzie obce uczucia, wie jednak, że nie wolno mu ich brać pod uwagę, jeśli chce osiągnąć to co zamierzył. Stąd szczególna oszczędność w doborze środków wyrazu, graniczącą niekiedy z pewnym wręcz skrępowaniem, nie pozbawionym jednak ładnego i umiejętnego cieniowania.

Mirosława Marcheluk ustawiła rolę Marii Schwartz pięknie, trowo. Aktorka gra dziennikarkę, ale ta gra dodatkowo wobec siebie samej i tych, z którymi przyszło jej się spotykać. W wielu przypadkach jest sztuczna, nadmiernie ekspresyjna. Ale taką jest nie Mirosława Marcheluk, lecz Maria Schwartz. Trudne to, lecz ogromnie interesujące potraktowanie roli, którą Mirosława Marcheluk zaliczyć może do swych największych osiągnięć.

Przewrotnie i niezwykle inteligentnie gra Ministra **Janusz Kubicki**. Granica między cynizmem tej postaci, a doświadczeniem i życiową mądrością jest tak płynna, iż niemal nie sposób jej wyznaczyć. Prawie każde zdanie brzmi w ustach Kubickiego wieloznacznie, co pogłębia i uplastycznia kreowaną przezeń postać, odbierając jej cały — zapewne zamierzony przez autora — schematyzm.

Autentyczną wrażliwość i bezkompromisowość młodości wnosi **Jacek Pawlak** jako Numer Siedem — trochę kanciasty w ruchach, popełniający niekiedy drobne warsztatowe błędy, w sumie jednak przekonywający do tworzonej przez siebie postaci.

Scenografia **Krzysztofa Pankiewicza** — trochę mroczna i jakby niepokojąca — spełnia życzenia wyrażone w didaskaliach przez autora „Terrorystów", których wystawienie (najpierw w Warszawie, potem w Łodzi) stało się na tyle głośne, że bez względu na to, co się o sztuce i spektaklu napisze, sala nie powinna świecić pustką. Byłoby jednak dobrze, gdyby widzowie nie poddali się bezkrytycznie olśniewającym ze sceny słowom i nie zrezygnowali z własnej refleksji na temat spraw, których Iredyński nie dopowiedział, bądź też całkowicie pominął. ■

Teatr Nowy w Łodzi. **Ireneusz Iredyński** — „Terroryści". Reżyseria — **Jan Bratkowski**, scenografia — **Krzysztof Pankiewicz**. Premiera prasowa — 23 stycznia 1983 r.

Z półki recenzenta

Zaćmienie

Twórczość Włodzimierza Tiendriakowa jest dobrze znana polskiemu czytelnikowi. Od 1962 roku, kiedy wydano u nas jego „Sąd", a później w krótkich odstępach czasu „Krótkie spięcie", „Spotkanie z Nefretete", „Zgon" i „Wiosenne szaleństwa. Trzy worki pszenicy" — Tiendriakow znalazł gorących wielbicieli. Popularność zawdzięcza przede wszystkim tematyce, w której obok konfliktów moralnych przedstawia w subtelny sposób złożoność ludzkich postaw i charakterów. Ten moralista w sposób niezwykle dociekliwy a zarazem prosty, sięga do najtajniejszych zakamarków ludzkiego sumienia, ukazuje nasze słabości, rozdrażnienia, niepokoje i udręki.

W „Zaćmieniu" powraca odwieczny temat: jak porozumieć się z innym człowiekiem, jeśli nawet jest to ktoś bliski? Jak kształtować przyszłość, skoro jest tyle różnic, sprzeczności, nieporozumień i kłamstw?

W zakończeniu powieści, Tiendriakow mówi: „Zrozum i przyjmij człowieka, który, jako ten jedyny, jest ci dany, aby towarzyszyć ci w twojej życiowej drodze. Zrozum go! Och, jakie to trudne!

Zaiste, za zrozumienie drugiego człowieka ludzie płacą krwią, niekiedy oddają kawał życia".

Włodzimierz Tiendriakow: Zaćmienie. Czytelnik 1982. Stron 276. Cena 75 zł.

Eseje Ważyka

Otrzymaliśmy tom eseistyki Adama Ważyka, poety, który odegrał niepoślednią rolę w polskim życiu literackim. I choć na długo przed wojną przypinano mu etykietki typu: kubista lub nadrealista, jego twórczość zawsze wychodziła daleko poza wszelkie prądy, mody i orientacje.

Eseistyka zaprezentowana przez PIW pisana była przez wiele lat: „Kwestia gustu" nosi daty 1964-1965, zaś ostatni tekst „Cudowny kantorek" powstał na początku roku 1977. Ważyk pisze: „Przekazując swoje przygody intelektualne, uwzględniłem przeważnie te książki, dzięki którym mogłem wyraźnie określić swoje zainteresowanie i gusty". I zaraz dodaje: „W tych wspomnieniach i konfrontacjach nie zawsze posuwałem się równolegle z biegiem czasu. Wybrałem ruch zawilszy, ruch unoszongo wahadła". To wyznanie określa płaszczyzny i czasy, w których się poruszał, które badał, i wreszcie, które we właściwy sobie sposób poddał gruntownej analizie.

Tom esejów Ważyka jest ciekawą książką, po którą winni sięgnąć nie tylko fachowcy od krytyki literackiej.

Adam Ważyk: Eseje. PIW 1982. Stron 480. Cena 200 zł.

Henryk i Kato

Iris Murdoch jest autorką dość dobrze spopularyzowaną w Polsce, gdyż prawie połowę jej dorobku twórczego przełożono na nasz język. Powieść „Henryk i Kato" jest jej ósmą książką, jaka pojawiła się na naszym rynku. Tę popularność zawdzięcza Iris Murdoch tematyce swoich utworów: zawsze jest w nich konflikt, zawsze sprawa moralności staje się pierwszoplanowym zagadnieniem, zawsze są sytuacje trudne, zagmatwane, wymagające nieraz od bohaterów decyzji ostatecznych.

„Henryk i Kato" jest powieścią o ludziach mających skomplikowane życiorysy, którzy poszukują rzeczy dla siebie i swoich bliskich najcenniejszej: zbawienia. Jednakże w okrutnym, bezwzględnym świecie panują surowe prawa i bardzo kontrowersyjne obyczaje. W tej książce jest wszystko: spokój posiadania, miłość do Boga, miłość mężczyzny od innego mężczyzny, marzenia o wiekuistym zbawieniu. Ale jest także podłość, szantaż, przemoc i gwałt. I choć bohaterowie odnajdują w końcu swoje miejsce nie odnajdują jednak ideałów, dla których kiedyś podjęli walkę.

Iris Murdoch: Henryk i Kato. PIW 1982. Str. 400 Cena 150 zł. ■

ROZMOWA Z DYREKTOREM UNITED NATIONS ECCOLOGICAL PROGRAM (PROGRAM EKOLOGICZNY ONZ) — M. TOLBĄ

Ziemia daje życie ludziom i grozi zagładą

W całej prasie światowej można znaleźć zatrważające tytuły — „giną ryby, ptaki i zwierzęta", „giną całe gatunki roślin", „pustynie i lodowce atakują przyrodę", „ludzkość wchodzi w okres kryzysu energetycznego i surowcowego"... Jak zmieniła się sytuacja ekologiczna w ciągu ostatnich 10 lat? Czy spełniły się nadzieje uczestników ruchu na rzecz ochrony i zachowania środowiska naturalnego? Co powinno nas napawać trwogą?

— Zmiany w środowisku naturalnym, powodowane przez działalność człowieka, trudno jest określić i zmierzyć, ale w latach 70-tych wyciągnięto wiele wniosków.

Po pierwsze — w wyniku rosnącego zużycia paliw kopalnych koncentracja dwutlenku węgla w atmosferze zwiększa się wolno, ale nieustannie. Zjawisko to jest brzemienne w ważne, choć jeszcze nie do końca zbadane, następstwa dla pogody, a tym samym dla rolnictwa, ponieważ może ono wpływać na ilość opadów (śniegu i deszczu), zmienić w różnych rejonach planety pokrywę śnieżną i lodową, a w wyniku tego zmienić wydajność rolnictwa.

Po drugie — zarejestrowano takie zjawisko, jak „kwaśny deszcz", powstający w wyniku przemieszczania się w powietrzu na duże odległości siarczanów i azotanów, będących również produktem spalania paliw kopalnych.

Ustalono ostatecznie fakt wyczerpywania się warstwy ozonowej. Na początku dziesięciolecia przypuszczano, że zjawisko takie jest wynikiem wyrzucania na coraz większą skalę do atmosfery różnych związków chemicznych. Ilość cząstek twardych w powietrzu wzrasta w pewnym stopniu, co — jak się przypuszcza — może również mieć przykre następstwa klimatyczne.

W wyniku zanieczyszczenia mórz i oceanów ropą naftową giną obecnie tysiące ptaków morskich, plaże stają się niezdatne do użytku, cierpi turystyka. Do mórz i hydrosfery przedostają się chloroorganiczne pestycydy. W minionym dziesięcioleciu podpisano konwencję o kontroli zanieczyszczeń wód morskich. Zgodnie z Regionalnym Programem Ochrony Mórz UNEP realizuje się już, bądź zostały zaplanowane, odpowiednie przedsięwzięcia w dziesięciu różnych regionach. Rozszerzone zostały terytoria wybrzeżowych i morskich parków narodowych oraz rezerwatów. Mimo tego wszystkiego sytuacja jest ciągle groźna.

Na wielkich odcinkach kontynentów — zwłaszcza gęsto zaludnionych i wysoko rozwiniętych — naturalna roślinność zanikła prawie całkowicie. Wyginęły również całe gatunki lub populacje zwierząt, co stało się przyczyną zubożenia zasobów genetycznych.

Jednym z głównych przedmiotów powszechnego zaniepokojenia jest też tempo wyrębu, a w niektórych regionach całkowita likwidacja lasów tropikalnych i osuszania ziem podmokłych. Woda pitna jest jednym z dobrodziejstw niezbędnych do życia, ale w latach 70-tych dla milionów ludzi albo jej nie starczyło, albo trzeba było ją zdobywać dzięki ogromnym wysiłkom. Są na planecie miejsca, gdzie ludzie mają dostęp tylko do zanieczyszczonych źródeł. Spośród trzech głównych użytkowników — gospodarstwa domowe, przemysł i rolnictwo — ostatni zgłasza największe zapotrzebowanie. Zużycie wody przez przemysł w ciągu tego dziesięciolecia wzrosło, ale w wyniku efektywniejszego jej wykorzystania osiągnięto również oszczędności. Na przykład w Japonii zużycie wody przez cały przemysł zwiększyło się z około 50 mln metrów sześciennych na dzień w 1965 roku do 120 mln metrów sześciennych w 1974 roku, ale w połowie lat 70-tych dwie trzecie stanowiła woda wielokrotnego użytku w porównaniu z jedną trzecią w 1965 roku. Fakt, że wielu ludzi na Ziemi nie ma dostępu do dobrej, czystej wody i pozbawionych jest wygód sanitarnych był przedmiotem głębokiego zaniepokojenia społeczności światowej. ONZ ogłosiła obecne dziesięciolecie Międzynarodową Dekadą Zaopatrzenia w Wodę i Poprawy Warunków Sanitarnych.

Inny zatrważający moment. Erozja, zasolenie, wiercenia głębinowe i degradacja chemiczna spowodowały wielkie straty żyznych ziem w wielu rejonach kuli ziemskiej. Zasolenie zmusiło do puszczenia odłogiem prawie takiego obszaru uprawnych ziem, na jakim przeprowadzono melioracje i irygacje, przy czym problem ten przybrał szczególnie ostrą formę w rejonach narażonych na posuchy. „Ofensywa" pustyni następowała w tym dziesięcioleciu szerokim frontem — około 60 tys. km kwadratowych ziemi staje się każdego roku nieużytkami, bądź ginie całkowicie w wyniku silnych i powtarzających się susz. Sahara stopniowo zajmuje rozległe rejony Sudanu, Etiopii, Somalii i Senegalu. Wielkie regiony przekształcają się w pustynię w takich krajach jak Brazylia, Iran, Pakistan, Bangladesz i Afganistan. Ta nieubłagana ofensywa piasków zagraża 600—700 milionom ludzi. Metody walki z pustynią są dobrze znane, mimo jednak, iż ONZ zorganizowała na ten temat konferencje, a Zgromadzenie Ogólne zaakceptowało niezbędny plan działań, do 1980 roku w wielu krajach świata nie podejmowano jeszcze żadnych konkretnych działań. Pod koniec dziesięciolecia stało się rzeczą jasną, iż niezbędne są znacznie szersze przedsięwzięcia w walce z „ofensywą pustyni" — konserwacja gleb, rozsądne wykorzystywanie zasobów leśnych i wodnych, zastosowanie specjalnych metod uprawy roli.

— Co udało się osiągnąć podczas minionych dziesięciu lat ludziom walczącym o utrzymanie życia na Ziemi?

Znacznie posunęły się prace nad określeniem zapasów bogactw naturalnych i ich kwalifikacji, trzeba jednak podkreślić, że obliczenia mają ciągle jeszcze charakter wstępny. W ostatnich latach było wiele sporów o wzrost zużycia surowców kopalnych i możliwość wyczerpania bogactw ziemi. Ludzkość nie może przecież „roztrwonić" wszystkich swoich surowców mineralnych i zostać z pustymi rękami W związku z tym w latach 70-tych zwracano baczniejsza uwagę na stworzenie „zamkniętych cyklów", na wielokrotne wykorzystywanie wydobytych surowców, a także na zastępowanie ich innymi materiałami.

Trzęsienie ziemi, wybuchy wulkanów, osuwiska i zapadnięcia spowodowały w latach 70-tych, podobnie jak w poprzednich dziesięcioleciach, niemało ofiar ludzkich i pociągnęły za sobą ogromne straty materialne. Trzęsienie ziemi w Górach Tien-Szan (Chiny) 28 lipca 1976 roku było katastrofą rzadką pod względem rozmiarów w historii świata — pochłonęło ono setki tysięcy istnień ludzkich, a nie mniejsza była ilość rannych. Równocześnie w tym dziesięcioleciu zanotowano pierwszą pomyślną prognozę wielkiego trzęsienia ziemi. Obecnie staje się możliwe stworzenie bardziej niezawodnych systemów ostrzegania. W ciągu dziesięciolecia osiągnięto pewien postęp w zakresie wykorzystania ziemi, architektury i budownictwa w rejonach szczególnie narażonych na trzęsienia ziemi.

Do pozytywnych rezultatów można też zaliczyć przystąpienie wielu krajów do kilku konwencji międzynarodowych. Zorganizowano konferencje międzynarodowe, poświęcone walce z pustynnieniem, ilość i obszar rezerwatów przyrody rosły na całym świecie, tworzono banki zasobów genetycznych roślin uprawnych i zwierząt domowych.

Nie udało się doprowadzić do pełnego zakazu połowów wielorybów. Ograniczono jednak połowy i obecnie trzebienie tych zwierząt zostało znacznie zredukowane. Również klimatolodzy uzyskali postęp dzięki współpracy międzynarodowej, co daje możliwość dokładnego prognozowania pogody.

Sukcesy inżynierii genetycznej pozwoliły otrzymać wiele cennych substancji dzięki mikrobom. Odpady z hodowli zwierząt i uprawy roślin powodują zanieczyszczenia środowiska naturalnego, ale obecnie opracowuje się już metody ich wykorzystania do pożytecznych celów, na przykład do produkcji biogazu. W przemyśle celulozowym i papierniczym nauczono się już obniżać o ponad połowę normy odprowadzania wód ściekowych i umie się w wyniku tego zmniejszać zanieczyszczenie środowiska naturalnego. Przemysł petrochemiczny potrafi obecnie ograniczać odprowadzanie zużytej wody, przemysł stalowy zmniejszyć wypuszczanie do atmosfery dymu i pyłów, a przemysł aluminiowy ograniczać zużycie energii elektrycznej. Niestety, nie posiadamy jeszcze wystarczających danych o tym, jak upowszechniły się te osiągnięcia na skalę światową, i jakie były społeczne skutki tego...

— Proszę zatrzymać się dłużej na momentach społecznych, związanych z ochroną środowiska w minionej dekadzie.

— Charakterystyczne dla minionego dziesięciolecia było to, że przywódcy polityczni różnych krajów wyrobili sobie nowe, szersze poglądy na wzajemne związki między wzrostem liczby ludności, bogactwami naturalnymi, środowiskiem naturalnym i rozwojem.

Spór o to, jaką rolę odgrywają warunki społeczno-gospodarcze, a jaką programy planowania rodziny w zmniejszaniu liczby urodzin, w wielu krajach został w zasadzie rozstrzygnięty w ubiegłym dziesięcioleciu — uzyskane dane świadczą o tym, że oba te czynniki posiadają wpływ i oddziaływują na siebie wzajemnie. Obawy o to, że obniżenie śmiertelności w wyniku poprawy ochrony zdrowia doprowadzi do zwiększenia na czas dłuższy tempa przyrostu ludności są rozwiewane przez zgromadzone dane demograficzne.

Gromadzenie i przetwarzanie odpadów stało się stale zaostrzającym się problemem w wyniku gwałtownie zwiększonego zużywania różnych wyrobów i tendencji do ekstrawaganckich opakowań. Nasiliło się zanieczyszczenie wód ciekłych z powodu wyrzucania do nich śmieci i odpadów przedsiębiorstw chemicznych.

W krajach rozwijających się w każdym roku minionej dekady sześć chorób pochłaniało życie około 5 mln dzieci. Były to: błonica, koklusz, tężec, odra, poliomyelitis i gruźlica. Ospa została zlikwidowana. W kołach lekarskich obserwowano wyraźną niepewność co do tego, jak najlepiej walczyć z chorobami pasożytniczymi. Wzrosło zrozumienie roli czynników ekologicznych i genetycznych w rozwoju chorób nowotworowych. W tym jednak czasie, kiedy zrozumienie powiązań między życiem ludzi i środowiskiem naturalnym umocniło się, zdrowie milionów mieszkańców rejonów wiejskich, a w wielu krajach rozwijających się również miejskich, niewiele się poprawiło.

W pewnych przypadkach turystyka doprowadziła do przemieszczania się mieszkańców tego czy innego rejonu w inne miejsca i wyrządziła szkodę ich interesom ekonomicznym. Niekiedy gwałtownie zmieniła tryb życia miejscowej ludności lub też zniszczyła jej tradycje kulturalne. Niemało jest również ekologicznych skutków turystyki. Zdarzało się, co prawda, że konieczność przyciągnięcia turystów zmuszała w niektórych miejscach do zatroszczenia się o ochronę przyrody, świata zwierzęcego, miejsc historycznych, zabytków i innego dziedzictwa kulturowego. Ale masowy napływ turystów pociągał za sobą nieodwracalne szkody ekologiczne.

Specjaliści przejawiali w minionym dziesięcioleciu największą troskę w związku z koniecznością rozwiązywania skomplikowanych problemów transportowych i energetycznych. Jakie są rezultaty i perspektywy w tej dziedzinie?

— „Kryzys naftowy" doprowadził do zrozumienia tego, iż paliwa kopalne podrożeją w przyszłości i są one rzeczywiście drogie, zaś ich zapasy ograniczone. Ludzie zaczęli stawiać sobie pytanie, czy na długo starczy tych nieodnawialnych rodzajów paliw. Stało się jasne, że takie ograniczone pod względem zasobów paliwa trzeba będzie zastąpić innymi źródłami energii, której światowe zużycie wzrosło od 1970 do 1978 roku o około 30 procent. Prawie 80 procent tego przypadło na kraje rozwinięte, gdzie poziom zużycia na jednego mieszkańca był już wcześniej 15 razy większy niż w krajach rozwijających się. Najszerzej posługiwano się jako paliwem ropą naftową, której zapasy są znacznie mniejsze niż zapasy węgla. W latach 70-tych nastąpił jeszcze inny kryzys paliwowy — nie starczało drewna, które wraz z węglem drzewnym, słomą, itp., ciągle jeszcze daje od 30 do 95 proc. całej energii zużywanej w krajach rozwijających się. Rosnąca troska o ochronę środowiska znalazła wyraz we wstępnym przetwarzaniu paliwa, wprowadzeniu kontroli procesów spalania paliwa i oczyszczania gazów palenisko wych, by ograniczyć wyrzucanie do atmosfery dwutlenku siarki.

Dyskusje wokół produkcji energii nuklearnej, rozpoczęte pod koniec lat 60-tych, były kontynuowane i w latach 70-tych. Choć produkcja energii jądrowej daje zaledwie ułamek procenta promieniowania jonizującego, otrzymywanego przez każdego człowieka, spory na ten temat nasiliły się zwłaszcza po pewnych wypadkach z reaktorami, czemu nadano ogromny rozgłos, jak też w wyniku niejasności, jak postępować z odpadami nuklearnymi.

Nowoczesne systemy transportowe spowodowały ogromne zmiany w życiu ludzi na Ziemi, wyłączając jedynie najbardziej zapadłe rejony planety. Zmieniły one nie tylko wygląd miast i faktycznie stworzyły samo pojęcie: „nowoczesne miasto", ale stały się bronią przynoszącą śmierć lub kalectwo znacznej ilości ludzi. Przyczyniają się one do zanieczyszczania atmosfery na naszej planecie i wywierają niemały wpływ na środowisko naturalne. Długość autostrad w wielu krajach zwiększyła się ponad dwa razy. Drogi te zajęły znaczną powierzchnię ziem ornych (na przykład w Japonii 7,3 proc.) i wspólnie z samochodami pochłonęły ogromne ilości surowców (według niektórych ocen, na dziesiątki milionów samochodów produkowanych każdego roku na świecie, zużywa się połowę światowej produkcji stali). Zużycie przez transport energii podwoiło się w niektórych krajach i stanowi od 15 do 33 procent całej zużywanej energii. Transport samochodowy pozostaje głównym źródłem zanieczyszczenia produktami spalania ropy naftowej.

Mimo wszystko, negatywne oddziaływanie ekologiczne i społeczne transportu zostało w ciągu dziesięciolecia osłabione przez szereg przedsięwzięć. Udoskonalona została konstrukcja samochodów, tak, żeby zanieczyszczały one mniej powietrze spalinami, powodowały mniej hałasu, zużywały mniej paliwa i bardziej odpowiadały wymogom bezpieczeństwa ruchu. Pod koniec dekady na czoło głównych problemów wysunęły się następujące: osiągnięcie równowagi między różnymi rodzajami transportu, zwiększenie skuteczności nakładów w energetyce, przygotowanie do przestawienia się na nowe rodzaje paliw po zakończeniu „ery naftowej" i zapewnienie rozwoju skutecznych systemów transportu zbiorowego.

— Czy można uważać, że sukcesy dziesięciolecia były wynikiem szerokiego upowszechniania wiedzy ekologicznej, a porażki niedostatecznego ciągle jeszcze wychowania każdego człowieka w duchu stałej troski o środowisko naturalne?

— Udział opinii publicznej w ochronie środowiska stał się znacznie szerszy w ciągu dziesięciolecia. Było to w dużej mierze możliwe dzięki wysiłkom środków masowej informacji, często poruszających tematykę ekologiczną. Wyniki tej propagandy nie były jednak jednoznaczne — chociaż dziennikarze skupiali uwagę publiczności na problemach ekologicznych, to rzadko udawało się im pogłębić jej wiedzę o nich i doprowadzić do zrozumienia istoty sprawy. Można jednak oczekiwać, że ostatecznie opinia publiczna i rządy dojdą do lepszego zrozumienia istoty problemów, stojących obecnie przed ludzkością.

— Zanim podejmie się walkę o ochronę środowiska naturalnego, trzeba dobrze zbadać procesy zachodzące w nim i znać jego stan obiektywny w dowolnym momencie, w dowolnym punkcie kuli ziemskiej. Wiadomo, że w ramach UNEP istnieje Globalny System Śledzenia Stanu Środowiska Naturalnego. Jakie są jego cele i zadania oraz jak on funkcjonuje?

— System prowadzi obserwację zanieczyszczeń w kilku wybranych miastach, obserwacje skażenia produktów spożywczych i paszy dla bydła, jakości wody, gromadzenia się szkodliwych substancji w tkankach ciała ludzkiego oraz przedostawania się cząstek twardych i szkodliwych na duże odległości, ponad granicami państw. Kontrola klimatu powinna określić stopień oddziaływania człowieka na warunki pogodowe. Rozległy Program Badań Klimatu wchłonął w siebie obecnie również rozpoczętą dawno działalność, jak przedsięwzięcia w zakresie opisu lodowców i wiele nowych prac — badanie bilansu cieplnego ziemi, informacji historycznej, jakiej dostarczają lody, słoje drzew i działalność wulkaniczna...

Obecnie, kiedy liczne sieci systemów zbioru informacji funkcjonują skutecznie, dużą wagę przykłada się do interpretacji uzyskiwanych informacji i do ich wykorzystania do celów praktycznych ochrony środowiska. Podstawowe dane będą wykorzystywane do przeprowadzenia co pięć lat ocen aktualnego stanu i tendencji rozwojowych tego czy innego zmiennego składnika środowiska, jak na przykład zasoby leśne. W ten sposób uwaga społeczności światowej kierowana będzie na wszystkie budzące niepokój momenty, żeby mogły być podjęte niezędne, skuteczne środki prowadzące do poprawy sytuacji.

— Jaką, pańskim zdaniem, rolę może odegrać ruch na rzecz ochrony środowiska w utrwalaniu i utrzymaniu pokoju na naszej planecie?

— Można stwierdzić, iż pod koniec dziesięciolecia powstała taka sytuacja międzynarodowa, w której wielu ludzi zaczęło obawiać się globalnego konfliktu zbrojnego. W wyniku podpisania Układu o Częściowym Zakazie Prób z Bronią Jądrową koncentracja radioaktywnych izotopów w całej biosferze obniżyła się. Niemniej jednak broń i przygotowania wojenne trwają w dalszym ciągu na wielkich przestrzeniach, zaś obawy o coraz szersze rozprzestrzenianie się broni jądrowej wzrosły. Radioaktywność, jaką zrodziłaby na przykład eksplozja bomby termojądrowej o dużej mocy, spowodowałaby miliony wypadków śmierci na raka w ciągu następnych dziesięcioleci, a defekty genetyczne zaczęłyby się pojawiać u ludzi tak często, jak obecnie przypadki zachorowań na raka. Broń chemiczna i biologiczna może również spowodować poważne następstwa ekologiczne — unicestwienie lasów tropikalnych w rejonach o wątłej warstwie gleby lub całkowite zniszczenie roślinności w rejonach suchych, których stan ekologiczny i bez tego nie jest zbyt pewny, erozję gleby na wielkich przestrzeniach oraz przekształcenie tych rejonów w pustynie. Pod koniec dziesięciolecia wyścig zbrojeń pozostawał poważną groźbą dla ludzkości i otaczającego ją środowiska.

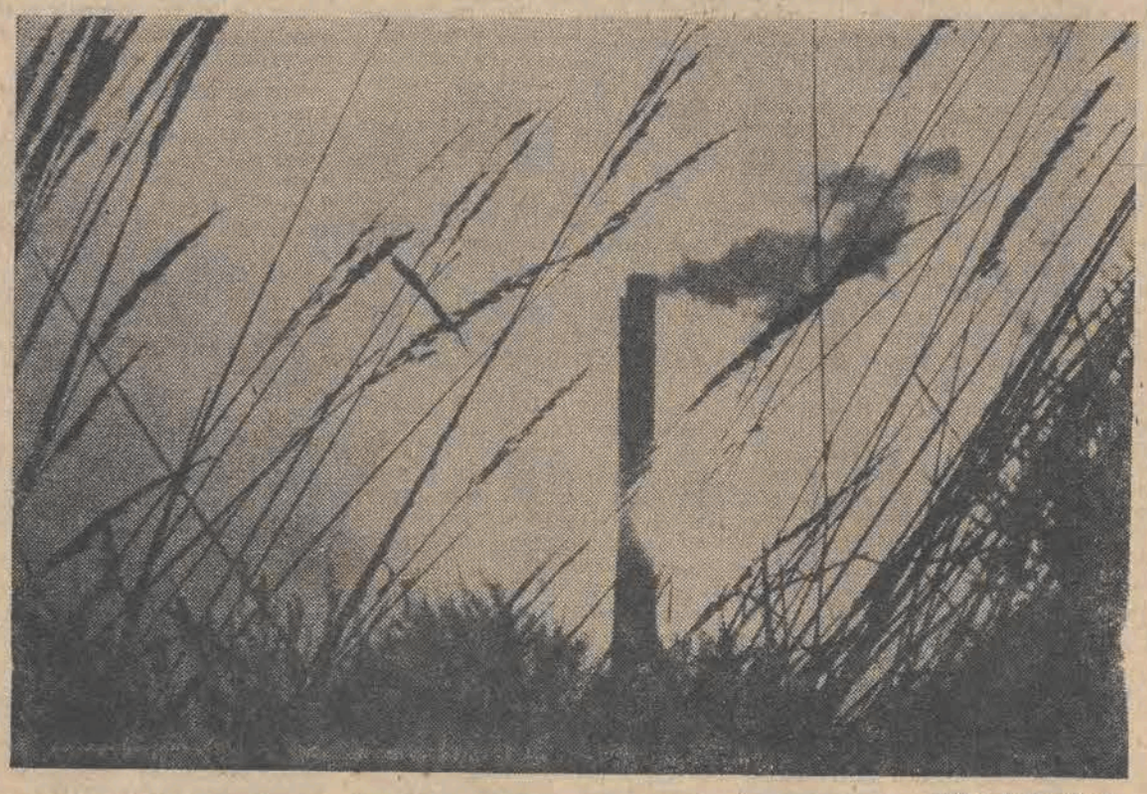

Foto: M. Zajdler

(„Liliieraturnaja Gazieta")

Polemiki • Opinie • Poglądy

Mniej luzu, więcej odpowiedzialności

Sposób skomentowania przez red. R. Binkowskiego wyników naszych badań nad reformą gospodarczą w PGR (oba teksty w „Odgłosach" nr 6/83) zmusza nas do poczynienia kilku wyjaśnień, które Czytelnik bardziej uważny, niż nasz polemista, uzna być może za zbędne.

1. Nie było celem naszej publikacji — czemu daliśmy wyraz — przedstawianie sytuacji w całym sektorze PGR po roku wdrażania reformy, a jedynie pokazanie skutków produkcyjno-finansowych i działania elementów zreformowanego systemu w badanych przez nas gospodarstwach rolnych. Nie było zwłaszcza naszym zamiarem wartościowanie wkładu PGR w realizację zadań wyżywienia narodu, ani deprecjonowanie ich wysiłków w tej dziedzinie. Wszystkie więc zarzuty lub sugestie idące w tych kierunkach uważamy za chybione, gdyż przyjęliśmy świadomie (i podkreśliliśmy to w tekście), że chcemy pokazać w sposób możliwie konkretny i udokumentowany „kawałek" reformy, tj. jej działanie na ściśle określonym polu badawczym.

2. Podważona została reprezentatywność wyników naszych badań Dla uściślenia więc: zastrzegliśmy się przecież, że są one **w dużym stopniu** — a nie w pełni reprezentatywne dla ogólnego obrazu sytuacji PGR (a jest to jednak różnica istotna). Obraz ten oczywiście był nam znany. Nie wprowadzaliśmy jednak tego elementu, gdyż uznaliśmy, że w udostępnionej nam objętości tekstu (i w zestawieniu z jego celem) byłoby to niewykonalne. Za twierdzeniem o reprezentatywności uzyskanych wyników badań przemawiało to, że ujawnione zmiany w strukturze produkcji, dynamice poszczególnych kierunków produkcji oraz w sferze gospodarki finansowej przedsiębiorstw są w dużej mierze zbieżne z trendami obserwowanymi w skali całego sektora Jest więc prawdą, o czym wspomina nasz polemista, że jedna czwarta PGR okazała się w roku gospodarczym 1981/82 nadal deficytowa, ale jest również prawdą, że badane przez nas gospodarstwa znalazły się właśnie w grupie stanowiącej zdecydowaną większość (trzy czwarte ogółu), tj. wśród gospodarstw rentownych. I pomawianie nas, że to nam **„wyszły same zyski"** naprawdę nie ma sensu, gdyż nie można pisać wbrew faktom (a takich dostarczyła analiza sprawozdawczości badanych przedsiębiorstw) — my w żadnym razie nie możemy poczuwać się do udziału w powstawaniu tych zysków.

Równocześnie wyjaśnialiśmy w sposób aż nadto przejrzysty jaka jest wymowa tych „zysków". Napisaliśmy przecież, że tylko **formalnie** patrząc wyniki te są tak pomyślne, gdyż w rzeczywistości nie są one obiektywnym miernikiem wkładu pracy przedsiębiorstw, ani wykładnikiem realnego przyrostu nowych wartości. Wyjaśniliśmy, jakie to czynniki od przedsiębiorstw niezależne wpłynęły na ukształtowanie się tych wyników. Przypomnijmy, że wymieniliśmy w tym miejscu: wzrost cen skupu produktów rolnych, niedokonanie przeszacowania wartości środków trwałych oraz dotacje. Jako czynnik dodatkowy zaciemniający prawdziwe efekty działalności PGR wymieniliśmy przeszacowanie wartości środków obrotowych (nie wypowiadając się na temat zasadności tej decyzji). Nie pisaliśmy — co próbuje zasugerować polemista — czy i ile przedsiębiorstwa na tym zarobiły, gdyż sprawa jest skomplikowana i trudna do precyzyjnego ilościowego określenia.

3. Nie wiemy natomiast, czym kierował się red. R Binkowski wyrażając wątpliwość, czy czynnikiem wpływającym istotnie na wyniki finansowe przedsiębiorstw były dotacje i forsując opinię, że **„dotacje w zasadzie nie istnieją"**. Czyżby red R. Binkowski tak dobrze zorientowany w innych wielkościach dotyczących PGR nie wiedział, że w roku gospodarczym 1981/82 dotacje na ich rzecz obniżyły się co prawda o 31,8 proc., ale pochłonęły wciąż pokaźną kwotę 18 mld zł? Ocenie Czytelników pozostawiamy, czy można w tej sytuacji twierdzić, że **„dotacje w zasadzie nie istnieją"**.

4. W kwestii innych rzekomych nieścisłości w naszym tekście; wszystkie wykorzystywane przez nas informacje liczbowe pochodzą z oficjalnej sprawozdawczości przedsiębiorstw Tak więc **„morderczy trud"** sprawdzenia, którym chwali się red. R. Binkowski, skierował on widocznie nie w tym kierunku, co należało.

5. W związku z polemicznymi uwagami red. R. Binkowskiego dotyczącymi działania różnych elementów nowego systemu wyjaśniamy, że ten fragment naszej publikacji opiera się w całości na jedynie przez nas uporządkowanych opiniach i postulatach ankietowanych pracowników PGR. Tak więc oddaje on sposób widzenia i myślenia o reformie bezpośrednio zainteresowanych, czyli pracowników gospodarstw rolnych, a nie nasze poglądy na ten temat, których rozwinąć w tym tekście nie bylibyśmy w stanie Lekceważący ton red. R. Binkowskiego **(„panowie doktorzy są zdania...", „z artykułu panów adiunktów...")** uderza zatem faktycznie nie w nas, a w naszych respondentów, którzy z całą pewnością na to nie zasługują.

6. Mamy świadomość, że publicysta może w stopniu mniejszym niż my czuć się skrępowany rygorami prowadzenia dyskusji naukowej, jednak nawet przy tym założeniu za niedopuszczalne należy uznać wyrywanie z kontekstu jednej przyczyny i budowanie wokół niej całej kontrargumentacji, podczas gdy w tym samym zdaniu wymieniane są również inne przyczyny, które dopiero łącznie wyjaśniają dane zjawisko.

W sumie zaś nawiązując do tytułu wypowiedzi red. R. Binkowskiego **(„PGR na luzie")** chciałoby się powiedzieć; mniej luzu, a więcej odpowiedzialności w lekturze i interpretacji cudzych tekstów.

ANDRZEJ BIEŃKOWSKI
WIESŁAW ŁYCZEK
WŁODZIMIERZ PULIŃSKI

Wyprowadzić z zakrętu

Instytut Socjologii UŁ przeprowadził w 1982 r. badania ankietowe wśród 400 studentów, chcąc rozszyfrować postawy współczesnej młodzieży. Wyniki ankiety stały się punktem wyjścia dwu artykułów: Edmunda Lewandowskiego w „Odgłosach" (nr 6) i Mirosława Kulisia w „Głosie Robotniczym" (4 II br.). Ocenę swoich wywodów obaj autorzy streścili w tytułach. Dla E Lewandowskiego studenci stanowią część *„pokolenia na zakręcie"*, dla M. Kulisia są po prostu *„szczęśliwi — infantylni"*.

Ponieważ wieloletnia moja obserwacja środowiska studenckiego różni się od tych wniosków, pozwalam sobie przedstawić nie tylko nieco inny sposób odbierania przejawów życia studenckiego, ale i wysunięcie propozycji, zmierzających do bardziej skutecznego niż dotychczas oddziaływania na formowanie się postaw i poglądów młodzieży akademickiej.

W kategoriach społeczno-demograficznych można traktować pokolenie jako grupę w granicach 15—29 lat Przy ocenianiu poglądów, upodobań ocen i pragnień trzeba jednak wyróżnić co najmniej kilka „podgrup" w zależności właśnie od stopnia dojrzewania i stabilizacji szeroko pojętego światopoglądu młodego człowieka. U absolwentów średnich szkół zawodowych kształtuje się on znacznie wcześniej w miarę podjęcia pracy zawodowej i siły oddziaływania środowiska, w jakim 18- 19-latek znalazł się. U studentów ten proces przebiega wolniej, a pytanie „co dalej?" wyrasta dopiero na ostatnim roku studiów, przed wejściem w samodzielność życiową, a więc w wieku 22—24 lat.

Troski bytowe studenta rozwiązuje rodzina i system stypendialny. Własna zaradność odgrywa wówczas stosunkowo nieznaczną rolę (prace dorywcze). Przy zbliżaniu się dnia końcowego egzaminu wyrasta pytanie: *„Jak moje życie potoczy się nadal?"*. I to jest najczęściej okres frustracji.

Studenci pierwszego roku studiów, wyrwani ze sztywnych ramek regulaminu szkoły średniej czują się zagubieni, często bezradni wobec ogromu prezentowanego materiału, nie znają techniki uczenia się Szukają nie tylko wskazówek typu formalnego, ale także objawów życzliwości i serdeczności.

Instytucja opiekunów lat i grup jest mocno zbiurokratyzowana. Pełnią ją pomocniczy pracownicy nauki, którzy traktują tę funkcję, jako jeszcze jedno obciążenie, które odciąga od pisania doktoratu lub habilitacji. Istniały kiedyś symboliczne dodatki dydaktyczne, namiastka ekwiwalentu za dodatkową pracę. Dodatki zniesiono. Wydaje się konieczne znalezienie jakiegoś ekwiwalentu za dodatkową przecież pracę opiekuna roku. Na pewno powinna ona być liczona do tzw. „pensum" zajęć w określonej liczbie godzin.

Trzeba dodać, że oddziaływanie opiekuna na podopiecznych może być bardzo duże. Powinien on stać się przyjacielem i powiernikiem studentów; wiedzieć nie tylko o tym, czy zaliczają zajęcia, ale także jaka jest sytuacja materialna i moralna studentów, jakie mają radości i kłopoty, wzloty i upadki. Opiekun-przyjaciel jest ważnym ogniwem w procesie kształtowania się osobowości studenta. A tego jak dotychczas decydenci nie dostrzegają.

Wpływ pomocniczych pracowników nauki na społeczność studencką powinien być duży. Czy tak jest? Mam wątpliwości.

Wydaje się, że młoda kadra jest bardziej sfrustrowana niż studenci. Przestała być „młodą", gdyż wiek adiunkta sięga czterdziestki, swoje perspektywy widzi on przeważnie jako ciemne. Jest zagoniony dodatkowymi zajęciami, byle podreperować rodzinny budżet.

Przygotowywanie prac doktorskich wydłuża się do 9 lat i często w obliczu rotacji słaba, opisowa praca staje się gwarancją koniecznego stopnia naukowego. Jeśli chodzi o habilitację, to trwają one jeszcze dłużej, zaś od dnia złożenia kolokwium habilitacyjnego do uzyskania etatu docenta upływa średnio około dwu lat.

Zatrzymałem się dłużej nad sytuacją pomocniczych pracowników nauki dlatego, że stanowią oni w obecnym układzie hierarchii na wyższych uczelniach grupę najczęściej stykającą się ze studentami. Ich rola w procesie nie tyle wychowywania (do ilu lat można młodych ludzi wychowywać?), ile oddziaływania jest decydującą.

Obserwacja młodzieży nie upoważnia do stwierdzenia, że studenci są *„szczęśliwi — infantylni"*, jak to podaje M. Kuliś. Raczej są zagubieni i szukają autorytetów, w które mogliby wierzyć. Przesadna dziś religijność młodzieży jest ucieczką od rzeczywistości. W kontaktach z duchowieństwem odczuwają to, czego szukają: życzliwość, bezinteresowność, zwykłą ludzką dobroć. Właśnie te cechy powinni przejawiać pracownicy nauki wszystkich szczebli. Zainteresowanie nie tylko tym co student umie, ale jakim on jest. Kontakty nieformalne mają olbrzymie znaczenie, a właśnie one zostały obecnie zerwane, może nie całkowicie, ale w znacznej mierze

Wszelkigo rodzaju organizacje młodzieżowe stwarzają warunki do kontaktów personelu wykładającego ze studentami. Na dziś uważam za posunięcie najważniejsze wyzwolić wśród studentów chęć organizowania się, może nawet pomóc w powołaniu samorządów i innych form organizacyjnych.

W skomplikowanych warunkach lata 1982 r. działały obozy naukowe, choć nie tak liczne, jak w latach poprzednich. Na obozach młodzież prezentowała się od strony jak najlepszej Wykazywała samorządność, pracowitość, chęć osiągnięcia wyników, przy tym umiała zorganizować rozrywki. Bawiła się hałaśliwie. Widocznie taki styl naszych czasów, ale nie wykraczała poza granice norm współżycia z otoczeniem obozów.

To prawda, że obozy naukowe skupiają nikły procent studentów, ale równocześnie druga prawda, że tę formę pracy połączonej z wypoczynkiem trzeba propagować i już teraz przystąpić do organizowania obozów.

Działają samorządy w domach akademickich. Trzeba je pobudzić do szerszego angażowania się w życie osiedla, także i zarządzania osiedlem Jest to doskonała forma czynnego życia społecznego, niestety nie wyzyskana należycie ani przez studentów, ani przez administrację szkół wyższych

Społeczność studencka nie lubi narzucania gotowych form organizacyjnych. Tym bardziej więc należy iść na spotkanie inicjatywom oddolnym, stwarzać klimat do powstawania klubów bądź zrzeszeń. Czy odnawianie starych form życia studenckiego, opartych na wzorach filomatów czy filaretów, nie jest możliwe?

To prawda, że „nie chwytają" organizacje typu politycznego. Niezależny Związek Studentów nie zdobył w swoim czasie „rządu dusz". Podporządkował sobie część młodzieży i sterowany z zewnątrz, wykorzystywał (może raczej był wykorzystywany) pochopność do zewnętrznych wystąpień zwłaszcza studentów pierwszego i drugiego roku, a więc odłamu najbardziej podatnego na manipulowanie.

Model organizacji młodzieżowej sterowanej z zewnątrz nie odpowiada postawom obecnej młodzieży. A więc trzeba poprzeć oddolne inicjatywy. Są one nader słabe. Przy współudziale nauczycieli akademickich może i powinien rozwinąć się ruch kół naukowych, obozów naukowych, studenckich sesji Do tego konieczne jest zaangażowanie się kadry wykładowczej.

Proces „ożywienia" życia akademickiego wymaga zbliżenia katedr do ławek i chyba system nakazowy wobec zwłaszcza pomocniczych pracowników nauki nie może i nie przynosi pożądanych skutków.

Nie wiem, czy czynniki ministerialne zdają sobie sprawę z frustracji nurtującej adiunktów i asystentów, z trudności przy realizowaniu pracy naukowej (na kierunkach eksperymentalnych, jest to często bariera nie do przeskoczenia), bagatelizowania pracy wychowawczo-organizacyjnej, która nie liczy się jako obciążenie godzinowe.

Wprowadzenie sztywnych terminów rotacji wywołało nie aktywizację, ale zniechęcenie, dążenie do przedstawiania prac o nikłym znaczeniu naukowym, ale pozwalających formalnie na dalszą przejściową stabilizację na uczelni.

Wydaje się, że w interesie młodej kadry jest uporządkowanie i spraw rotacji, i spraw pensum pracowników pomocniczych. Praca wychowawcza, opieka nad studentami, udział w pracach kół naukowych, kierowanie obozami, udział w samorządach studenckich, musi znaleźć odbicie w sporządzaniu tabel obciążeń asystentów i adiunktów. Zaangażowany pracownik naukowy mobilizuje do angażowania się młodzież, która jest bacznym obserwatorem postaw całej kadry nauczającej.

Najsilniejsze zniechęcenie i brak wiary w to że zdolności i dyplom z ogólnym wynikiem bardzo dobrym otwierają drogę do ciekawszej, wyższej rangi pracy, są niemal powszechne. Wyniki ogólne studiów mają znaczenie przy zatrudnianiu magistrów w uczelniach. W życiu potocznym młodzież wierzy w „chody", a troszeczkę w przysłowiowy „łut szczęścia". Liczy się z tym, że pierwsze lata samodzielnej pracy raczej będą „chude", gdyż stypendium studenta obliczano na minimum 8.200—8.500 na członka rodziny, odliczając od tego dochód domowy, a jako magister zatrudniony w szkole, domach kultury, sądownictwie, czy też służbie archiwalnej dostanie on uposażenie niższe niż 6.000 zł.

Właśnie po uzyskaniu dyplomu zjawia się zwątpienie w praktyczną wartość stopnia magistra, a nie są odosobnione wypadki ucieczki w szeregi prywatnej inicjatywy i ciągotki do szukania urządzenia się za granicą.

Przywiązanie studentów do własnej państwowości jest bardzo silne, tak samo jak uznawanie ustroju socjalistycznego za ustrój sprawiedliwy w swych założeniach i skrzywiony w praktyce. Chcą i to powszechnie widzieć jakieś własne perspektywy życiowe. Tragedią tej społeczności jest fakt niedostrzegania tych perspektyw w obecnej sytuacji.

Środowisko studenckie jest społecznością nader zróżnicowaną pod względem postaw i poglądów. Na szczęście elementy skrajnie cyniczne, nastawione tylko konsumpcyjnie, zdemoralizowane (tacy także zdarzają się) stanowią nikły odsetek ogółu. Większość jest bierna, zawiedziona w swych młodzieńczych marzeniach. Nie zrobienie błyskotliwej kariery, ale zdobycie rangi w swoim zawodzie jest pragnieniem, a to jest bardzo ważne.

Zgadzam się w pełni ze sformułowaniem Edmunda Lewandowskiego, że *„młodzi są nie tyle bezideowi, co bezideologiczni, a ich poglądy nie układają się w żaden system"*. I właśnie dlatego nie są „pokoleniem straconym", ale potrzebującym okazania serca i troskliwości.

Zadaniem wszystkich instancji szkolnictwa wyższego i uczelni jest nawiązanie bezpośredniego kontaktu z młodzieżą, nie operowanie nakazem, zakazem i groźbą usunięcia ze studiów, ale tworzenie wspólnych struktur organizacyjnych kontaktów nieformalnych, nawet wspólnych zabaw i wycieczek Oby udało się nadchodzącą wiosną odrodzić filomacko-filareckie majówki, na których bawili się razem studenci i ich „mistrzowie".

Zanim nastąpi aktywizacja środowiska studenckiego pozyskać do tej pracy trzeba, ale pracy prowadzonej „z sercem", kadrę pomocniczych pracowników nauki, zwłaszcza adiunktów, mających już doświadczenie w kontaktach z młodzieżą.

Byłoby nader wskazane, by w sprawie sytuacji na uczelniach poświęcić szerokie międzywydziałowe zebrania młodej kadry z udziałem profesury i delegatów ministerstwa. Wówczas łatwiej będzie postawić diagnozy, uzewnętrznić bolączki i podskórne nurty, znaleźć drogi do stworzenia naprawdę jednej korporacji nauczających i nauczanych.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Na śmietnik encyklopedię!

Z informacji agencyjnej, przekazanej przez wiele gazet, m. in. przez „Dziennik Łódzki" z 4/6 lutego br. dowiedziałem się z prawdziwą satysfakcją, że można już dziś w sposób całkowicie naukowy określić takie cechy osobowości człowieka, trudne do ustalenia dotychczasowymi metodami, jak: **„uzdolnienia i predyspozycje zawodowe, dodatnie i ujemne cechy umysłu, znamiona chorób i skłonności osobnicze"**.

Brzmi to ogromnie zachęcająco. otwiera bowiem szerokie możliwości poznania bliźniego swego i siebie samego, nie mówiąc już o pożytkach społecznych, jakie się za tym kryją, m. in. dla preorientacji zawodowej. Taką bezcenną informację przekazuje **p. Anna Dąbrowska** w wywiadzie, którego udzieliła dziennikarce **p. mgr Aleksandra Obrębska**, a ową niezawodną metodą badawczą rozporządza, jak się dowiadujemy grafologia.

Aby się dowiedzieć o grafologii czegoś więcej, zajrzałem do 4-tomowej Encyklopedii Powszechnej PWN. No, i proszę sobie wyobrazić, co tam pod odpowiednim hasłem znalazłem? Otóż następujące bałamutne, a nawet aroganckie stwierdzenie: **„Grafologia, nazwa teorii pozbawionej naukowych podstaw, zajmującej się określeniem właściwości psychicznych człowieka na podstawie charakterystycznych cech jego pisma ręcznego"**. Dalej znalazłem odsyłacz do **„Grafologicznej ekspertyzy pisma"**, gdzie wyjaśnia się, iż jest to **„badanie mające na celu ustalenie, czy dane rękopisy pochodzą od określonej osoby"**. I żeby już pozbawić czytelnika wszelkich złudzeń pisze się następnie (z tą samą oburzającą ignorancją): **„Grafologiczna ekspertyza pisma oparta jest na podstawach naukowych i nie ma nic wspólnego z grafologią"**.

Przyznam się, że na chwilę poczułem się zbity z tropu. Komu wierzyć: encyklopedii, która tak arbitralnie rozgranicza (rzekomo nienaukową) grafologię, upragnione źródło wiedzy o ludzkiej jaźni — od ekspertyzy grafologicznej tego, jakże przyziemnego, dochodzenia autentyczności pisma; czy też zaufać wspomnianej pani magister, której naukowa specjalność (w prymitywnym sensie uczelnianym) nie jest mi wprawdzie znana, ale przedstawione przez nią dowody są za to nieodparte, z jej bowiem doświadczeń wynika, iż **„ryzyko błędu nie przekracza 15 procent"**.

Jakimi dodatkowymi metodami weryfikuje się grafologiczne diagnozy, określające cechy osobnicze, tego w artykule nie podano, ale wyobrażam sobie, że wystarcza w zupełności uroczyste oświadczenie na piśmie, w którym 85 procent badanych potwierdza trafność opinii grafologa o ich przymiotach umysłowych i moralnych. A zresztą byłoby nieelegancko nie ufać zapewnieniom pani magister, za którą przemawia też powaga instytucji, którą pani magister reprezentuje. Nie, nie jakiegoś tam Państwowego Wydawnictwa Naukowego (jak w przypadku Encyklopedii) lecz Warszawskiego Stowarzyszenia Radiestetów.

Stowarzyszenie jest, bądź co bądź, ciałem najzupełniej społecznym, skupiającym ludzi pełnych zapału, które nikomu w naukową specjalność nie zagląda, lecz przygarnia chętnych, bez biurokratycznej mitręgi na podstawie tego, co mogą oryginalnego przeciwstawić zmurszałej nauce oficjalnej.

I pomyśleć, że ludziska płacą na czarnej giełdzie horrendalne pieniądze za tak bałamutne źródło informacji, jakim okazuje się Encyklopedia PWN. Kiedy się połapią kto zasługuje na zaufanie, na pewno zaczną ją wyrzucać na śmietnik.

Wywiad w „Dzienniku" nosi tytuł: „Napisz, odpowiedza kim jesteś Do zobaczenia u radiestetów". Czy utytułowani naukowo panowie i panie, z których usług korzysta Państwowe Wydawnictwo Naukowe, potrafią mi odpowiedzieć kim jestem? Na pewno nie! To ja też nie napiszę, co o nich teraz myślę.

JERZY KWIECIŃSKI

Czysta prawda o L—4

Nareszcie dałem się przekonać, że przytłaczająca większość ludzi będących „na chorobie", to ludzie rzeczywiście chorzy, którzy na zwolnienie lekarskie zasługują, ponieważ tylko 0.4 proc. zwolnień mogłoby wzbudzać wątpliwość, i to nie tyle co do trafności diagnozy, ile co do ilości dni zwolnienia od pracy — jak to stwierdziła wysoka i z pewnością bardzo kompetentna ogólnokrajowa komisja To znaczy, że co najwyżej jedna na 250 osób, którym udzielono zwolnienia lekarskiego mogła być nie tak chora, jak by się zdawało.

Przyznam, się, że zrobiło mi się nawet głupio z powodu mojej małostkowej podejrzliwości, która kazała mi dotychczas w dość znacznej części otrzymujących zwolnienia dopatrywać się symulantów, a niektórych lekarzy podejrzewać, że z dobroci serca lub może z całkiem innych powodów idą ludziom na rękę. albo że przez nieznajomość swego fachu dają się nabierać.

Skąd się brały moje niecne podejrzenia? A stąd, że dość często spotykałem się z następującymi sytuacjami. Umawiałem się np. z kimś, kto miał mi wykonać jakąś większą robotę — czy to pomalować mieszkanie, czy naprawić jakąś instalację, czy coś tam zmontować. a on na to: „Wiesz pan co. teraz nie mogę, nie mam czasu, ale od dziś za tydzień wezmę sobie kilka dni zwolnienia lekarskiego i wtedy zrobię". No i zjawiał się w zapowiadanym terminie wesół i zdatny do najcięższej fuchy. A ileż to razy słyszałem (inni także słyszeli), czy to w sklepowej kolejce, czy w towarzyskiej rozmowie, że ta czy owa pani wybiera się za trzy tygodnie w góry lub nad morze, a wyjedzie fia tydzień przed urlopem, bo sobie „weźmie zwolnienie lekarskie", co przez ogół przysłuchujących się traktowane jest zawsze, jako rzecz najnaturalniejsza pod słońcem.

Dotychczas byłem skłonny sądzić, że kryją się za tym jakieś nieczyste sprawki ale teraz — po wyczytaniu w prasie wspomnianego orzeczenia — wiem już, w czym rzecz Otóż niemała część naszych współrodaków obdarzona jest przez naturę niezwykłym darem przewidywania swojego stanu zdrowia na wiele dni i tygodni naprzód, a nawet tak potrafi wczuć się w tajniki swego organizmu, że wie, jak długi okres okaże się niezbędny na wylizanie się z choroby. Po prostu czasy mamy takie, że wróżbici i inni ludzie o nadprzyrodzonych zdolnościach, mnożą się jak grzyby po deszczu.

No więc problem nieusprawiedliwionej absencji chorobowej, utrudniającej nam wyjście z kryzysu, mamy z głowy i to dzięki na pewno bardzo wnikliwej weryfikacji zwolnień lekarskich Bo można chyba być pewnym, że komisja nie ograniczała się do samej tylko oceny czy WYPISANA na druczku *diagnoza uzasadniała CZAS trwania zwolnienia, lecz z pewnością także — czy diagnoza była RZETELNA. W przeciwnym razie weryfikacja byłaby absolutna fikcja A ponadto moralność społeczna bardzo nam się podniosła od sanacyjnych czasów, kiedy to panowała opinia, że biegli, w imię zawodowej solidarności zwykle orzekają na korzyść kolegów po fachu

Ciekaw jestem tylko, czy procent osób obdarzonych zdolnością przewidywania własnej choroby utrzyma się na dotychczasowym poziomie, czy zwiększy nam się teraz, ku ogólnemu zadowoleniu,

JERZY KWIECIŃSKI

W kręgu fantastyki

STAN CLUB

Opublikowany w 7 tegorocznym numerze „Przeglądu Tygodniowego", a poświęcony literaturze science — fiction, felieton z cyklu „Poczta od Franciszka Kaszaka" wywołał — jak nie trudno było przewidzieć — nader gwałtowną reakcję miłośników fantastyki.

Odpowiedź w formie LISTU OTWARTEGO drukujemy poniżej, choć wypadałoby może dorzucić i to jeszcze, że nawet tak słabe książki jak „Neurony zbrodni" bynajmniej nie zalegają kiosków. Przeciwnie, są wykupywane bez reszty, podobnie jak „Fantastyka", której numer 3 nie tylko, że się już ukazał, ale w dodatku zniknął bez śladu. Z kolei pozycje lepsze trafiają na liczne w kraju giełdy książek s-f, gdzie osiągają ceny raczej wysokie. Ta zadziwiająca poczytność literatury fantastycznej — nie będąca żadną „polską specyfiką", lecz wspólna dla całego świata, od Związku Radzieckiego po Stany Zjednoczone — o czymś chyba świadczy i żadne wyklinania nie powstrzymają przybierającej fali.

Radziecki astrofizyk prof Jewgienij K. Charadze — którego nieco szerzej będziemy cytować za tydzień — powiada w wywiadzie udzielonym Wiktorowi Osiatyńskiemu.

„...Uważam, że bez tej nieskrępowanej wyobraźni zawartej w literaturze fantastyczno-naukowej właściwe poszukiwania naukowe rozwijałyby się o wiele słabiej i wolniej. A ponadto literatura science-fiction odgrywa jeszcze jedną rolę. Moralną. Zastanawia się ona bowiem nad moralną stroną dróg, którymi możemy iść, korzystając z posiadanych możliwości technicznych. Ukazuje niebezpieczeństwa, jakie czają się na tych drogach. I ta rola fantastyki będzie coraz bardziej wzrastać".

Do Franciszka Kaszaka list otwarty

Drogi panie Franciszku!

Miło nam, że zwrócił pan uwagę na działalność, którą ludzie naszego pokroju prowadzą z powodzeniem na całym świecie od początku XX wieku. Przykro nam jednak, że zabierając się do krytyki nie raczył pan przeczytać do końca ani jednego utworu z gatunku, o którym wyraża się pan w tak autorytatywny sposób. Pańskiej ignorancji w tej dziedzinie dowodzą chociażby tak podstawowe błędy jak przekręcanie tytułów („Neutrony zbrodni"), czy dopisywanie do „Pieśni dla Lyanny" George'a Martina niestworzonych rzeczy, na jakie jej autor nigdy by nie wpadł. Niestety, to pan nie grzeszy oczytaniem.

Co to jest serwomotor może pan spytać pierwszego z brzegu mechanika samochodowego, a termin „klonowanie" nie powinien być obcy nikomu, kto ukończył dowolną szkołę średnią (odsyłamy pana do podręcznika biologii dla czwartej klasy liceum ogólnokształcącego). Zaś co się tyczy skrytykowanego przez pana niecodziennego brzmienia imion bohaterów utworów SF, to mieszkanka obcej planety nosząca dźwięczne imię Ziuta sprawiałaby co najmniej komiczne wrażenie.

Zgadzamy się, że wspomniane „Neurony zbrodni", „Paroksyzm numer minus jeden" i inne książki z tej serii nie prezentują wysokiego poziomu, ale o tym na naszych — zauważonych przez pana łaskawie — łamach już pisaliśmy, i pisaliśmy też dlaczego. Ale oprócz pani Penciak, Krzepkowskiego czy Kurpisza fantastykę naukową piszą też Lem Wiśniewski-Snerg, Żwikiewicz a za granicą choćby Bradbury, Dick czy bracia Strugaccy. Przypuszczamy, zresztą, że te nazwiska nic panu nie mówią. Postępuje pan jak człowiek, który po obejrzeniu „Pieska w kratkę" wymądrza się na temat kryzysu we współczesnej kinematografii. A poza tym może się panu literatura SF nie podobać, ale nie jest to powód, by odsądzać ją od czci i wiary. Wystarczy, że podoba się wielu innym ludziom (ilość miłośników fantastyki w samej tylko Polsce możemy liczyć w setkach tysięcy).

Nie będziemy wytykać ewidentnych nielogiczności zawartych w pańskim tekście, gdyż powinien to zrobić sekretarz redakcji. Prosimy tylko, aby przeczytał pan coś, zanim chwyci pióro by na nasz list odpisać.

Za SFAN-CLUB
Zarząd:
Darek Milerski
Marek S. Nowowiejski
Rafał Ziemkiewicz
oraz
Sekretarz Generalny PSMF
Maciej Makowski

Notowania giełdowe

Prezentujemy dziś drugą naszą listę notowań giełdowych. Próby ustalenia jednolitych kryteriów i przeliczników, które przyjmując za podstawę cenę z giełdy oceniałyby wartość książki nie przyniosły jak na razie żadnych efektów. Każdy proponowany system, przy próbie zastosowania go do notowań z ostatnich czterech giełd, dawał wyniki absurdalne. Prace trwają nadal, choć z coraz mniejszą nadzieją na ich pozytywny rezultat. Podajemy zatem poniżej notowania z naszej giełdy styczniowej bez żadnych przeliczników — same ceny uzyskane. Jako dolną granicę przyjęto sumę 200 zł.

1. TOLKIEN „Władca pierścieni" — 1700 zł,
2. ŻUŁAWSKI Trylogia — 700 zł,
3. ŻEGALSKI „Krater czarnego snu" — 500 zł,
4. VONNEGUT „Kocia kołyska" — 500 zł,
5. RADOLIFFE „Tajemnica zamku Udolfo" — 460 zł,
6. DICK „Słoneczna loteria" — 360 zł,
7. POLESZCZUK „Znak z kosmosu" — 290 zł,
8. SAWASZKIEWICZ „Kronika Akaszy (Skorupa astralna)" — 260 zł,
9. „Uskok w czasie" (antologia) — 250 zł,
10. WELLS „Ludzie jak bogowie" — 220 zł,
11. CHRUSZCZEWSKI „Pacyfik — Niebo" — 220 zł,
12. „Rakietowe szlaki" (antologia) — 220 zł (wyd 1)
13. STRUGACCY „Piknik...", „Las" — 210 zł,
14. ŻWIKIEWICZ „Druga jesień" — 200 zł,
15. SAWASZKIEWICZ „Eskapizm" — 200 zł.

Tylę notowań. Należy tu jednak wyjaśnić, że podane wyżej ceny są cenami maksymalnymi. Z reguły, jeśli kilka osób wystawia do sprzedaży taką samą książkę, wylicytowana cena za każdym razem jest inna. I na przykład:
SAWASZKIEWICZ „Kronika Akaszy (Skorupa astralna)" cena min — 120 zł,
SAWASZKIEWICZ — „Eskapizm" cena min — 130 zł,
STRUGACCY „Piknik...", „Las" cena min. — 170 zł,

Może jeszcze nieco statystyki. Wystawiało swoje książki 21 osób Do licytacji dopuszczono 167 książek, z czego sprzedano 122 pozycje. 45 tytułów nie znalazło nabywców.

I na zakończenie jeszcze jedna informacja. Ceny miesięcznika „Fantastyka" kształtowały się następująco:

Nr 1. — nie wystawiono
Nr 2. — 90 — 160 zł
Nr 3. — 100 zł (wystawiono tylko jeden egz.)

Czekamy na notowania z innych klubów.

Uwaga! Na wiosnę zaczniemy podawać notowania ze Spójni, pełniącej obecnie funkcję dawnego Wolumenu.

SFAN CLUB WARSZAWA

Niemal równocześnie otrzymaliśmy notowania z giełd urządzanych przez Oddział Łódzki Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, które — dodajmy — odbywają się w każdy pierwszy piątek miesiąca o godz 19 w Domu Filmu i Plastyki ŁDK, ul. Łagiewnicka 118 c.

Notowania obejmują trzy kolejne giełdy. Pominięto ceny, gdyż — jak twierdzą organizatorzy — są one wypadkową poczytności danego tytułu, wysokości podaży, stopnia zużycia licytowanego egzemplarza etc.

GRUDZIEŃ

1. Silverberg — „Człowiek w labiryncie"
2. Vonnegut — „Rzeźnia nr 5"
3. Sawaszkiewicz — „Skorupa astralna"
4. Wul — „Remedium"
5. Aldiss — „Non stop"
6. Harrison — „Planeta śmierci"
7. Dick — „Człowiek z wysokiego zamku"
8. Wiśniewski-Snerg — „Robot"
9. Klein — „Bogowie wojny"
10. Lem — „Wizja lokalna"

STYCZEŃ

1. Tolkien — „Władca pierścieni"
2. Wyndham — „Dzień tryfidów"
3. Van Vogt — „Misja międzyplanetarna"
4. Żuławski — „Trylogia księżycowa"
5. Antologia — „Uskok w czasie"
6. Antologia — Spotkanie w przestworzach'2
7. Lem — „Wizja lokalna"
8. Harrison — „Planeta śmierci"
9. Wiśniewski-Snerg — „Nagi cel"
10. Parowski — „Twarzą ku ziemi"

LUTY

1. Tolkien — „Władca pierścieni"
2. Harrison — „Planeta śmierci"
3. Asimov — „Pozytronowy detektyw"
4. Silverberg — „Człowiek w labiryncie"
5. „Kryształowy sześcian Wenus" — antologia
6. Dick — „Człowiek z wysokiego zamku"
7. Klein — „Bogowie wojny"
8. „W pogoni za wężem morskim"
9. Żwikiewicz — „Druga jesień".
10. Ballard — „Wyspa"

Trzy wywiady (1)

Przeglądając wznowioną ostatnią książkę Wiktora Osiatyńskiego „Zrozumieć świat", zawierającą cykl wywiadów z uczonymi radzieckim (pierwsza część tej książki — dawno wyczerpana — zawierała wywiady z uczonymi amerykańskimi) zauważyłem nie bez zdumienia, jak zadziwiająco często tematyka tych rozmów wkracza na tereny fantastyki, nawiązuje do literatury science-fiction.

Wybrane fragmenty trzech wywiadów niechaj będą tego potwierdzeniem.

Jesteśmy sami — wywiad z Josifem S. Szkłowskim

Prof. Josif S. Szkłowski, wybitny astrofizyk radziecki, w swoim czasie dopuszczający myśl o istnieniu innych cywilizacji kosmicznych, z biegiem lat zmienił na ten temat zdanie.

— Czy istnieje życie w kosmosie? - pyta Osiatyński.

— Nie istnieje. Przynajmniej w naszej galaktyce, a może i dalej, nie ma rozumnego rozwiniętego technologicznie życia. Twierdzę obecnie że cywilizacja jest rzadkością i istnieje tylko na Ziemi. W tej dziedzinie jesteśmy unikalni...

— A w ogóle jakiekolwiek formy życia?

— Nierozumne mogą istnieć. Tego nie wiemy, bo nie można tego w żaden sposób dowieść. Uważam jednak, że nigdzie w naszej galaktyce nie ma rozumnego adresata naszych przekazów i nawoływań.

— To dlaczego szukamy innych cywilizacji? Po co wysyłamy różnego rodzaju „listy kosmiczne"?

— Zupełnie niepotrzebnie. Może z głupoty. Gdyby istniała jakaś rozumna cywilizacja to dawno już dostrzeglibyśmy przejawy jej działalności. Szybkość postępu technologicznego jest tak ogromna, że cywilizacja znajdująca się na naszym poziomie rozwoju w ciągu trzystu lat może zawładnąć bliską sobie częścią kosmosu, a w ciągu tysiąca lat ogarnąć cały System Słoneczny, na którym znajduje się dana planeta, a nawet dojść do innych galaktyk. Gdyby istniała jakakolwiek cywilizacja starsza od nas tylko o tysiąc lat — a w kategoriach kosmicznych równa się to prawie zeru — to dawno wyszłaby poza granice planety, która ją zrodziła. Zdobyłaby cały swój układ słoneczny i doszłaby do naszego Słońca. Nigdzie nie widzimy śladów takiej działalności. To znaczy, że jesteśmy sami.

— A może ta cywilizacja nie chce zdobywać wszechświata? Może rozwija się jakąś inną drogą?

— Niemożliwe. Polemizowałem na ten temat ze Stanisławem Lemem. To bardzo utalentowany pisarz, ale niestety, nie zna fizyki. Powiada że cywilizacja może się rozwijać niejako zamknięta w sobie. Nie wysyłać energii w otaczającą przestrzeń kosmiczną, a tylko do wewnątrz. Ale to jest niemożliwie fizycznie; sprzeczne z zasadami termodynamiki.

— To znaczy, że jeśliby istniała jakaś cywilizacja, musiałaby się rozwijać identycznie jak my?

— Tak. A przecież nasz rozwój technologiczny jest niezmiernie krótki. Nauka liczy sobie 350 lat. I przez te 350 lat przeszliśmy od zupełnie znikomej, niemal żadnej wiedzy do obecnej. Wyszliśmy z barbarzyństwa i zbudowaliśmy wysoko rozwiniętą cywilizację. Oznacza to, że przy dalszym podwajaniu potencjału ludzkości do 10—20 lat w ciągu następnych 300 lat nasza cywilizacja rozprzestrzeni się na cały System Słoneczny...

— W jaki sposób? Czy po Systemie Słonecznym rozprzestrzenią się ślady naszej działalności, emitowane przez nas fale, sondy kosmiczne?

— Nie. My jako ludzie najdosłowniej się rozejdziemy po Układzie Słonecznym. Już dziś są dobrze opracowane projekty budowy miast kosmicznych, w których będzie można rozmieścić 10 tysięcy ludzi. Dzisiejsza technologia pozwala zbudować kolonię na orbicie Księżyca i stworzyć tam w pełni komfortowe warunki dla 10 tysięcy osób. Nie dla kosmonautów, ale dla zwykłych ludzi. Można to zrobić w ciągu 10—15 lat kosztem 100 miliardów dolarów, co stanowi tylko trzykrotnie więcej niż koszty lądowania na Księżycu i dużo mniej niż kosztowała wojna w Wietnamie. A w ciągu 50 lat można zrealizować plan stworzenia kolonii o liczebności 30—40 milionów ludzi. Tyle, co cała Polska.

— Ale czy warto to robić?

— To zupełnie inny problem. Dotychczas mówiłem, że jest to możliwe. Sądzę natomiast, że ludzkość nawet nie będzie mogła stawiać sobie pytania, czy warto wyjść w kosmos. Będzie musiała to uczynić, bo tylko to będzie mogło ją uratować. Na przykład tu na Ziemi przeżywamy kryzys energetyczny. A taka jedna kolonia na orbicie księżycowej mogłaby dostarczać energię pozwalającą zaspokoić potrzeby całych Stanów Zjednoczonych. Energia słoneczna byłaby przekształcana w mikrofalową i przekazywana na Ziemię...

(...) — Ale do pana mam inne pytanie. Jak pan sądzi, dlaczego wielu ludzi — zwłaszcza humanistów — tak bardzo obawia się ekspansji, zanieczyszczenia kosmosu, technologii, itp? Ba, nawet ludzi tak jasno, precyzyjnie i bezkonfliktowo myślących jak pan?

— To niepoważne obawy, często wynikające z niewiedzy. Poważną groźbą jest nie ekspansja człowieka, ale nieograniczony rozwój technologii tu, na Ziemi. Dopiero niedawno zaczęliśmy to rozumieć. Z drugiej zaś strony człowiek nie zajmujący się zawodowo kosmosem nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie są jego rozmiary. Tam miejsca wystarczy. Całe środowisko będzie tam sztuczne, stworzone przez człowieka.

— Skąd na to weźmiemy energię i materiały?

— Wykorzystamy energię słoneczną, dostępną w całym układzie. A jako budulca będzie można użyć materiałów z Jupitera, z atroidów.

— To brzmi jak fantazja, science-fiction...

— Już w bliskiej przyszłości to przestanie być fantazją. Ten kierunek rozwoju jest koniecznością. Nie pójść po tej drodze, to znaczy zatrzymać się w rozwoju. A nawet maszyny parowej na dłużej nie można zatrzymać, bo zardzewieje.

— Teraz rozumiem dlaczego wyklucza pan istnienie innych cywilizacji. Gdyby były, to już by doszły do nas po tej samej drodze. Albo by „zardzewiały". A może cywilizacje właśnie „rdzewieją"? Może na jakimś etapie rozwoju technologicznego, np. wykorzystania energii nuklearnej, siły wewnętrzne niszczą cywilizację?

— Istnieje taka teoria, ale nie wydaje mi się, by mogła ona być uniwersalna. Możliwe że w większości przypadków coś takiego się zdarza, ale przecież mogłyby się znaleźć takie cywilizacje, które ominęłyby tę trudność. Nie mamy jednak śladu ich działalności...

— Więc może wszystkie giną?

— To także nie zmienia mojej odpowiedzi na pytanie, czy istnieją rozwinięte technologicznie cywilizacje. Nie istnieją, bo albo nigdy ich nie było, albo już zginęły.

Tyle wyimków z wywiadu z prof. Szkłowskim. Fragmenty dwóch innych wywiadów — za tydzień.

Wybrał: J. P.

Zamiast luminalu

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Wydawnictwo „Iskry" najwidoczniej doszło do wniosku, że mało nam własnych nieudaczników i należy jeszcze kilku zaimportować od sąsiadów. Stąd na naszym rynku druga już w serii „Fantastyka-Przygoda" próbka węgierskiej SF „Druga planeta słońca Ogg" Pétéra Lengyela. Sama intencja spopularyzowania u nas fantastyki bratanków wydaje się być zacna, ale popularyzując należy się najpierw zastanowić, czy jest co popularyzować. Inna sprawa, że nie wydaje mi się, aby na Węgrzech nie wydano nic lepszego od „Drugiej planety..."

Akcja rozpoczyna się powrotem wielkiej galaktycznej wyprawy na rodzimą planetę, Eelę. Pierwsza część utworu mówi o ich asymilowaniu się w nowym świecie, a raczej zapewne miała o tym mówić, bo w rzeczywistości jedynie ten świat opisuje. Astronauci odkrywają, że ktoś z niezrozumiałych powodów usiłuje nie dopuścić do ich ponownego startu, uniemożliwia powiększenie liczby ludności i kolonizację nowych terenów. Mniej więcej w połowie bohaterowie dowiadują się, że Eeli zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo: lada chwila może nastąpić najazd okrutnych, mechanicznych potworów, zwanych „memonami", które niszczą wszystko co żywe, o czym ludność planety nie została powiadomiona, gdyż rząd obawiał się paniki. Astronautom udaje się jednak namówić prezydenta, aby powiadomić o niebezpieczeństwie i ewakuować całą ludność na inną, bardzo odległą planetę. Po drodze Eelanie spotykają statek Ziemian, z którymi nawiązują braterską współpracę (tu przedstawia nam się narrator, naukowiec, rodem z Węgier, i korzystając z okazji uracza nas wspaniałą wizją przyszłości naszego globu). Okrutne stwory rodem z drugiej planety słońca Ogg ponawiają atak, ale tuż przed decydującą bitwą nagle tracą wojownicze zapędy i potulnie dają się rozmontować. Połączone siły Eeleńsko-Ziemskie wysyłają na ich ojczystą planetę wyprawę, która stwierdza, że zamieszkujący „drugą planetę" na wskroś okrutni i podli Trrgowie (przez dwa r), którzy sterowali na odległość memonami w międzyczasie wytłukli się nawzajem.

Jest to oczywiście duży skrót. W to wszystko wplecione jest mnóstwo różnych wątków pobocznych, które przez swą schematyczność zamiast zainteresować czytelnika dodatkowo go nudzą. Z wyjątkiem scen erotycznych jest tam chyba wszystko. Mało który autor ma czas i nerwy, żeby tak w powieści namotać i mało który czytelnik jest w stanie to przeczytać do końca. Ale z drugiej strony trudno się autorowi dziwić. Każdy z wątków powieści jest kalką. Z żadnego z nich nie udało się Lengyelowi wycisnąć nic nowego. Cały więc swój wysiłek włożył w na tyle zręczne ich sklejenie i wymieszanie, żeby za bardzo nie raziły swą stereotypowością. Czy mu się udało, to dyskusyjna sprawa. Osobiście uważam że nie.

Nie wiem jak „Druga planeta słońca Ogg" została przyjęta w ojczyźnie autora, ale opublikowanie jej u nas zupełnie nie ma sensu. Mamy w SF stosunkowo duże osiągnięcia, kilka wybitnych indywidualności, a od kilku lat nasza literatura fantastyczna błądzi po zupełnie nowych drogach. Po co więc wydawać dzieło, z którego każdej kartki bije stęchlizna, które powtarza po raz cholera wie który to samo, co utwory wcześniejsze o dwadzieścia parę lat powiedziały o wiele lepiej? Zamiast wydawać „Drugą planetę..." lepiej już byłoby wznowić „Astronautów" czy „Obłok Magellana", które są przynajmniej klasyką, a utwór zaprezentowany nam przez „Iskry" to już jedynie popłuczyny.

Nie zamierzam zresztą nikogo do tej książki zniechęcać, sądzę, że skuteczniej zrobi to jej okładka z tradycyjnie koszmarnym bazgrołem p. Hałajkiewicza. Natomiast krytykowany przez nas niedawno nowy format ma swoją zaletę: książka doskonale mieści się pod poduszką, gdzie też należy ją umieścić, bo usypia bezboleśnie i prawie natychmiast. Życzę miłych snów.

Materiały zawarte na tej kolumnie — podobnie jak notowania giełdowe publikowane na kolumnie sąsiedniej — zostały przekazane redakcji przez Oddział Łódzki Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki. Kolejne kolumny łódzkich autorów — w przygotowaniu. Za podjęcie współpracy — dziękujemy. (RED.)

W kręgu fantastyki

2001: Odyseja kosmiczna

Film - legenda, niedoścignione wzór dla twórców „ekranowej" fantastyki naukowej. Film, będący pomieszaniem wszelkich niemal rodzajów i technik. Film, który od paradokumentu przechodzi łagodnie w soczyście fabularny, zahacza o elementy popularno-naukowe, aby zamienić się w filmowy esej filozoficzny poprzedzony animowaną impresją abstrakcyjną. Film-posłanie o głęboko humanistycznej treści, wciąż popularny w Ameryce, w Polsce ledwo dostrzeżony na ekranach kin studyjnych. Klasyka.

Świt ludzkości. Czas, w którym zawsze wygrywa silniejszy, czas, w którym dostęp do źródła wody poprzedza śmiertelny bój z konkurencyjnym stadem, czas, którego niezmącony rytm wybijają walka, jedzenie, odpoczynek. Mogłoby to trwać w nieskończoność...

Nagle pojawia się coś, co przynosi ze sobą niepokój. Niepokój przeradza się w zaintrygowanie, ciekawość, ta z kolei zmusza prymitywne istoty do... Nie, na myślenie jeszcze za wcześnie. Jednak brutalny, lśniący w promieniach słońca monolit, który niespodzianie ukazuje się na stepie, jest katalizatorem przemian, jakie zajdą w małpich mózgach. Pierwszym ich przejawem będzie dostrzeżenie użyteczności wyschniętej kości i użycie jej jako oręża w walce z przeciwnikiem. Tym pierwszym narzędziem, swą pierwszą bronią małpa zabija inne zwierzęta i w tryumfalnym geście zwycięzcy wyrzuca kość do góry. Wirujący kształt zamienia się w następnym ujęciu w krążący po okołoziemskiej orbicie statek kosmiczny. Aż nadto czytelny to symbol drogi, jaką odbyła ludzkość. Mamy już rok 2001 i od chwili pojawienia się monolitu dzielą nas miliony lat. Trwa złoty okres rozwoju cywilizacji naukowo-technicznej. Wokół Ziemi obracają się w rytm straussowskiego walca „Nad pięknym, modrym Dunajem" stacje orbitalne i kosmiczne osiedla.

I znów pojawia się tajemniczy prostopadłościan, a jego odnalezienie na Księżycu to kolejny etap, lub raczej kolejny zwrot w historii ludzkości. Naukowcy odkrywają bowiem, że monolit wysyła sygnały w kierunku Jowisza, podejmują więc tam ekspedycję.

Statkiem kieruje komputer ostatniej generacji, Hal 9000, obdarzony ciepłym, męskim głosem. Trzech, spośród pięciu członków załogi, jest hibernowanych, dwóch — Poole (Gary Loockwood) i Bowman (Keir Dullea) — czuwa nad przebiegiem wyprawy. Niespodziewanie Hal powoduje śmierć Poole'a, pozostawiając go w przestrzeni kosmicznej odciętego od statku. Komputer zbuntował się i pragnie przejąć całkowitą władzę nad statkiem. Śpiący kosmonauci zostają uśmierceni i Bowman zostaje sam na sam z maszyną-mordercą. Zaczyna się pojedynek, który wygrywa człowiek niszcząc bloki pamięciowe elektronowego mózgu. Demontowany komputer broni się, jak może przed nieuchronną śmiercią, ostrzega, prosi, błaga, wreszcie śpiewa coraz bardziej bełkotliwym głosem piosenkę o Daisy-Stokrotce.

Tymczasem statek zbliża się do Jowisza. Wtedy po raz trzeci, na tle księżyców planety, pojawia się brunatny monolit. Nagle statek otacza zupełnie inna rzeczywistość, czerń kosmosu z małymi punkcikami gwiazd ginie gdzieś, a Bowman porusza się w morzu migoczących i zmieniających się, jak w kalejdoskopie barw i form geometrycznych. Podróży przez inny wymiar, sukcesywnemu przenikaniu kolejnych warstw koloru i światła akompaniuje transcendentalny pełen narastającej grozy dźwięk. Nagle wszystko się kończy i Bowman już ze zmarszczkami na twarzy, znajduje się w komnacie w stylu Ludwika XIV, gdzie pojawia się też jako starszy mężczyzna i umierający starzec. Przed łożem kosmonauty pojawia się po raz ostatni lśniący kształt prostopadłościanu, a ludzki embrion żegluje w stronę błękitnej planety, Ziemi.

Scenariusz zrealizowanego przez Stanleya Kubricka w 1968 r. filmu „2001: Odyseja kosmiczna" („2001: A Space Odyssey") opartego został na noweli znanego pisarza sf i astronoma, Arthura C. Clarke'a pt. „The Sentinel". Jego autorami są Kubrick i Clarke. Jednak w przeciwieństwie do wcześniejszych, jak i późniejszych ekranizacji literatury sf, film, o którym mowa, nie był zwykłą transformacją słowa pisanego na obraz. Po raz pierwszy w historii kinematografii film, nazywany fantastyczno-naukowym, okazał się lepszy od literackich dzieł tego gatunku, stając się wartością samą dla siebie, bez jakiejkolwiek konkurencji. Ta swoistego rodzaju nobilitacja wypływa przede wszystkim z wartości intelektualnych niesionych przez „2001", choć i technika filmowa miała niemały wpływ na sukces obrazu.

Biblia sf, jak krytycy nazwali „Odyseję", przynosi posłanie, które widz odczytywać zaczyna w chwili, gdy po raz pierwszy widzi tajemniczy monolit, a którego całą treść poznaje dopiero po wyjściu z sali projekcyjnej. Wtedy właśnie, jak w przypadku każdego filmu artystycznego, zaczyna się „prawdziwe kino", gdzie projektorem jest mózg widza. Film Kubricka nie mówi prawd absolutnych, ostatecznych; za pomocą ciągu sugestywnych obrazów (film ogromnie wizualny) otrzymujemy jedynie pewne bodźce, informacje, które wykorzystamy sami. Kubrick nie jest prorokiem, on tylko sygnalizuje zjawiska i fakty, zmusza do własnej interpretacji świata pozostawiając widzowi „wolną rękę" w czytaniu swego dzieła. Różne więc będzie czytanie owego posłania, którego jednak istotą jest bezsprzecznie powstanie na Ziemi Rozumu i jego ekspansja w Kosmos.

Elementem przewodnim jest w filmie monolit pochodzenia pozaziemskiego, najwyraźniej podarunek od obcej, wysoko rozwiniętej cywilizacji. Pojawia się po raz pierwszy w świecie małp człekokształtnych i zmusza je do wysiłku umysłowego, czego rezultatem jest rozwój mózgu i w konsekwencji — narodziny homo sapiens. Gdy cywilizacja człowieka osiąga już pewien pułap, monolit pojawia się powtórnie dokonując kolejnej ingerencji w życie na naszej planecie. Rozpoczyna się nowy etap rozwoju ludzkości, tworzenie cywilizacji poza Ziemią, wspólnoty kosmicznej. Dowodem na to jest zupełnie bezpośrednie już przewodnictwo monolitu po świecie, w którym pojawia się Człowiek. Embrion płynący w przestrzeni w ostatnim ujęciu to znak, że misja się udała, znak sygnalizujący powstanie nowej, odrodzonej rasy, nowej cywilizacji.

Próbę czasu wytrzymała, o dziwo!, oprawa scenograficzna filmu, autorstwa Johna Hoesli, a także efekty specjalne, którymi zajął się sam reżyser. Sekwencja „wejścia w inny wymiar" to mistrzowsko zrealizowany film abstrakcyjny dostarczający poprzez wyłącznie światło i kolor (delikatny podkład muzyczny) głębokich wrażeń natury estetycznej. Jedynie pod względem zaprezentowanej techniki XXI wieku film nie szokuje nikogo, gdyż nawet w chwili jego wyprodukowania pokazane widzom wynalazki były tylko udoskonaleniem istniejącego już sprzętu. Także spacer w przestrzeni kosmicznej pokazany na ekranie nie jest dziś nowością. Filmy sf starzeją się niezwykle szybko i konkurencję ze „zwykłymi" obrazami filmowymi wytrzymują tylko te, których treścią jest nie rozwój nauki i techniki, a przemiany duchowe, moralne człowieka, wzajemne relacje między nim a otaczającym go światem. Tym niemniej miłośników gatunku zainteresuje z pewnością fakt, że dla potrzeb filmu w angielskim studiu Shepperton skonstruowano obrotowy pokój-centryfugę. Umożliwiło to dokonanie niezwykle atrakcyjnych zdjęć podczas lotu w kierunku Jowisza, ukazujących walcowate wnętrze statku i biegającego po jego ścianie kosmonautę. Koszt tego przedsięwzięcia wyniósł ponad półtora miliona dolarów.

Od czasów „Odysei" minęło piętnaście lat. Pod wpływem niepokojących skutków rozwoju cywilizacji kult techniki i bezgraniczna wiara w możliwości rozumu ustępują stopniowo, acz stanowczo zwrotowi w kierunku ludzkiej duszy, zainteresowaniom własnym wnętrzem. „Inner-space" wypiera z literatury sf, popularną dotąd „space-operę", również w filmie do głosu dochodzą twórcy, którzy interesują się bardziej Człowiekiem, niż Techniką. Powracająca fala romantyzmu przynosi na swym grzbiecie także Kubricka, którego jeden z ostatnich filmów, „The Shinning" mówi o przemianach zachodzących w psychice człowieka w warunkach ekstremalnych, który wykorzystuje budzące duże zainteresowanie zjawiska telepatii i jasnowidztwa. W tej sytuacji otwierają się przed kinem fantastyczno-naukowym ogromne możliwości. Potrzeba jest filmów artystycznych na miarę „Odysei", a właśnie teraz, ze względu na aprobatę ze strony widowni, mogą one powstawać. Jak słusznie stwierdził Bolesław Michałek w książce „Kino naszych czasów": **„...kino fantastyczno-naukowe ciągle czeka na artystów. Zanim nie przyjdą, kino nas kosmosem nie przestraszy, ani do działania nie pobudzi".**

ROMUALD SZOKA

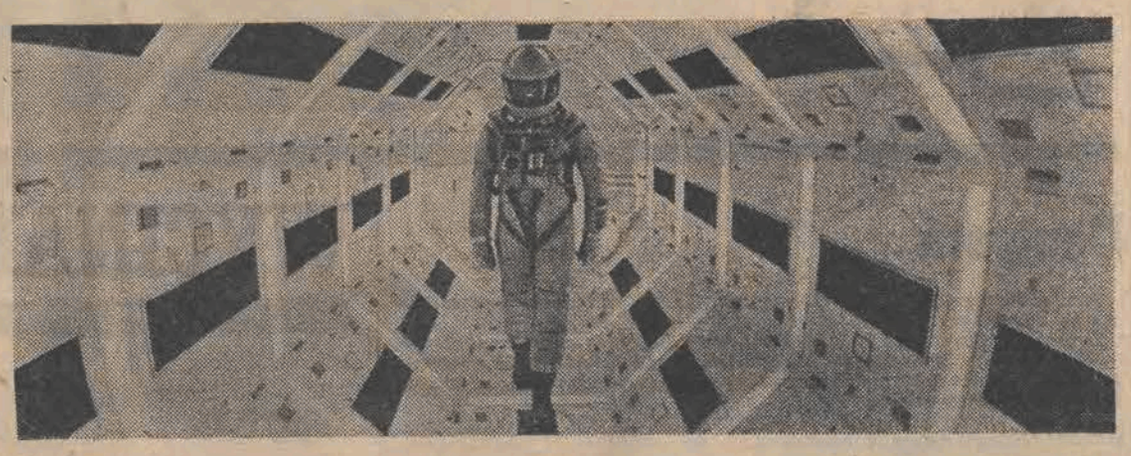

I znowu walka

JACEK ROŻNIECKI

W chwilę po przejściu bariery dostrzegł błysk na ekranie magnetycznym. Pulsujący punkt pokazywał położenie jego przeciwnika. Kogo tym razem? Thomas Walker nieruchomymi oczyma wpatrywał się w czarny ekran pragnąc jak z magicznej kuli wyczytać informacje, które i tak otrzyma, gdy tylko statek zbliży się na odpowiednią odległość. Maksymalnie rozszerzone źrenice, blada twarz, potargane pukle jasnych włosów stwarzały wyraz przestrachu i wyczekiwania. Prawa dłoń, kurczowo zaciśnięta na głównym drążku ręcznego sterowania, poczęła pokrywać się kroplami potu. Lewa, drżąc, przechodziła ze spustu lasera na starter pocisków termonuklearnych, to znów na uwalniacz antymaterii. Nieruchomy, zgarbiony, wyczekiwał obrazu swego celu na ekranie radaru. Wreszcie i na tym czarnym polu pojawił się świetlny punkt. Komputer przeliczał i podawał dane. Przybliżona wielkość niemal identyczna. Prawdopodobna masa zbliżona do jego myśliwca. Szanse przypuszczalnie i tym razem będą wyrównane.

Głos beznamiętnie podawał odległość. Zesztywniałe ciało nie szukało nawet oparcia w fotelu, który zdawał się być teraz raczej średniowieczną, dębową ławą. Po drążku sterowniczym spływała strużka potu, podobna do tej, która sklejała włosy, brwi, rzęsy i przesłaniała obraz zegarów.

Przeciwnik zbliżał się. Początkowo punkt, później jasna plama, która, rosnąc dalej, zarysowała swój kształt.

A więc ich siły były równe — na ekranie widniał zarys takiego samego myśliwca. Teoretycznie odległość od celu pozwalała na zniszczenie go każdą znajdującą się na pokładzie bronią, lecz czas do tego potrzebny byłby jednak zbyt długi i przeciwnik z łatwością mógłby wykonać unik lub na moment zwiększyć energię osłon. Tamten zdawał się rozumieć to dobrze i zbliżał się zbieżnym kursem wyczekując.

Statki weszły w sferę dalekiej łączności wizyjnej. Przekrwione oczy Walkera niemal że wychodziły z oczodołów, by dostrzec barwy świadczące o pochodzeniu jego przeciwnika.

Widok półksiężyca złoto połyskującego metalu przejął pilota dreszczem i tonicznym skurczem mięśni. Milcząco zbliżający się cel pochodził z tej samej jednostki, jednego z najlepszych oddziałów armii. A więc nie ma nad przeciwnikiem żadnej przewagi, tamten musi również znać wszystkie tajniki sztuki wojennej, musi być żywą encyklopedią taktyki i strategii, umieć w optymalny sposób przeprowadzić walkę.

Ręce Walkera poruszyły się. Po kolei uruchamiały cały arsenał. Nie wywoływało to żadnego wrażenia. Przeciwnik nie zboczył nawet o stopień, zwiększając tylko w odpowiednim momencie siłę pól ochronnych lub niszcząc zwiastun śmierci w połowie jego drogi. Na co liczył Walker — czy na chwilową niedyspozycję tamtego, czy na zwolnienie reakcji w tej nieprawdopodobnie nienormalnej sytuacji? Przeciwnik jednak nie spał i nawet nie pokusił się o sprawdzenie tego samego u Walkera. Zmniejszając odległość, nieuchronnie zbliżał się, teraz już prawie w jednej linii.

Thomas Walker tracił czucie wszystkich członków. W jego skafandrze pływała woda. Oczy, które zalewał pot, patrzyły teraz w głębię, dalej, niż na zbliżający się statek.

Czy przeciwnik rzeczywiście posiadł wszystkie arkana wiedzy walki? Być może, że wiedzy formalnej i oficjalnej tak, ale często poszczególne drużyny miały swoje ulubione manewry lub wręcz sztuczki, nieznane innym pilotom. Jego zespół miał w zanadrzu taki atut, kartę, którą przekazał im Karison. Stary sierżant wypróbował ją wiele razy i dzięki temu zakończył swój żywot nie w metalowej puszce, lecz w łóżku, choć leżąc w nim przeklinał taką śmierć. Manewr ten był ścisłą tajemnicą ich czteroosobowej drużyny.

Walker odzyskiwał czucie w dłoniach. Jego oczy zapadły się lekko a źrenice zmniejszyły swoją średnicę. Przygotowywał się do rozdania kart w grze o wielkim ryzyku. Będzie potrzebował mocy całego statku i musi bardzo zmniejszyć energię wszystkich swoich osłon. Przeciwnik nie wie, że jego cel będzie prawie pozbawiony jakiejkolwiek ochrony, ale może mu przyjść do głowy sprawdzić jego gotowość. Jednak oba myśliwce leciały dalej spokojnie, w jednej linii, jakby na umówione spotkanie, nie okazując żadnej agresywności.

Walker podjął decyzję. Ta chwila mogła go kosztować życie, ale też mogła mu dać prawie stuprocentową wygraną. Jedną ręką wyłączył wszystkie osłony i zbędne w tej chwili urządzenia statku tak by zakrzywienie przestrzeni było jak największe, a zmiana położenia jego ponad pięćdziesięciotonowego, stalowego potwora — jak najdalsza. Dokładny kąt ustawienia dział i całego kosmolotu przekazał komputerowi. Ten już odliczał sekundy.

Gdy przed oczami i w uszach Walkera huknęło „O", jego ręka wykonała krótki ruch. Jego statek był już „tam" — za bezbronnym, bo najbardziej niekorzystnie ustawionym przeciwnikiem, z zakrzywioną, a raczej ze ściśle wytyczoną drogą w zaplanowanej i zagiętej przez Walkera przestrzeni. Jednak ten stan rzeczy trwał tylko moment i o moment za krótko, by pilot Thomas Walker mógł zgromadzić odpowiednią ilość energii w swej broni. Przeciwnika na dawnym miejscu już nie było. Nie było go tam, choć powinien tam być w tych warunkach czasoprzestrzeni teoretycznie każdy, każdy oprócz chłopców z jego drużyny. Oni wiedzieli, że można wejść w wytworzony przez atakujący statek przestrzenny tunel i znaleźć się tam, gdzie przeciwnik znajdował się poprzednio.

Dłonie Walkera rozwarły się, a ręce opadły wzdłuż ciała. Olaf Stevenson, John Lader czy Gerry Bernat? Którego z trzech najbliższych mu ludzi ma przed sobą?

Oba statki nie zmieniały swojego położenia, trwając we względnym bezruchu.

Walker patrzył na ekran wizyjny, widział jednak obraz nie tak dawnej jeszcze przeszłości. Stali obok siebie wszyscy czterej, a przed nimi stary sierżant zgięty już i wyniszczony przez tajoną przed nimi chorobę. W tle skalisty krajobraz Ulcery z jej zachodzącym słońcem, rzucającym długie cienie ich statków. Takie zdjęcie każdy z nich miał zawsze przy sobie.

Walker pragnął, by ta chwila bezruchu, ciszy i spokoju trwała wieczność, by zamarł na podobieństwo posągu nie wykonując najmniejszego ruchu, lecz nagły błysk dysz silników na ekranie przyśpieszył rytm jego serca. Ręce znów powędrowały na przyrządy i wykonały te same czynności, co przed chwilą.

Statek ponownie wszedł w tunel, jednak gdy z niego wychodził, przeciwnika już tam nie było. Tym razem pilot zresztą wcale na to nie liczył. Obaj dobrze wiedzieli, że drugie zakrzywienie przestrzeni nie było już atakiem, i obaj chcieli tego spotkania, trwającego w tunelu ułamek sekundy, ale wystarczająco długo, by zidentyfikować przeciwnika.

TDX-9317 — Olaf Stevenson.

Walker z trudem łapał powietrze. Dłonie, tym razem zaciśnięte w pięść tak, że paznokcie głęboko wpijały się w skórę, teraz zsiniały i pokryły się kroplami krwi. Barwne kontrolki i czarny ekran przed oczami pilota poczęły rozmazywać się, mieszać w kształtach i kolorach. Z mgły wyłoniła się uśmiechnięta twarz Olafa, jego najbliższego druha, powiernika marzeń, planów i przemyśleń. Twarz rozdwajała się, z boków pojawiały się nowe, by za chwilę otoczyć go półprzezroczystą zasłoną. Każda otwierała się i mówiła o czymś innym. To były ich rozmowy ze Szkoły Astronautycznej, z ich pierwszego wspólnego lądowania, ze wspólnych młodzieńczych zabaw, kłótnie o dziewczyny i wielkie słowa, które podały w ich częstych dyskusjach na „wielce poważne" tematy. Twarze wirowały, a wraz z nimi cała kabina.

Walker uniósł w górę ręce, jakby chciał zatrzymać kręcący się wokół jego głowy świat. Macał i chwytał pustkę, aż jego ręka trafiła na charakterystyczny spust lasera. Zamarł w bezruchu i spojrzał na ekran przytomniejszym już wzrokiem.

Na czarnym tle Kosmosu dostojnie połyskiwał smukły kształt myśliwca.

Nagle statek prawie niezauważalnie poruszył się, a komputer podał zmniejszającą się odległość. Stevenson zbliżał się powoli, nakierowany wprost na Walkera. Sekunda po sekundzie, które zdawały się być raczej godzinami, zmniejszał dzielący ich dystans.

W kabinie rozległ się brzęczyk — sygnał, że Olaf przekroczył strefę bezpośredniego oddziaływania. Od tej chwili żadna osłona ani manewr nie chroni przed jakimkolwiek śmiercionośnym ładunkiem.

Statek Stevensona zbliżał się.

Napięty do granic wytrzymałości Walker rozpoznawał już szczegóły dobrze znanej mu konstrukcji. Dostrzegał już napis identyfikacyjny, gdy nagle statek odchylił dziób i zaczął zbaczać z kursu. Powoli uwidaczniał się jego profil, spokojne i godnie przesuwający się po prostokątnym wycinku wszechświata.

Bojaźliwe oczy Thomasa patrzyły teraz ze zdziwieniem, choć w ich głębi krył się nadal, aczkolwiek zupełnie inny, przestrach. Jego oczy błagalnie pytały: „dlaczego?" Pożądały i wyczekiwały śmiertelnego podstępu przeciwnika, by odpędzić od mózgu garnące się odpowiedzi.

Chronometr pod ekranami migotał diodami sekundnika.

Olaf zbliżał się już bardzo powoli. Podający odległość komputer jął wreszcie powtarzać tę samą cyfrę.

Walker nigdy jeszcze nie słyszał tak głośno podawanych danych.

Srebrny kształt na ekranie zdawał się już nie błyszczeć, ale wręcz emitować stokroć silniejsze, własne światło.

Pilot skrył uszy w dłoniach, by nie słyszeć krzyku komputera oznajmiającego odległość. Tępym wzrokiem wpatrywał się w rozszalałą kawalkadą błysków tarczę chronometru, który jakby mierzył czas jednostajnie przyśpieszany. „Co to za czas? Czyj czas?" — dudniło pod czaszką Walkera.

Nagle prawa ręka ujęła pewnie spust miotacza antymaterii a lewa spokojnie ustawiła celownik.

Ekran pojaśniał milionem słońc i zgasł za moment, ustępując miejsca czarnej pustce.

Bezwładnym ruchem pilot opadł na fotel. Bezmyślne oczy błądziły po pulpicie sterowniczym.

Z letargu wyrwał go sygnał wywoławczy. Główny ekran na tablicy łączności zaczął jaśnieć. Walker przechylił głowę. Jego oczy odzyskiwały już ostrość widzenia, a mózg stawał się coraz bardziej chłodny. Przytomnym wzrokiem spojrzał na chronometr. Walka trwała cztery minuty.

Ekran z boku jaśniał coraz bardziej. Z każdą sekundą serce pilota znów przyśpieszało swój rytm i teraz waliło jak młot.

Ekran rozświetlił się całkowicie i ukazał długie ramię Wielkiego. Walker wstrzymał oddech, patrząc na poruszający się na podobieństwo węża obraz. Wreszcie ukazała się macka. Była otwarta.

Pilot nie oddychał jeszcze moment, a potem powoli jął wypuszczać powietrze, jakby nie chcąc zdmuchnąć widniejącego przed nim werdyktu.

Będzie żył. Miesiąc, rok czy pięć? Na pewno jednak przynajmniej do następnej walki.

Po chwili głowa ponownie spokojnie spoczęła na oparciu, a półzamknięte oczy bezmyślnie wodziły po ekranie za dwoma rosnącymi punktami, dwoma zbliżającymi się strażnikami do osaczonego już w polu siłowym gladiatora.

KOLUMNA AJENCYJNA

GOŚĆ W DOM

Fajny film zaczął się w telewizji. W przedpokoju rozległ się dzwonek. To był Henio.

— Miałbym ochotę napić się — powiedział i postawił na stole butelkę „Starowinu lubuskiego" oraz dwa wina marki „Wino". — W samie dodawali do kartkowego — wyjaśnił widząc moje zdziwienie.

— Zocha — zawołałem do żony, która w drugim pokoju nadal oglądała film — odgrzej kaszankę i daj jakieś szkło.

—Sam to zrób — odkrzyknęła.

Wzruszyłem ramionami i ruszyłem do kuchni.

— Czy mogę zadzwonić? — zapytał Henio.

— Możesz!

Gdy wróciłem z kaszanką i trzema kieliszkami, Henio spojrzał na mnie i powiedział:

— Mało!

— Kaszanki?

— Kieliszków.

— Jest nas przecież troje.

— Ale zaraz będzie więcej. Kończę czterdzieści lat i skrzyknąłem parę osób.

— Do tego pół litra?

— E, coś ty. Są jeszcze dwa wina. Każdy coś przyniesie, a ty też postawisz. Zrobimy małe przyjęcie.

W przedpokoju rozległ się dzwonek.

— Idą! — wykrzyknął radośnie Henio.

Uzbierało się piętnaście osób. Kiedy już byliśmy po piątym toaście do pokoju weszła Zocha.

— Ale fajny film...

Oczy jej zrobiły się ogromne, zbladła i... zemdlała.

Kiedy ją ocuciłem, towarzystwo już się rozchodziło. Henio grzecznie podziękował za gościnę, wziął ze stołu dwie niedopite butelki i poszedł.

— Wszystko zjedli i wypili — Zocha pokiwała głową ze smutkiem. — Nie trzeba było go za drzwi wyrzucić.

— Przeciwnie — uśmiechnąłem się — Zawsze trzeba się uczyć Twoje imieniny urządzimy u Kacprów. Ale się ucieszą.

— To jest pomysł — powiedziała. — A twoje u Gienków.

KLEMENS KOBYLAK

Jim Henson, „ojciec" Muppetów, przedstawia nowego zwierzaka, kosmatego Gorga, olbrzyma z kompleksem wyższości, i cierpiącego z powodu braku zainteresowania ze strony otoczenia. Gorg zagra w kolejnych odcinkach Muppetów.

Z ostatniej chwili: Pan Jan Pigmalion R. przysłał nam zdjęcie osobiście wykonanego... obiektu (?) po ostatnich opadach śniegu. Pan Jan Pigmalion pisze do nas: „Od lat szukam kobiety, którą skłonny byłbym uznać za swój ideał Ideał estetyczny, ale także i duchowy. Nie wchodzą w grę ani moje trzy byłe żony, ani aktualne dwie narzeczone, ani nawet żona kolegi z biura, choć ta jest już bliska moim wyobrażeniom. Postanowiłem zatem wykonać osobiście z dowolnego materiału model mego ideału. Próby rzeźby w drzewie nie dały pożądanych rezultatów. Ale oto sama natura dostarczyła mi tworzywa. Tak, tak proszę Panów wyobrażam sobie kobietę mego życia!"

Zgodnie z życzeniami naszego Drogiego Czytelnika zamieszczamy wykonane przez niego zdjęcie.

Co do tworzywa. Mamy nadzieję, że lodowaty chłód nie jest ideałem uczuciowym P. Jana Pigmaliona R.*

Surowiec jest nietrwały. Cóż zdarza się to nawet ideałom...

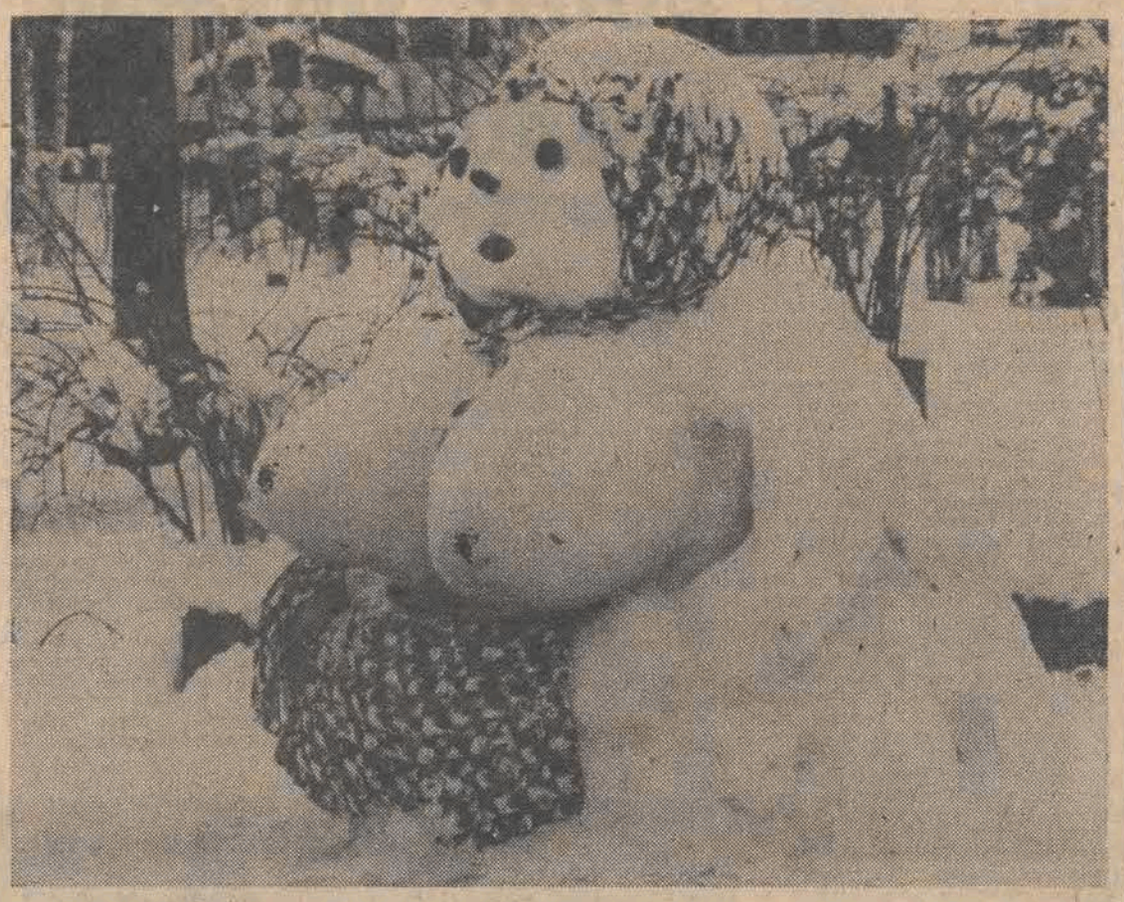

Dentysta

Ten odważny człowiek widoczny między zębami potężnego żarłacza to bohaterski, pełen poświęcenie stomatolog Jonh. G. Jock z Kalifornii. Widzimy tego wielkiego humanistę, przyrównywanego do samego Alberta Schweitzera (laureata Nagrody Nobla), kiedy nie zważając na śmiertelne niebezpieczeństwo zakłada koronkę na dolną trójkę cierpiącego rekina.

A u nas śpiewają piosenkę pt. „Dentysta — sadysta" obrażając niesłusznie i krzywdząco przedstawicieli tej pożytecznej gałęzi medycyny...

WYCINANKI

ODKRYCIE

Żądny mocnych wrażeń reporter „Głosu Robotniczego" znalazł się nocą w Sieradzu i, zdegustowany kompletnym marazmem, począł szukać domu przyjaciela ale wpadł w rozlany beton i trafił do piwnicy, gdzie była „autentyczna piekarnia w sercu starego Sieradza". A jednak się kręci! Te angielki i razowce z mąki do kitu...

CHODZĄCA GŁOWA

Pytanie tytułowe z **„Zielonego Sztandaru"**: „Czy tylko głowa chodzi do szkoły?" Nie tylko. W klasie trzeba też grzecznie siedzieć.

OBORA KONKURSOWA

„Wiadomości Skierniewickie" chwalą pewną oborę: „Mówi się tu również o powiększeniu skali produkcji mleka i mięsa, która nie osiągnęła jeszcze maksymalnego pułapu". Skala nie sięga pułapu, lecz kunszt językowy przebił go na wylot i krowom leje się na łby.

ZAGROŻENIE

Zgodnie z zarządzeniem Prokuratora Generalnego PRL została utworzona Prokuratura Rejonowa w Zduńskiej Woli. Niech no teraz Sieradz podskoczy!

ANIMATORZY!

„Szkołę z nauczycielem-nowatorem łączy uczeń. Wykorzystanie ruchu innowacji pedagogicznych może spowodować bardzo istotne dla naszej oświaty konsekwencje" — stwierdza **„Tygodnik Piotrkowski"**. Zapewne chodzi o to, że uczeń oderwie animatora od szkoły i zacznie kształcić się sam.

SZCZEKANIE

Pozłacana myśl p. Maszka z **„Zielonego Sztandaru"**: „Lepiej kłamać jak pies, niż kłamstwa odszczekiwać". Radzimy jednak odszczekać, póki znieważone psy nie zagryzą autora.

Pamiętnik intymny 5

2 LUTEGO

Małgosia bardzo lubi mleko. Parę dni temu poszła do jedynego sklepu spożywczego na naszym osiedlu, żeby się dowiedzieć, czy będą nam mleko przynosić do domu Zawsze byłoby o jedno wyjście z domu mniej i może buty jakoś wytrzymałyby do wiosny. Ekspedientka wyjęła bloczek, zapytała o imię i nazwisko. — A w którym bloku pani mieszka? — Małgosia podała dokładny adres. — To nie mogła pani od razu powiedzieć — zdenerwowała się ekspedientka i schowała bloczek pod ladę. — Do tego bloku mleka nie nosimy! — Dlaczego? — zdziwiła się Małgosia — przecież to zaledwie 300 metrów od sklepu. — Roznosiciel powiedział, że na ten blok się nie godzi. — Jak to, nie godzi? Czy może pani poprosić kierownika sklepu? — Proszę bardzo — obraziła się ekspedientka — ale nawet sam dyrektor nic pani nie pomoże. Nie ma do was dojścia i roznosiciel nie chce nosić. Mówi, że nie stać go na nowe buty co miesiąc, bo tam jest straszne błoto. — No właśnie między innymi dlatego byłoby nam wygodniej mieć mleko przynoszone do domu.. — Co za ludzie! — rozwścieczyła się ekspedientka — sama chce oszczędzać buty, a inni niech sobie niszczą, tak? To już bezczelność! Kupuje pani coś? Jak nie, to proszę odejść od lady, bo widzi pani jaka kolejka!

5 LUTEGO

Czego to ludzie nie wymyślą! Wieczorem dzwoni ktoś do drzwi, otwieram i widzę — stoi nieznajomy facet z wielką torbą. — Przepraszam — mówi — kiedy będą państwo zmieniać dzwonek na gong? — A skąd pan wie, że w ogóle będziemy? — zapytałem. — Wszyscy zmieniają. — A dlaczego to pana interesuje? — Bo ja skupuję stare dzwonki, więc gdybym wiedział kiedy zgłosiłbym się do państwa. — A skąd pan wie, że chciałbym sprzedać panu dzwonek? — ciągnąłem faceta za język. — A co by pan z nim zrobił? — Rzeczywiście, nie zastanawiałem się nad tym. Pewnie schowałbym, albo wyrzucił. — I nic by pan z tego nie miał — rozgadał się facet. — A ja dam panu za ten używany dzwonek dwie dychy. Jest pieniądz? Jest! Teraz każda złotówka się liczy, no nie? — Przyznałem mu rację — No widzi pan — kontynuował — a ja te dzwonki oczyszczę, zapakuję w pudło i buch do szwagra za granicę — Za granicę? — Tak, na szczęście są jeszcze kraje, gdzie sprzedaje się tego świństwa każdą ilość! Szwagier przysyła mi w rewanżu taśmy magnetofonowe, z którymi ja z kolei idę na bazar. Taśmy są, co prawda, równie kiepskie, jak te dzwonki co instalują w nowych blokach, ale kup pan teraz taśmę w sklepie. I co — jest pieniądz? Jest!

— Tak to może każdy — mówię na to facetowi — Oczywiście, że może ale nie każdy ma szwagra za granicą i nie każdy chce zarobić — I chce się panu tak chodzić? Przecież tu takie błoto.. — Gdybym miał patrzeć, gdzie jest błoto, a gdzie nie, to... Co to, roznosiciel mleka jestem, czy kto? Biznes jest biznes. Więc kiedy mam przyjść po ten dzwonek? A może od razu nabyłby pan taśmę magnetofonową? Proszę sobie wybrać...

POCZTA DO AJENTA

SZANOWNY KOLEGO AJENCIE!

Piszę Kolego, bo też byłem ajentem, tyle, że w innej branży. I dlatego zwracam się z prośbą o radę.

Z kobietami nie miałem kłopotów. To raczej one ze mną. Najpierw była Ania. Ładna, zgrabna, miła, czysta, gospodarna. Wiedziała, po co chodzi się z mężczyzną do łóżka. Powiła mi bliźniaki. Za drugim razem — trojaczki. Trzeci raz nie ryzykowałem.

Spróbowałem z inną. Małgosia jej było. Same zalety. Powiła mi... czworaczki.

Później była Zosia. Ale już nie zdążyłem nic zrobić, bo trafiła się okazja i wyjechałem budować fabrykę w jednym z krajów Bliskiego Wschodu.

Tam poznałem Fatimę. Mieć tu romans i skonsumować go, to trudna sztuka. Udało mi się. Ale Fatima — na szczęście dla mnie — powiła swemu mężowi... pięcioraczki.

Czy ja mam pecha, czy to tylko moja wina?

GRZEGORZ Z.
były ajent

Odpowiadam. Drogi były ajencie. Do sprawy trzeba podejść naukowo. Zrobić eksperyment. Jeszcze raz zaryzykować! Jak będą sześcioraczki, to będzie tylko Twoja wina.

Pozdrawiam!
AJENT

PANIE AJENT!

Z przykrością zauważyłem, że szarga się moją renutację na Pańskich tak zwanych łamach.

Zleciłem sekretarce (patrz zdjęcie) iżby skontaktowała się z adwokatem, lecz ten — jako człowiek bywały w świecie — radzi, żeby machnąć ręką. W takiej Ameryce, powiada, można by skarżyć o jakie 100 do 100 tysięcy dolarów, ale w Polsce najwyżej o symboliczną złotówkę i to na PCK. A gdyby nawet, powiada, to przecież „Odgłosy" nie posiadają nic cennego, kiedyś był tam wprawdzie jeden niezły obraz, ale się zmył.

To akurat sam wiem z autopsji, po sądach nie będziemy się więc włóczyć, ale jak wstanę z tej łożnicy, jak się odwinę, to...

Niestety ze względu na moralność publiczności nie mogę dołączyć zdjęcia, na którym widać mnie wstaniętego i odwiniętego, radzę jednak wierzyć na słowo. Przeprosiny zaś mam, za przeproszeniem, w poważaniu; były Szef Kuchni chciał się Panu podlizać i co? Wiersze poprzestawiane, pointa zeżarta, wyszedł z tego klops ze śniętego dorsza, w szarym sosie — sądząc z innych zamieszczanych tekstów, Pańska ukochana potrawa.

Ze śladowymi resztkami szacunku
KUZYN AJENTA I

1

Zdarzenia i zwierzenia

Skansen śmierci

Niedawno zobaczyłem w telewizji króciutki program w związku z rocznicą wyzwolenia Oświęcimia, w końcu stycznia 1945 roku. Paruminutowa migawka na temat obozu zagłady, w którym zabito, zagazowano, zagłodzono i spalono cztery miliony ludzi.

Dziś jest tu przerażający skansen śmierci — muzeum na terenie najstarszej części obozu Auschwitz I — pozostawiony w nie zmienionym kształcie aby dać świadectwo okrutnej prawdzie, jaki los zgotować może człowiek człowiekowi. Równym szeregiem czerwienią się bloki — upiorna jest ta muzealna rzeczowość: „w dniu ewakuacji pozostało w magazynach 1.185.075 kompletów odzieży i 43.325 par obuwia..."

Z czterech milionów pomordowanych, których nawet niemieckie statystyki nie mogły precyzyjnie obliczyć, pozostały zarejestrowane z buchalterską dokładnością wszystkie pary butów i wszystkie komplety odzieży, jakie jeszcze pozostały... Wymordowano na tym skrawku ziemi około czterech milionów ludzi lub ponad cztery miliony ludzi, ale każda para butów, każda marynarka, znalazły swoją rubrykę w księgach oświęcimskich magazynów. Przerażająca mentalność narodu, który z taką nonszalancją oblicza zbrodnie i z taką precyzją rzeczy...

Okazuje się zresztą, że także z nonszalancją traktuje się pamięć o tamtej zbrodni — dziś znowu za Łabą odzywają się hasła — te same, które patronowały ludobójstwu.

Za moich szkolnych czasów Oświęcim był niemal obowiązkowym miejscem wycieczek. Dlatego tak dobrze pamiętam te ceglane bloki, długie korytarze przemierzane w osłupieniu. Sterty ludzkich włosów, wśród których, po latach, poeta dostrzeże maleńkie dziecięce warkoczyki, setki protez błyskających w mroku, setki popalonych okularów kul inwalidzkich...

I puste puszki z zakładów I. G. Farben Industrie — zatarte, niewyraźne napisy: ZYKLON — Tesch v. Stabenow Hamburg Messberghof. Niewinnie wyglądające błękitne kryształki cyklonu... Blok po bloku: pędzle do golenia, szczoteczki do zębów... Ślady, ślady ludzkiej obecności — jedyne ślady obecności — upiorne ślady zbrodni.

Wyzwolenia w styczniowy dzień w 1945 roku doczekało w Oświęcimiu i Brzezince około 5 tysięcy więźniów. Zaledwie pięć tysięcy! Zanim nastąpiło wyzwolenie, zanim przyszła wolność, rozpoczęto masową ewakuację obozu. Najpierw w bydlęcych, zadrutowanych wagonach, potem pędzono więźniów transportami pieszymi. Pędzono ich bocznymi drogami, w styczniowy, dwudziestostopniowy mróz, głodnych, wycieńczonych, w przededniu wolności skazanych na śmierć od kuli, mrozu i głodu.

Zimą 1983 roku, ponad trzydzieści lat od tamtego „marszu śmierci", politycy za Łabą gotowi są nawet powiedzieć, że to Polacy sami się wymordowali w Konzentrationslager Auschwitz, że to Polacy w mundurach SS prowadzili ten upiorny „marsz śmierci" z Oświęcimia do Wodzisławia, a potem dalej, do innych obozów na terenie Rzeszy Niemieckiej.

Narody mają krótką pamięć, nie tylko naród niemiecki. Czyż mógł ktoś przypuszczać, że obozowy pasiak — symbol męczeństwa ubierze po trzydziestu paru latach, tu i teraz, polski obywatel, aby w ten bezmyślny i obrażający pamięć pomordowanych sposób... demonstrować przeciwko obecności na polskich ulicach polskiego żołnierza?

Okazuje się, że pamięć jest mniej trwała niż kanciasty, zwarty monument pomnika który nad płaskim polem Birkenau przypomina krematoryjny komin.

JERZY WILMAŃSKI

2

Lewym okiem

Hobbiści z narzutem

W pierwszą niedzielę każdego miesiąca odbywa się w Domu Kultury na Polesiu giełda hobbistów. W pozostałe niedziele taką samą imprezę organizuje Ośrodek Budowlanych przy ul. Roosevelta. I tu, i tu bywam dość systematycznie od dawna i śledzę gwałtowną ewolucję, czy może degrengoladę pojęcia hobbisty.

W pomieszczeniu giełdowym wisi widoczna z dala tablica: „Na tej giełdzie zabrania się oferować książki wydane po roku 1981". Jest to informacja zgodna z ogłoszonym niedawno zarządzeniem „Domu Książki", który zabronił przyjmowania do antykwariatów tytułów wydanych w ostatnim roku, licząc na przyhamowanie w ten sposób spekulacyjnego handlu nowościami.

No cóż, w antykwariatach nowości nie ma; na giełdzie stoi wspomniana tablica, a obok niej siedzi młodzieniec i trzyma Małą Encyklopedię PWN. Bardzo pięknie wydany tom, prosto z drukarni, w wielkim, około stutysięcznym nakładzie, w żadnej księgarni nie do zauważenia. Cena oficjalna niemała — 1.800 zł. Młody człowiek żąda 6.200 zł, czyli trzy i pół raza tyle. Słownie sześć tysięcy dwieście. Jest się czym podzielić z księgarzem, bo — niech się szanowna branża nie obrazi, ale nie mogę tego nie powiedzieć: przemieszczanie całych nakładów z zaplecza księgarskiego wprost na rynki nie może się odbywać bez wiedzy handlu.

Takich „hobbistów" z tą samą encyklopedią jest na tej samej giełdzie kilku, niekiedy w jednym ręku znajduje się parę egzemplarzy. Wszystko tu jest, wszystkie tytuły znane z bibliograficznych notatek w prasie, nigdy nie znajdujące się w księgarniach. Z „narzutem" 100—400 proc. To jest najlepsze hobby, lepsze i bardziej zyskowe, niż meliniarstwo i zwyczajne okradanie kiosków, tym lepsze, że jakoś nikt nie skojarzył go dotychczas z pojęciem spekulacji.

Gdyby wspomniane zarządzenie „Domu Książki" miało walor prawa powszechnie obowiązującego i nie było tylko sprawą wewnątrzbranżową, może stanowiłoby podstawę do energiczniejszego przestrzegania go na giełdach i wszelakich jarmarkach. Może młodzi i świetnie zadbani „hobbiści" nie występowaliby tak buńczucznie całymi szajkami, używającymi jeszcze i tu, w ostatnim do niedawna azylu kulturalnych maniaków, języka cuchnącego rynsztokiem. Już naprawdę nie ma gdzie iść, żeby tego nie słyszeć.

Oczywiście, nie mówię w ogóle o handlu starociami, tym autentycznie opartym na zbierackich, bardzo indywidualnych zamiłowaniach coraz szerszych grup ludności. Nie istnieją obiektywne kryteria na których można by oprzeć ceny przedmiotów (także książek), starych, rzadkich, trafiających się okazyjnie. Giełdy są świetnym miejscem do oferowania i znajdowania takich przedmiotów. Ale nowe książki, tak samo, jak sardynki, guma do żucia, cytryny, cielęcina i kozaczki to tylko towar nadający się do spekulacyjnego obrotu. Myślę, że w Domu Kultury nie pojawią się baby z nowiutkimi kozaczkami pod pachą żądające dwunastu—piętnastu tysięcy zł za parę. Myślę że organizatorzy giełd po prostu ich nie wpuszczą. Ja wiem, będą handlować i tak, ale chyłkiem, uciekając przed milicją i kontrolą, z pełną świadomością popełniania przestępstwa. I będą zgodnie z rzeczywistością traktowane jak hieny goniące wszelkimi sposobami za żerem, a nie jak hobbiści w Domu Kultury.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

O tych rzeczach

Nowa ekstrema podnosi głowę. Akurat nie o głowę tu chodzi a o co innego, jednakowoż pozostanę przy tym frazeologicznym zamienniku, aby nie wypaść z konwencji, którą zwykło się nazywać — przyzwoitość. Choć to ekstrema, nie może liczyć na aprobatę pewnego krakowskiego tygodnika, tym bardziej iż przywództwo nowych radykałów objął sam Zygmunt Kałużyński. Zrobił to z intuicją wytrawnego stratega i gracza. Najpierw wziął udział w telewizyjnej dyskusji, atrakcyjnie ilustrowanej kolorowymi konterfektami, które iskrzyły wzrok nie tylko — dyżurnej wówczas — Aldonie Dmochowskiej. Ów nadspodziewany sukces nasza nudnawa — co tu ukrywać — telewizja dyskontowała natychmiast. I znów brylował Kałużyński, który — pośród innych uczestników audycji, pokrywających swadą widoczne zażenowanie — nie stracił kontenansu. Już wtedy — co pewne — obmyślał swą wielką ideę.

Trzeba przyznać, że okoliczności były sprzyjające. Największe agencje informacyjne: Reuter, Assiociated Press itd. dostrzegły rysujący się w Polsce przewrót z refleksem godnym sputnikowych łączy. Zresztą i nasz Dziennik Tv zareagował na ów fakt błyskawicznie. Otóż jakiś półsocjalistyczny, półkapitalistyczny „Scangraph" czy „Scanprodukt", czyli firma polonijna, „chcąc wypełnić rynkową lukę", wydała w przeszło stutysięcznym nakładzie kalendarz. Nie byłby to żaden ewenement, choć księgarnie od wielu miesięcy handlowały przeważnie kalendarzami właśnie (czy i te druki wziął pod uwagę GUS obliczając wzrost produkcji „książek" o 25 procent?), gdyby nie obrazki towarzyszące kolejnym miesiącom. Ponieważ felieton ten z zasady nie jest ilustrowany, zainteresowanych odsyłam do lutowego numeru Putramentowej „Literatury" — jej redaktorzy nie przepuszczają żadnej szansy: te rzeczy idą jak woda.

Rozreklamowany na cały świat przez „Spiegla" i „Newsweeka" kalendarzyk podtrzymuje także nakład „Przeglądu Tygodniowego", który zaleca się czytelnikom tytułami nie do przelicytowania: „Golizna za 160" oraz „Biznes na gołym". Zresztą na tym pulsie panowie z Brackiej rękę trzymają często, choćby i na odległość. Pod wciąż atrakcyjnym tytułem: „Skandaliczna miłość prominenta" opisują — nie bez zawodowej zawiści — pomysł „Tygodnika Ostrołęckiego", który wydrukował fragment powieści pedagoga z miejscowego liceum. Fragment ten mianowicie, rozświetlony dwoma rysunkami stanowiącymi kropkę nad i (jak widać, moja pruderia jest dość pomysłowa w wyszukiwaniu eufemizmów), opowiada o miłości wspomnianego prominenta do wiejskiej kobiety. Że to rzecz wielce aktualna świadczy tytuł „Pokochać w sierpniu". Tak, tak — to ten właśnie sierpień. Mimo to, nie sierpień — ktoś mógłby dodać: niestety — stał się przyczyną że cała Ostrołęka poszukiwała, wykupionego w kilka minut, tygodnika. A co? — Panowie, także panie! — ja za was „Przeglądu Tygodniowego" nie będę czytał. Tam znajdziecie pozostałe informacje, łącznie z cytatami.

Mimo napaści Pieszczachowicza na Wydawnictwo Łódzkie za zegadłowiczowską „pornografię", mimo kąśliwych uwag „Tygodnika Powszechnego" w wyrafinowanej informacyjnej rubryce przeglądu wydarzeń tygodnia, pod adresem telewizji za „gołe panienki", erozja trwa.

Nie udało się jej zahamować Teresie Krzemień, która porzuciwszy na moment wnikliwe — aż do trzeciego dnia — analizy fluidów teatralnych, postanowiła zaszczepić w nas, przeczytaną w „Sternie" ideologię „opcji zerowej". Po niemiecku brzmi to następująco: Schlus mit dem Sex. Punktem wyjścia dla „sternowskiego" artykułu, który tak zafascynował wpływową recenzentkę z „Tu i Teraz", jest przygoda dziesiąta z „Pieśni o Nibelungach": oto Zygfryd, germański symbol mężczyzny, zniewolił Brunhildę. Gdy ta w panieńskim łożu nie chce już mu się dłużej opierać, Zygfryd wstaje i odchodzi, porzucając leżącą dziewicę. Jak streszcza to „Stern" — „w całej swej niewinności uciekł przed lubieżnością kobiecą". Czyli — szlus z seksem!

Kałużyński nie czekał długo. Jego manifest, zatytułowany „Tysiąc procent pornografii", daje podstawy ideologiczne ekstremie, która — jak się rzekło — podnosi głowę. „Uważam — konkluduje Kałużyński w „Polityce" nr 6 — że pornografia jest potrzebna i mnie ona najzupełniej nie przeszkadza". Mają ci radykałowie już swoich wieszczów: Passent i Groński wystawili w „Syrenie" dzieło pod jednoznacznym tytułem „Seks i polityka".

Sprzymierzeńców nie trzeba było szukać — normalna to rzecz z naszymi ekstremami — zgłosili się sami: redaktorzy z „Veta" przyoblekli ideę Kałużyńskiego w ciało i zareklamowali inaugurację pierwszego w Polsce „Sex-shopu" w Warszawie. Zgromadzone na Starym Mieście tłumy „konsumentów" musiały tym razem obejść się smakiem. Wiadomość o najnowszej inicjatywie „polonijnej" okazała się dziennikarską kaczką — w dezabilu — dodało radio.

Jak to mówią — nie ma dymu bez ognia. Szefie — tu zwracam się do Naczelnego „Odgłosów" — będziemy popierać tę ekstremę?!

GRZEGORZ GAZDA

4

Sport

Nie muszę kochać Juventusu

Wielką sympatią darzyłam i nadal darzę piłkarską drużynę RTS Widzew. Tę moją sympatię klub zyskał sobie nie tym, że zdobył tytuł mistrza Polski, ale tym, że zarówno działacze, trenerzy, jak i piłkarze potrafili przełamać wszelkie rudności i dopiąć swego. Być może młodzi kibice o tym nie wiedzą, że piłkarze RTS Widzew powoli, ale konsekwentnie pięli się po szczeblach piłkarskiej hierarchii i doszli do tytułów najwyższych.

A był taki czas, kiedy mówiono: po co nam w Łodzi dwie drużyny w I lidze? Wiadomo o co chodziło. O to, aby silna była tylko jedenastka ŁKS, klubu mającego wszelkie oficjalne wówczas poparcie. A Widzew parł do przodu bez tego poparcia. Niezapomniany Jan Ciszewski, w telewizyjnym okienku, wypominał Widzewowi pochodzenie z przedmieścia. Jakby to było coś złego. A dla widzewiaków to był i jest ich klub.

Piłkarzom RTS Widzew nie było lekko. Pamiętam „aferę na Okęciu", której bohaterami byli akurat piłkarze Widzewa. W sporcie wiele było różnych afer i aferek. Któż je wszystkie spamięta? Ale piłkarzy Widzewa akurat najsurowiej karano. Zresztą i dziś są jeszcze ludzie, którzy nie darzą tego klubu sympatią i byliby szczęśliwi, gdyby piłkarzom RTS Widzew nie powiodło się z Liverpoolem.

Wśród nie lubianych był Zbigniew Boniek. Czego to mu nie zarzucano, czego o nim nie wypisywano. Trzeba byłoby przewertować roczniki pism sportowych, aby wszystko sobie przypomnieć. Nagle jakoś się wszystko zmieniło. Teraz już nie pisze się o Zbigniewie Bońku źle. Pisze się dobrze. Donosi się nie tylko o tym, co robi, jak gra, jak go oceniają koledzy, sędziowie, trenerzy, ale nawet wiadomość o tym, że sędzia ukarał go czerwoną kartką znalazła się na pierwszej stronie jednej z gazet. Nadzwyczajna wiadomość!

Skąd taka zmiana? Kto to wie?

Wiedzą wszyscy. Zbigniew Boniek gra już nie w Widzewie, a w Juventusie. Teraz można dowiedzieć się nie tylko, jakie kłopoty ze zdobywaniem punktów w ligowych rozgrywkach ma mielecka Stal, ale i jakie kłopoty ma turyński Juventus. Zostaliśmy niemal właścicielami tego klubu, choć tak po prawdzie, to należy on do Włochów.

A ja nie muszę kochać Juventusu! Nie chcę i niech mnie nikt do tego nie zmusza.

Owszem, chętnie będę się interesowała losami Zbigniewa Bońka. Jest zresztą po temu dobra okazja, gdyż piłkarz ten pisuje stałą korespondencję z Turynu do tygodnika „Razem". Są to bardzo udane korespondencje. Wprawdzie Z. Boniek obiecuje, że jak wróci do Polski, to będzie trenował swoich kolegów z Widzewa, zaś w Bydgoszczy obiecał, że być może będzie trenował kolegów z „Zawiszy", ale radziłabym mu zastanowić się też nad karierą dziennikarską. Przykład sportowych komentarzy Jana Tomaszewskiego w lokalnym programie telewizyjnym dowodzi, że jest to możliwe, ciekawe i godne polecenia.

Zbigniew Boniek jest bez wątpienia indywidualnością. Nadmierne interesowanie się jego losami może mu jednak bardziej zaszkodzić niż pomóc. Zresztą — jak już wspomniałam — popularyzuje się sam i robi to dobrze.

A inni?

Bo za granicą grają też inni polscy piłkarze. Na przykład Władysław Żmuda ma kłopoty ze zdrowiem, a tu będzie chyba potrzebny w polskiej reprezentacji. Z. Boniek pisze:

„Wciąż poważne kłopoty ze zdrowiem ma Władek Żmuda. (...) Władek pojechał na konsultacje do Francji. Badał go tam jeden z najlepszych ortopedów i stwierdził, że na razie następna operacja nie jest konieczna. Żmuda ma mocno naciągnięte wiązadła w kolanie. Przez miesiąc będzie odbywał zajęcia rehabilitacyjne, a później czeka go następna konsultacja".

Co dzieje się z Włodzimierzem Lubańskim? On też kiedyś zapowiadał, że po ukończeniu kariery piłkarskiej zajmie się być może sportowym dziennikarstwem. Jakoś nic z tego nie wyszło. O Włodku Lubańskim coraz ciszej. Cicho jest o Robercie Gadosze. Cicho o Grzegorzu Lacie. Zupełnie już cicho o Kazimierzu Deynie, którego też kreowano na eksportową gwiazdę polskiej piłki nożnej, ale jakoś nic z tego nie wyszło.

Skrupulatnie relacjonując każdy krok Zbigniewa Bońka nie zapominajmy, że za granicą grają i inni piłkarze, że warto też pamiętać, iż we Francji sukcesy odnosi Andrzej Szarmach.

Bardzo lubię i szanuję Zbigniewa Bońka, ale błagam, nie każcie mi na siłę kochać turyńskiego Juventusu!

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieliński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olchowicz (z-ca sekretarza redakcji), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański, Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 630-99, publicystki 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 80 proc. Dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Państwowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 427. L-5.

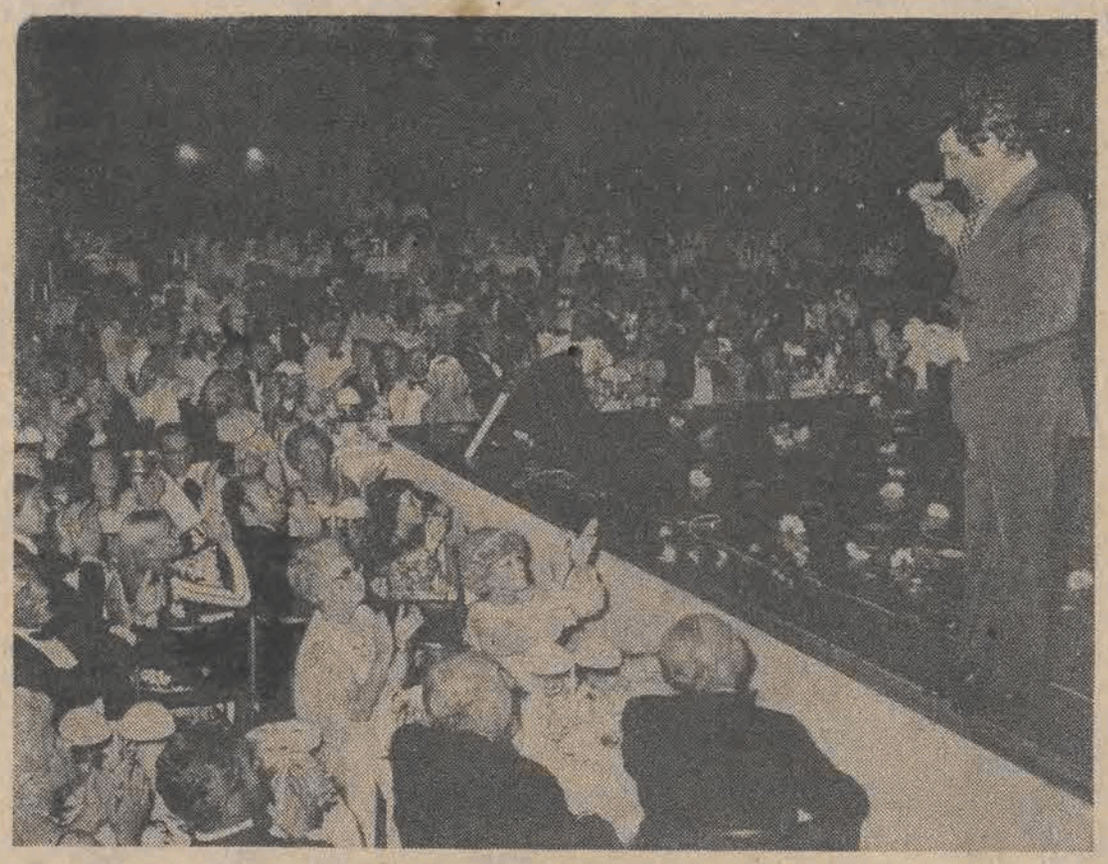

Dziś wieczór u Ritza

Usypiający szum samochodowych opon, a potem nagle wciśnięta kaseta w auto-magnetofon rozdziera ciszę chrapliwymi dźwiękami „Tell me Baby". Głos gietki jak instrument. To Ray Charles. Materiał muzyczny prosty i naturalny Prawie monotonny Jednakże wokalista cudownie ornamentuje melodię podbija ją rytmicznymi synkopowymi przemieszczeniami nut, rozbudowuje utwór elementami nostalgicznej improwizacji, wzmacnia bluesowymi ostrymi akordami fortepianu.

...Tell me Baby... Tell me Honey...

Wolno, ale systematycznie wzrasta melodyczne, dynamiczne ciśnienie Cały czas podskórnie pulsuje swing. I kiedy zdaje się, że eksplozja jest nieunikniona, a głos Ray Charlesa prawie rozsadza frazę, następuje finał podkreślony rozsypanymi bezładnie po klawiaturze stopniowo zanikającymi dźwiękami fortepianu.

Muzyka duszy...

Na długim, łagodnym wirażu autostrady reflektory oświetlają rozległe torfowiska, jakieś kłębowiska splątanych rur, podniebne akwedukty, wieże plujące ogniem.

— To rafineria Ingolstadt — mówi do mnie Werner zmęczony już trochę podróżą — trzy rurociągi z Genui, Triestu i bodajże Marsylii doprowadzają tu ropę.

Jeszcze kilka dni temu byłem w Mediolanie, gdzie moi niemieccy i włoscy przyjaciele współorganizowali „Badenmoden-Show" Ten pokaz mody plażowej to przedsięwzięcie na wielką skalę rejestrowane przez trzy telewizje i połączone z występami znakomitych artystów.

W swoim czasie, kiedy pracowałem w Estradzie Łódzkiej realizowałem na zlecenie „Textilimpexu" dużą rewię mody w Moskwie. Już na miejscu w Mediolanie okazało się, że wśród organizatorów „Badenmoden-Show" jest Carlotta Bersanti, która dobrze pamięta moskiewskie pokazy. Mało tego: spotkałem tu również ludzi, którzy pracowali przy serii reklamowo-artystycznych przeglądów polskiej mody we Włoszech, do których to rewii przygotowywaliśmy specjalne bloki z udziałem polskich piosenkarzy, zespołów muzycznych itp.

A więc nieoczekiwanie sporo znajomych i długie rozmowy w gorące lipcowe noce w kawiarenkach pod gołym niebem na Piazza della Scalla.

Do ostatniej chwili managerowie „Badenmoden-Show" sądzili, że zaskoczą publiczość wielką niespodzianką. Spodziewali się bowiem, że dojedzie i wystąpi Mick Jagger (Rolling Stones), który od dawna przestał być „grubiańskim, bezkompromisowym biczem mieszczańskiego świata" — jak go ongiś zwano — a stał się ciut zblazowanym bywalcem międzynarodowej elity towarzyskiej. Niestety nie dojechał, chociaż jego nowa dziewczyna 24-letnia modelka Jerry Hall miała być główną gwiazdą prezentującą kąpielowe kostiumy, szorty, sukienki plażowe itp.

Jerry Hall to przede wszystkim bardzo długie, zgrabne nogi wrośnięte prawie w pępek. Powyżej śmiało odsłoniętych piersi o sutkach jak rubinowe guziczki, znajduje się długa, kształtna szyja owinięta jedwabnymi o złotawym połysku włosami. Było tego naprawdę dużo: nóg, szyi i włosów. No, może ciut za mało piersi, ale nie wybrzydzajmy.

Jerry Hall z chłodną, kamienną twarzą zmieniała kostiumy, chodziła boso, była utanecznicna, unerwiona, ocierała udem o udo, wierciła twardym kształtnym tyłeczkiem, podnosiła do góry ramiona dokładnie wygolone pod pachami, w tanecznych piruetach potrząsała piersiątkami.

Była taka jak trzeba. Przypominała mi trochę urzędniczkę z wydziału kultury, administracyjną opiekunkę „Stomuru", PSJ, Stowarzyszenia Artystycznego i Estrady. Z tym, że urzędniczka nosi okulary.

Jerry Hall, boginl seksu w kąpielowym kostiumie — to również wielkie oczy, które miały tyle wyrazu, liryki, ciepła i namiętności, ile ma w sobie przednia panoramiczna szyba „Mercedesa".

Za godzinę roboty dostawała dwa tysiące pięćset zachodnioniemieckich marek.

Tell me Baby... Tell me Honey...

Później w gronie kilku przyjaciół i znajomych popijaliśmy (w barze na Piazza della Scalla jakieś zacne, czerwone spumante (musujące) wino secco (wytrawne), a Larry Desmond z nowojorskiej Radio City Station bawił wszystkich dowcipnymi oloteczkami. Larry skomentował najnowsze nagrania Barbry Streisand i Liży Minelli, a później „podsumowywał" Johna Travoltę i jego najnowszą miłość, siedemnastoletnią Brooke Schields, która zdobyła popularność filmem „Błękitna laguna".

...Umieszczony na zewnątrz kawiarni głośnik melancholijnie zawodził: ...Parle di amore... C'e chiaro di luna stasera...

Wino było mocne i w drodze powrotnej już na Piazza Duomo rozochocony Larry próbował wspiąć się na pomnik Wiktora Emanuela II. Dla nich zabawą się dopiero zaczynała, ale ja nocowałem na campingu „Riviera di Milano" — w pewnej odległości od Mediolanu — i musiałem zrezygnować z uczestnictwa w tym całym zgiełku.

Pamiętam ten wieczór szczególnie, gdyż wtedy Carlotta Bersanti dała mi list polecający do dr Helmuta Zilka (Kulturstadtrat z Wiednia. Carlotta przyjaźniła się z jego żoną Dagmar Koller, gwiazdą austriackiego musicalu. Dagmar — jak mi opowiadała Carlotta — prawie osiem lat żyła w tajnym, nieformalnym związku z Helmutem, i dopiero kiedy ten w roku 1978 otrzymał rozwód mógł się pobrać ze swoją wielką miłością.

Zresztą historyjka ta nie ma większego znaczenia — ważnym natomiast było to, że dzięki listowi rekomendującemu mogłem rozmawiać na temat uzyskania starych maszyn do tłoczenia płyt gramofonowych oraz używanego automatu do produkcji singli. Śnił mi się mały zakład tłoczący prawie z dnia na dzień aktualne krajowe przeboje, nagrywający najpopularniejsze zespoły i solistów, kształtujący politykę promocyjną dla debiutantów, wykorzystujący przede wszystkim środowisko twórcze, autorskie łódzkiej aglomeracji miejskiej. Śniło mi się również muzyczne pismo z prawdziwego zdarzenia...

Skończyło się na śnie, bolesnym przebudzeniu już w Łodzi. **tym Wesołym Miasteczku, gdzie w oczach miernot — jedynie mierność jest zaletą.**

Z prawej strony autobahnu miga tablica z napisem „Dachau — 6 km", a chwilę później rozpłomienione czerwienią niebo. To łuna świateł wielkiego miasta. Piątanina asfaltowych wiaduktów, podjazdów, estakad, zielone tablice informacyjne malowane odblaskową farbą jak reflektory biją w oczy. Po bokach stacje benzynowe i parkingi kolorowe jak lunaparki. Monachium... W centrum dzielnicy staromiejskiej można wjechać windą do nieba. Dokładniej: wjechać na prawie dziewięćdziesięciometrową wieżę neogotyckiego ratusza i obejrzeć rozległą panoramę ponad półtoramilionowej stolicy Bawarii. Z wieży tej można też zobaczyć Alpy leżące w odległości niewiele ponad czterdzieści kilometrów od miasta.

Mostem Prinzregentem jedziemy przez rzekę Izar, długo i wolno kluczymy po ulicach śródmieścia metropolii. Wieczór. Ulice zaludniają się już barwnym tłumem, z otwartych okien kafejek, klubów i restauracji dobiega różnojęzyczny gwar. Miasto zaczyna swe nocne życie.

Z hotelu Bayerischer Hof (Palais Montgelas) na Promenadenplatz słychać dźwięki trąbki klarnetu i puzonu. To ten stary dobry jazz Puzonowe glissanda, radosne uniesienie klarnetu, żywiołowa radość banjo i perkusji, rozwibrowany, ekstatyczny, i zarazem brzmiący wysoko ponad całą dixielandową kapelą dźwięk królewskiego kornetu. Jazz.

Przed hotelem plansza z filmowym afiszem Victorii Principal. Właśnie w zachodnioniemieckiej telewizji wystartował amerykański serial „Dallas" z Victoria Principal. 31-letnia gwiazdka o brązowych oczach i ładnie zarysowanym biuście. Przy okazji informacja dla fanów pop-music: Victoria jest stałą przyjaciółką Andy Gibba. Tak więc tym, którzy znają grupę Bee-Gees koleje kariery braci Gibb: Barry'ego, Maurice, Robina i najmłodszego Andy'ego — tym nie muszę tłumaczyć, dlaczego zainteresowałem się tym serialem. Zwłaszcza, że Victoria tak ładnie powiedziała w wywiadzie dla muzycznego tygodnika „Bravo": „Andy jest jedynym mężczyzną, który mnie interesuje" Victoria wcześniej przyjaźniła się z Frankiem Sinatrą...

Bez wahania więc przymuje zaproszenie Wernera Müllera na kolację połączoną z obejrzeniem kolejnego odcinka serialu „Dallas"

Podjeżdżam pod nowoczesną wille stojącą na niewielkim wzgórzu. To dom Wernera Müllera. Dziesięć kilometrów za miastem, z dala od autostrad, teren pofałdowany, lesisty.

Werner Müller jest w ogrodzie i na campingowym rożnie smaży krwiste płaty soczystej polędwicy. Silny, aromatyczny, smakowity zapach nasyca powietrze. Werner — beztroski, opalony, chłopięco uśmiechnięty posypuje polędwicę jakimiś przyprawami korzennymi, dorzuca brykiety węgla na palenisko, podsyca ogień.

— To moja żona Irmgard — mówi Werner

Frau Müller przyniosła nam do ogrodu puszki z piwem jeszcze skroplone szronem lodówki. Irmgard jest ładną kobietą, o wyrazistych rysach twarzy i dobrym, łagodnym uśmiechu. Prosi nas do środka.

Jest Wochenende. Weekend. Koniec lipca. Mimo późnej godziny słońce jeszcze świeci ogniście, choć już coraz niżej i słabiej, by wieczorem stoczyć się miedzianą łuną za pobliski las.

Werner włącza telewizor a tu radosna niespodzianka. Widzę me rodzinne miasto — Łódź i to na kolorowym telewizorze Uniwersum-Senator, który stanowi autentyczną Deutsche Spitzentechnik. Wieczorne informacje „Tagesschau" są prawie w całości poświęcone Polsce.

...kolejki przed sklepami. Fragment komunikatu, że w sierpniu i wrześniu obniżone będą przydziały mięsa na kartki.. No i teraz mocne uderzenie: 25 lipiec sobota, Łódź, marsz protestacyjny kobiet z dziećmi... znajome ulice, domy, ludzie. Komentator powtarza z naciskiem. Marsz głodowy łódzkich kobiet... Nagle na małym ekranie tuż po zapowiedzi, że w polskich kinach wyświetlany jest już „Człowiek z żelaza" Andrzeja Wajdy, ponownie pojawia się Łódź w skrócie wiadomości tygodnia. Setki autobusów i innych samochodów przejeżdża ulicą Piotrkowską.

To już 27 lipiec. Nowy protest. Manifestacyjny marsz-przejazd głodowy z postojem przed Urzędem Miasta Łodzi. I znów znajome ulice, domy, ludzie. Samochody z hasłami, transparenty, klaksony aut...

...Dziś, kiedy piszę te zdania odtworzone z zapisków na dziesiątkach kartek, kiedy oglądam fotografie przybliżające mi ludzi, rozmowy, fakty, wydarzenia — jest zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy wbity z przerażenia w fotel oglądałem z osłupieniem telewizję. Dziś jest zacisznie i spokojnie.

Piszę to przy buchającym ogniem kominku, po ogrodzie razem z wiatrem hula mój obronny pies Maciuś, okiennice jak uparte duchy trzaskają o ściany domostwa, skrzypią wypaczone podłogi na piętrze. Brakuje tylko świerszcza za kominem, cierpliwości i walizki z pieniędzmi na nowe ceny. Ale wówczas? Byłem oderwany od jakichkolwiek informacji z kraju. Skazany wyłącznie na miejscowe gazety, radio i telewizję. I tak na przykład czytałem 2 sierpnia w „Die Welt", że w Polsce niszczy się lub chowa żywność w magazynach...

...W telewizorze kolorowa panorama Paryża i nagłe zbliżenie na fasadę Ritza. Dziś wieczór u Ritza spotyka się prawie cała śmietanka towarzyska: kamera pokazuje Catherine Denevue, jej partnera w filmie „Kariera w Paryżu" Heinza Bennenta. Za nimi idol francuskiego rock'n rolla Johnny Hallyday i jego flama, szczupła, długowłosa Sabina. Chwila przerwy i już portierzy w galowych liberiach otwierają drzwi następnym gościom: śliczna 20-letnia Miss RFN Andrea Hontschik, tuż za nią wysoki blondyn w błękitnym smokingu — to Udo Walz, fryzjer, który czesze wyłącznie gwiazdy filmu i estrady. Zatrzymuje się lśniąca czarnym lakierem limuzyna, a goryle z obstawy torują drogę młodym kobietom. To królowa Jordanii Nur z księżniczką Ferial. Te młode damy często podróżują razem do Paryża, gdzie są klientkami najbardziej ekskluzywnych domów mody.

Marsz do Ritza trwa nadal...

Nagły najazd kamery na twarze kolejnej pary. To znakomity amerykański pisarz Norman Mailer („Nadzy i Martwi" — jedyna chyba jego książka wydana przed 25 laty w Polsce) razem z żoną. Jest to jego szóste małżeństwo, tym razem z fotomodelką Norris Church. Niewysoki, siwy sześćdziesięcioletni mężczyzna i reprezentacyjna młoda dziewczyna, wyższa od niego o głowę. Sześć małżeństw Normana Mailera to i tak niewiele w porównaniu na przykład z wybitnym reżyserem Ingmarem Bergmanem, który miał tych żon chyba z mendel.

Kobietom trudno jest wytrzymać z nieprzeciętnymi mężczyznami...

Polędwica była taka jak trzeba. Delikatna, ale o smaku korzennym. Krucha. Soczysta i pachnąca. Do tego chłodne orzeźwiające piwo i szklaneczka bourbona. A przez otwarte okno letni zapach wieczoru świeżego jak plaster lipcowego miodu...

ANDRZEJ JÓŹWIAK